

De II J

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1874.



Maj.

TOM II. — ZESZYT 5.

W A R S Z A W A .

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.



Ukończono druk dnia 30 Kwietnia 1874 roku.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. ZAKŁADY NAUKOWE. Muzeum przemysłowo-techniczne w Krakowie. Przez Konstancję Wiszniewską	181
II. SZTUKI PIĘKNE. Stanisław Moniuszko i sztuka muzyczna narodowa. Przez Bolesława Wilczyńskiego. (Dokończenie).	192
III. POWIEŚĆ. Brühl. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego. Tom I.	215
IV. LITERATURA POLSKA. Ty, wy, pan. Czyli o oznaczeniu osobistości w języku polskim. (Uwaga do psycho-lingwistyki). Przez A. Tyszyńskiego.	253
V. LITERATURA ZAGRANICZNA. Kronika zagraniczna, naukowa, literacka i artystyczna.	261
VI. LITERATURA KRAJOWA. Przegląd prasy periodycznej w Królestwie Polskiem. Rok 1873. Przegląd katolicki. Przez A. J. S.	296
Izraelita. Przez Adolfa Peplowskiego.	300
Przyjaciel Dzieci. Przez Tadeusza Korzona.	309
VII. PIŚMIENNICTWO KRAJOWE I ZAGRANICZNE.	
Wcielienie Inflant do Litwy i Polski 1558—1561 roku; napisał Stanisław Karwowski Dr. filozofii, w Poznaniu 1873, str. 112. Przez Z. K.	315
Na Pochyłości. Powieść w dwóch tomach, napisał Bolej Krut (Edward Lubowski). Warszawa, 1874 r. Przez X.	318
Geld und Credit.—Erste Abtheilung: Das Geld; Darlegung der Grundlehren von dem Gelde mit einer Vorerörterung über das Kapital und die Uebertragung der Nutzungen, von Carl Knies, Professor der Staatswissenschaften zu Heidelberg. Berlin, 1873. Str. 344.	323
Volkest, Der Pessimismus u. das Unbewusste 1873. Hartmann, Erläuterungen zur Metaphisik des Unbewussten 1873 r. Przez H. St.	328
Odczyt profesora Łamańskiego w Petersburgu o Janie Ostrogu i Fryczu Modrzewskim.	330
VIII. KORRESPONDENCYA. Do redakcyi Bibl. Warsz.	332
IX. WIADOMOŚCI LITERACKIE.	335
X. NEKROLOGIA.	343
Sprostowanie.	343
Od redakcyi.	344



De. II. 1

Muzeum przemysłowo-techniczne

W KRAKOWIE.

PRZEZ

Konstancję Wiszniewską.

Słusznie jedno z pism naszych obrało sobie za dewizę: „Wiedza to potęga.” Mając téj prawdy liczne przykłady, wiedzy pragniemy niemal wszyscy, czując żywą potrzebę przyswojenia jój sobie w naj-rozleglejszym zakresie.

W narodach, w których nauka jest, że tak powiemy cechą obywatelstwa, równouprawiającą wszystkie warstwy społeczeństwa i jedynie szlachetną emancypacją kobiet, świątynia wiedzy stoi otworem dla każdego, w rozlicznych zakładach naukowych, które, počawszy od elementarnéj szkółki, do jój najwyższych stopniowo prowadzą szczytów drogą już utworowaną, pewną a przystępną. Bowiem w narodach takich, *oświata* to najglówniejsza, najżywotniejsza potrzeba ich społecznej organizacji; uprzystępnic ją, dać ją że tak powiemy darmo gotową, jest zadaniem narodowego obowiązku, nad którego spełnieniem *pracują mężowie stanu*, kwestyą oświaty i bezpłatnego wychowania, na pierwszym stawiający planie; *pracują moiżni*, którzy niezdolni zamknąć się egoistycznie w skarbach własnej fortuny, szukają rozkoszy godnych ich wyższego, społecznego stanowiska, używając jój na rozliczne zakłady naukowe, specjalne, zbiory, biblioteki, gabinety, muzea, podejmując koszta dzieł, potrzebujących wielkiego nakładu, lub też sami, należąc czynnie do wszelkich stowarzyszeń naukowych; *pracują uczeni*, jużto śledząc coraz nowych praw w cudownéj księdze wszechświata, już nie oszczędzając mozolnych trudów publicznego nauczania za pomocą dzieł popularnych, wykładów, odczytów, doświadczeń, dzieląc się w ten sposób z ogółem, owocem swéj dojrzałéj, często długoletniej pracy. *Pracuje* wkońcu gorliwie z przejęciem się godnością swego obowiązku



każdy nauczyciel początkującej szkółki, przygotowując niejako rolę dobrze uprawną pod przyszły zasiew. Lecz w narodach takich istnieje obok tego konieczna, moralna równowaga podziału pracy. Gdy jedna połowa *pracuje, aby nauczać*, druga, spłacając dług wdzięczności, oraz dopełniając własnego i narodowego obowiązku, *pracuje, aby się nauczyć*, naukę tę wprowadzić w życie i zastosować do wszelkich potrzeb społecznych.

Ztąd dopiero wypływają rozległe, a istotne i nieocenione korzyści moralne, umysłowe i materyalne, które stanowią *potęgę wiedzy*.

Dojść jednak do tego, aby wiedza nie była wyłącznie uczcą klas uprzywilejowanych, nie jest dziełem ani jednej chwili, ani pojedynczych, choćby najszlachetniejszych usiłowań. Samo poczucie jej potrzeby objawia się dopiero w miarę społecznego i umysłowego rozwoju narodów. Jak człowiek, tak i naród, każdy z osobna przechodzi, stopniowo od dziecinniej nieświadomości, do dojrzałości umysłowej. Historia daje nam wierny obraz, jakimi drogami ludzkość dąży do niej, i jak na podstawach politycznego bytu, wedle charakteru i usposobień narodowych, oraz wewnętrznego, społecznego ustroju, rozwija się dopiero cywilizacja; jak człowiek bowiem tak i narody ulegają oddziaływaniu zewnętrznych i wewnętrznych warunków: dlatego też spostrzegamy znaczne różnice w stopniu ich kształcenia i oświaty!

Ośmielilibyśmy się wypowiedzieć w tym względzie nasze przekonanie, iż najszczęśliwsze usiłowania nie są w stanie dać istotnych rezultatów, przez brak dobrze zorganizowanych szkółek elementarnych, dających gruntowne, początkowe wiadomości, oraz zakładów średnich, specjalnych, poświęconych klasom mniej zamężnym, rzemieślniczym, niemogącym długiego czasu, ani wielkich kosztów poświęcać na naukę konieczną przeciw każdemu w dzisiejszym pojęciu czasu! Nauka jest jeszcze uczcią, nie dla wszystkich przystępną, i choćby w pewnym stopniowaniu, nie zdołała objąć wszystkich warstw społeczeństwa.

Jeśli zaś widzimy ciągłą pracę i krzątanie się tak w Krakowie jak i we Lwowie około szerzenia światła, jeśli nie brak poważnej liczby ludzi szlachetnego poświęcenia, starających się radzić, o ile da się nagłym potrzebom, to zawsze środki są dorywcze i niezupełnie dostateczne. Odczyty, prelekcje, bezwątpienia pożądane bardzo, zajmują, zaciekawiają publiczność, z bogacą nawet do pewnego stopnia umysł; lecz przynajmniej, bez nabytych uprzednio wstępnych wiadomości, będą to zawsze tylko części oderwane, niedające pojęcia całości.

Szkola początkowa, to fundament, bez którego nie masz trwałego gmachu wiedzy. Onato, stosując naukę wedle potrzeb i pojęć dziecka, wieśniaka lub rzemieślnika, uczyni to koniecznie w sposób systematycznej i wystarczającej całości. Mały, krótki katechizm, jako treść religii, zarówno oświeca kmiotka i uczonego, a mimo znacznej różnicy umysłowej, zbliża ich pojęcia. Takież sam stosunek winien być i w innych gałęziach wiedzy ludzkiej.

Jak słupy telegrafu nicby nie znaczyły, nie będąc drutem połączone, tak i wiedza potrzebuje mieć nie umysłową, po którejby strumieniu światła z łatwością rozbiegać się mogły do najdalszych zakątków.

Po tém, cośmy powiedzieli, łatwo zrozumieć, że największém dobrodziejstwem dla narodu, są wszelkie zakłady naukowe. Tém one głębszego nabierają znaczenia, im gruntowniej odpowiadają jego potrzebom. Korzyści w takim razie są nieobliczone, oświata bowiem dopiero w całym znaczeniu, znosi *niewolnictwo przysądu* i daje szlachetną godność wolności i równości praw osobistych. Praca w tym kierunku, podjęta dla społeczeństwa, dla przyszłości, godna wielkiego zadania człowieka, jest uosobieniem nieśmiertelności jego ducha!

Szczęśliwy, kto poczuje w sobie siłę do takiej pracy. Ile zaś może silna wola takiego człowieka, dowodem jest założone w r. 1868 własnym kosztem i staraniami doktora Adryana Baranieckiego, Muzeum Przemysłowo-Techniczne Krakowskie, składające się początkowo z 5,000 okazów, a dziś liczące ich przeszło 20,000. Już sama nazwa objaśnia dostatecznie cel, w jakim Muzeum to założoném zostało. Niezaprzeczenie wielką jest zasługą założyciela, że pierwszy użyteczność jego i naglącą potrzebę uznawszy, poświęcił całe swe mienie, pracę i życie jednemu zadaniu, jednej myśli gorąco przez siebie ukochanej szczerzenia wiedzy w tych warstwach społeczeństwa, które zupełnie zaniedbane, najbardziej jej potrzebowały i największe korzyści dla kraju z niej przynieść mogły.

Galicja jest krajem wyłącznie rolniczym, nie dziwnego, że przy terazniejszej zmianie stosunków, musiała wiele uciepnieć materyalnie. Dotychczasowa jednostronność produkcyjnej pracy, okazała się bardzo dotkliwą, wykazując jak jest koniecznym u nas rozwój rzemiosła, przemysłu i handlu. Rozwój ten może jedynie zapewnić dobrobyt narodu, gdzie zaś jest dobrobyt, tam i oświata kwitnąć musi. Czuli to i rozumiał dobrze D-r Baraniecki, a umysł jego czynny, energiczny, wszechstronny, pragnął zaradzić złemu u jego właściwego źródła! ¹⁾

Zadanie to, aby urzeczywistnić, potrzeba było rzemiosła, przemysł i handel, zostawiony u nas dotąd szkole li własnego doświadczenia, ująć w umiejętność, w system naukowy. Wiemy to dobrze, że żadna gałąź

¹⁾ D-r Baraniecki pierwszy zbliżył się do rzemieślników, udzielając im wzorów przywiezionych z wystawy paryzkiej, objaśniając i nadto, na czém ich ulepszenia i wynalazki zależą. W świeżo założoném Muzeum przyjmował niektóre obstałunki, sam za nie poręczał, pilnując i wymagając sumiennego według wzoru wykonania. Dawanym zarobkiem chciał zachęcić do uznania koniecznej potrzeby doskonalenia się w rzemiosle, nie jak dotąd było sposobem mechanicznym, bezmyślnym prawie, lecz wyrabianiem w sobie **zmysłu** badawczego, wiodącego do własnych kombinacji.

nauki, bez pomocy innych obejść się nie może. Im specjalniejszego zechcemy w niej wykształcenia i gruntowniej zabierzemy się do rzeczy, tém widoczniejszym będzie nieprzerwany łańcuch o wspaniałych ogniwach, łączących się ściśle z sobą nauk. Przemysł potrzebuje tak dobrze nauk ścisłych, będących jego podstawą, jak i kształcenia w sobie pojęcia piękna, a więc pokrewieństwa ze sztuką! Handel zaś obok rachunku, musi się oprzeć na znajomości stosunków narodowych, więc na historii, ekonomii politycznej, umiejętności języków. W celu więc istotnego zaradzenia podjętej przez siebie kwestyi, D-r Baraniecki otwiera przy Muzeum swoim specjalne zakłady naukowe wyższe, oddzielne instytucje pomocnicze; poza obrębem kursów, daje nieprzerwany szereg *bezpłatnych* wykładów, z wytrwałością godną uwielbienia, gromadzi potrzebne materiały, wzory, modele, rysunki, ułatwiające uczącym się przez porównania, nabieranie dokładnego, szerszego o rzeczy pojęcia, urządza laboratorium chemiczne, demonstracje na przykładach dla studentów Inst. Tech. Krak., nadto lekcycie rzemieślni niektórych. Jednym słowem zawiązuje trwałą, nieprzerwaną stosunek pomiędzy młodzieżą i publicznością, a tym gmachem, którego całą wspaniałość stanowią *skarby wiedzy!*

Człowiek z taką miłością, którego umysł wyższy odczuł wszystkie braki społeczne, mógłże pominąć kwestyą kobiet, ich wszechstronnego, zasadniczego wykształcenia? Nie, bezwątpienia! powiemy nawet, że była to dla niego kwestya najżywotniejsza ze wszystkich.

Uznając całą ważność i oddając hold wszystkim instytucjom, istniejącym przy Muzeum Krakowskiem, tym razem pozwolimy sobie poprzestać tylko na ich wyliczeniu, a zając się wyłącznie wyższym zakładem naukowym dla kobiet.

Przy Muzeum Przemysłowo-Tehnicznem Krakowskiem istnieją następujące zakłady naukowe i instytucje:

I. *Niedzielne, popularne wykłady bezpłatne* dla szerszej publiczności. Wykładów tych treści przemysłowej i popularnej z nauk przyrodniczych, od początku Zakładu, odbyło się przeszło 300. Uczęszcza na nie tak mężczyzn, jak i kobiet, rzemieślników, czeladzi kupieckiej i t. p. 100, 150 do 200 osób.

II. *Wyższy zakład nauk handlowych dla mężczyzn* podzielony na trzy kursa: teoretyczny, praktyczny i przygotowawczy.

Wykłady na kursie przygotowawczym są następujące:

Arytmetyka w połączeniu z nauką o monetach, wagach i miarach. *Fizyka, chemia* doświadczalna, *zoologia i mineralogia*, język polski i stylistyka, geografia z uwzględnieniem ważniejszych punktów handlowych i dróg komunikacyjnych, historia z uwzględnieniem historii wynalazków i historii handlu.

Wykłady na pierwszym kursie:

Rachunkowość kupiecka; prowadzenie ksiąg kupieckich pojedyncze i podwójne; korespondencya handl.; ekonomia społeczna; geografia

handlowa; prawo handlowe, wekslowe, ustawa przemysłowa; towaroznawstwo; praktyczne próby towarów pod mikroskopem i odczynnikami chemii; historia handlu w ogóle, a polskiego w szczególności.

Na drugim kursie:

Słuchacze są praktycznie obznajomieni z korespondencją handlową i czynnościami handlowymi i bankowymi w urzędzonym na ten cel biurze wzorowym.

Nauka języków nast.: niemieckiego, francuzkiego, angielskiego i rosyjskiego.

III. Laboratorium dla rozbiórów chemicznych; IV. Modelarnia i sala rysunkowa dla rzemieślników; V. Rozwijalnia jedwabiu przez trzy miesiące; VI. Kurs kilkotygodniowy coroczny pszczolnictwa; VII. Biblioteka dla kobiet złożona z około półtora tysiąca dzieł poważniejszych, a niektórych bardzo nawet szacownych, jest darem własności samego dyrektora. Obecnie jest ona jeszcze razem z biblioteką muzealną do tysiąca dzieł licząca, a zebraną z darów prywatnych osób. Czytelnia dotąd nie urządzona jeszcze: pozwala tylko na czytanie w godzinach przedpołudniowych na miejscu.

VIII. Wyższy zakład naukowy dla kobiet. W roku zeszłym wyłożonym był kurs dla telegrafistek pod opieką miejscowego zarządu. Odbijają się też niektóre lekcje praktyczne szkoły rzemieślniczej i różne wykłady pojedyncze na cele dobroczynne w ciągu roku, których do kilkuset godzin w ciągu istnienia muzeum się odbyło.

O wyższym zakładzie naukowym dla kobiet (który radzibyśmy nazwać akademią dla kobiet), jedynym jaki Galicya posiada, chcemy dać szczegółowe sprawozdanie.

Jak wielkie przywiązuje do niego znaczenie Dr. Baraniecki mieliśmy sposobność przekonania się o tém z własnych słów jego, zwiedzając w r. z. jego Muzeum i sławną kolekcję druków. Szczęściem była to wolniejsza chwilka zawsze zajętego dyrektora, który oprowadzając nas sam po salach, w gorących słowach kreślił całą ważność stanowiska kobiet w ustroju społecznym: „To przyszłe żony, matki, obywatelki nasze, mistrzynie przyszłych pokoleń: pracować dla nich najgorliwiej powinniśmy, dzielić się każdą myślą wyższą, każdą zdobyczą wiedzy; one bowiem nazwajem nas uszlachetnią, naszego ducha podniosą. *W ukształceniu istotnym kobiet naszych ukochałem całą przyszłość mego kraju!*” Słowom tym towarzyszyło głębokie wzruszenie; ono to zapewne wywołało łzę przez nas dostrzeżoną w oku zacnego dyrektora, w nas zaś każdy łatwo odgadnie uczucie czci najwyższej.

I oto właśnie korzystamy z jego uprzejmości. Przed kilku tygodniami raczył on nam pozwolić na zebranie szczegółowych wiadomości o tej tak ważnej instytucji. Szczegóły te dadzą nam ocenić należycie

wielką działalność D-ra Baranieckiego i same przez się będą najwymowniejszym wyrazem jego niepospolitych zasług.

Wyższy zakład naukowy dla kobiet podzielony jest na pięć wydziałów: I. Wydział nauk przyrodniczych; II. Wydział sztuk pięknych; III. Wydział historyczno-literacki; IV. Wydział handlowy; V. Wydział gospodarczy.

Na wydziale nauk przyrodniczych wykładane są (w ciągu 6—7 miesięcy):

Zoologia	w 48	wykl. przez D-ra Żegotę Króla, prof.
Botanika	48	„ „ „ Rehmana doc. U. J.
Mineralogia	24	„ „ „ Wierzejskiego prof.
Fizyka z meteorologią „	72	„ „ p. Maja prof.
Geologia	24	„ „ D-ra Wierzejskiego prof.
Chemia	48	„ „ p. Rozwadowskiego pr.
Jeografia fizyczna . .	24	„ „ „ ?
Astronomia popul. „	24	„ „ D-ra Karlińskiego prof.

Higiena popularna z dyetetyką i nauką pielęgnowania dzieci i chorych, oraz ratowania osób nagłą śmiercią zagrożonych w 12-tu wykl., przez D-ra Janikowskiego prof.

Na wydziale więc przyrodniczym wyklada 7-miu profesorów w liczbie 156 wykładów. Opłata zaś za słuchanie wszystkich wykładów na tym wydziale, wynosi tylko 12 złotych (guldenów austr.). Wydział ten liczy prawie najwięcej słuchaczek. Wszystkie przyrządy oraz okazy potrzebne do doświadczenia i objaśnień naukowych dostarcza muzeum, profesorowie lub gabineta uniwersyteckie, z których profesorowie biorą je na wykłady. Nic więc nie zaniedbano, cokolwiek może dać korzystne zastosowanie w ułatwieniu nauki uczennicom.

Wydział sztuk pięknych podzielony jest na dwa kursa (kursa trwają przez 10 miesięcy): starszy i młodszy. Na starszym kursie oprócz rysunków z wzorów, gipsów i natury, oraz malowania olejnego, czwarty rok idą w systematycznym porządku kolejno wykłady, stanowiąca całość nauk potrzebnych dla wykształcenia estetycznego kobiet. Wykłady te obejmują: anatomią artystyczną, teorię perspektywy artystycznej, ćwiczenia w rysunku perspektywnym i cieniach, zasady światłocieni, odbić, zasady harmonii i barw. O rodzajach malowania olejnego i akwarelą. O ozdobach w architekturze i rękodzielnictwie w głównych epokach sztuki. Estetykę sztuk pięknych i nakoniec historią sztuk pięknych od najdawniejszych czasów aż do dziś, w streszczeniu, a następnie szczegółowo: O szkole holenderskiej i włoskiej. W obecnym roku rozpoczęły się wykłady: *O sztuce u Greków i Rzymian*, przez p. M. Sokołowskiego.

Należą tu jeszcze modelowania w gipsie i wosku, oraz drzeworytnictwo. Pierwsze z powodu małej liczby uczennic nie weszły jeszcze w życie, w drzeworytnictwie zaś robią się szybkie postępy.

Na młodszym kursie są tylko same rysunki w 190 lekcyach.
Lekcyi dla starszego kursu rocznie rysunków „ 200 godzinach.

Wykładów dlategoż kursu „ „ „ 90 „

Lekcyi „ „ drzeworytnictwa „ 160 „

Wykłada stale pięciu profesorów. Prof. Łuszczkiewicz nau. rys. i malarz historyczny, wykłada ornamentykę, historią sztuk pięknych i o ozdobach w architekturze i rękodzielnach w głównych epokach sztuki. P. Pikard malarz: rysunki i malowanie, oraz drzeworytnictwo. Prof. Kossowski: modelowanie w glinie i wosku. P. M. Sokołowski: o sztuce plastycznej w starożytny Grecyi. P. Pokutyński budowniczy będzie wykładał jeszcze „o stylach w budownictwie.“

Wydział sztuk pięknych na zeszłorocznej wystawie wiedeńskiej odebrał za rysunki swoich uczennic medal, co świadczy tak o dobrej szkole nauczycieli jak i postępach uczennic. Oplata za wszystkie przedmioty na tym wydziale 12 guldenów. Zapisujący się na same odczyty na kwartał płacą 6 guldenów, uczennice zaś i uczniowie za każdą naukę płacą połowę, t. j. 3 guldeny i 1 wpisowego.

Wydział historyczno literacki.

Przedmioty stale wykłada pięciu profesorów:

Literaturę powszechną wraz z Literaturą polską prof Dr. A. Bęlcikowski.

Historią polską wykłada p. A. Szczepański.

Psychologią „ prof. Dr. Straszewski.

Pedagogikę „ p. K. Pietraszkiewicz.

O Słowianach pod względem archeologicznym i etnograficznym, oraz Pierwotne dzieje Litwy wykłada p. A. Kirkor.

Oprócz tego przedmioty niestałe obejmują jedną gałąź nauki systematycznie obrobioną, jako jedną całość, jedną epokę, fakt, przedmiot; takie przedmioty nie powtarzają, lecz corok innemi zastępują. Celem ich jest podanie kobietom dbającym o wykształcenie coraz świeższego materiału do ciągłego kształcenia się. Wykłady te są w tyłu godzinach, ile się tego okazuje potrzeba.

Pragniemy tu koniecznie dać wspaniały i bogaty wybór treści tych odczytów, oraz szereg prelegentów zasłużonych i cenionych wysoko ze swęj głębokiej nauki, znakomitych autorów, profesorów i docentów uniwersytetu, którzy w odczytach tych udział przyjmowali, a które już-to w pismach peryodycznych, już w oddzielnych broszurach drukiem ogłoszone zostały, w ciągu pięcioletniego istnienia Zakładu.

Dr. Alth prof. miner. i geol. Uniw. Jagiel.: „O Krakowie i jego okolicach pod względem geologicznym“ w jednej godzinie (czyli jednym odczycie). P. Asnyk (Ely): „O minstrelach i trubadurach“ w dwóch odczytach. Dr. Adam Bęlcikowski były docent Uniw. Jagiel: 1) „O cenniejszych pisarzach w złotym okresie literatury polskiej“ w dwunastu odczytach; 2) „O poezyi polskiej w XIX wieku i o jęj wpływie na umysłowe i polityczne życie narodu“ w siedmiu odczytach; 3) „O charakterach kobiecych w poezyi polskiej“ w dwóch odczytach; 4) „O literaturze

w epoce Stanisława Augusta“ w dziewięciu odczytach; 5) „O główniejszych znamionach epok w historii polskiej“ w dwudziestu czterech odczytach.

Dr. Bochenek, docent Uniw. Jagiel. przy katedrze ekonomiczno-politycznej: 1) „O pracy kobiet“ w jednym odczycie; 2) „O znaczeniu złota w gospodarstwie społeczném“ w jednym wykładzie.

Dr. Brzeziński dyrektor krak. tech. Instytutu: „Wykład historyczny o ważniejszych wynalazkach i o wpływie takowych na oświatę i przemysł“ w dwudziestu czterech odczytach.

P. Buszczyński (Stefan): 1) „O literaturze polskiej XIX wieku ze szczególnym poglądem na pracę żyjących pisarzy“ w trzydziestu sześciu odczytach; 2) „Dzieje cywilizacji europejskiej“ w czterdziestu ośmiu odczytach; 3) „Historia muzyki i jej stosunek do dziejów ludzkości“ w dwunastu odczytach; 4) „O tak zwanéj muzyce klasycznej, od Palestryny do Bethowena“ w jednym odczycie.

Dr. Estreicher Karol bibliotekarz Uniw. Jagiel.: „O mowie, piśmie i drukach“ w siedmiu odczytach.

P. Gralewski Meteusz: „O Kaukazie i jego mieszkańcach“ w dwóch odczytach.

P. Kirkor Adam: „Pogląd na dzieje literatury sąsiednich plemion słowiańskich: I. Ruś litewska, II. Rossya, III. Czechy i Morawia, IV. Łużycanie, V. Serbowie“ w ośmnastu odczytach.

P. Kraszewski Józef Ignacy: „O stanowisku kobiety w obec spraw narodowej“ w jednym odczycie.

P. Łuszczkiewicz Władysław prof. malarstwa w szkole sztuk pięknych: 1) „Przegląd zabytków budownictwa świeckiego dawnych epok w Polsce“: „O budowlach drewnianych, charakter zamków XIV wieku: „Opis zamku tenczyńskiego“ w jednym odczycie; 2) „Historia tworzenia się galerii drezdeńskiej“ w dwóch odczytach; 3) „O sztuce u Chińczyków i Japończyków“ w pięciu odczytach; 4) „Wędrowka artystyczna po Krakowie“ w trzech odczytach.

Dr. Machalski Maksymilian: „O rozmaitych epokach cywilizacji europejskiej i o stanowisku i prawach kobiety w społeczeństwie od najdawniejszych czasów“ w dwunastu odczytach.

Dr. Matejko Franciszek, kustosz biblioteki Uniw. Jagiel.: „Historia mowy ludzkiej, oraz o początkach języków i pisma“ w dwunastu odczytach.

Dr. Nowicki Maksymilian, prof. Uniw. Jagiel.: „O ustroju niższych zwierząt i ich znaczeniu w przyrodzie,“ objaśnione na żywych i martwych okazach, w jednym odczycie.

Dr. Pol Wincenty, prof. Uniw. Jagiel.: 1) „Jeografia opisowa ziem polskich“ w dwudziestu czterech odczytach; 2) „O najnowszej poezji polskiej“ w dwóch odczytach.

P. Przedziecki Aleksander: „O kongresie antropologicznym i archeologii przedhistorycznej, odbytych w 1872 r. w Bolonii“ w jednym odczycie.

Dr. Rehman, docent Uniw. Jagiel.: 1) „O roślinach kopalnych w obecnym stanie roślinności na kuli ziemskiej i stosunku człowieka do świata roślinnego“ w dwunastu odczytach; 2) „O początku świata roślinnego i jego przemianach“ w jednym odczycie.

Dr. Roszkowski, były docent Uniw. Jagiel.: „O przywilejach i ceremoniach w świecie dyplomatycznym“ w jednym odczycie.

Dr. Skiba, prof. Uniw. Jagiel.: „O związku między elektrycznością a magnetyzmem, ciepłem i światłem“ (z odpowiedniami doświadczeniami) w jednym odczycie.

P. Szczepański Alfred: 1) „O czasach Kościuszkowskich“ w dwóch odczytach; 2) „O szkołach w Polsce“ w czterech odczytach; 3) „Rok 1794 w Polsce“ w jednym odczycie; 4) „O wojnie niderlandzkiej z Hiszpanią o wolność i niepodległość“ w jednym odczycie.

Dr. Straszewski, docent Uniw. Jagiel.: „O działaniu zmysłów i wrażeniach zmysłowych“ w trzech odczytach.

Dr. Suchecki, prof. Uniw. Jagiel.: „O dyalektach polskiej mowy ludowej“ w ośmiu wykładach. „O błędach w dzisiejszej polszczyźnie potocznej“ w czterech odczytach.

Dr. Szujski Józef, prof. Uniw. Jagiel.: 1) „Wędrówka historyczna po Krakowie“ w trzech odczytach; 2) „Marya Ludwika Gonzaga i polityczne jej stanowisko“ w jednym odczycie.

P. Winkler, prof. w gimnazjum realnem w Krakowie: 1) „O literaturze dramatycznej polskiej w XIX wieku“ w czterech odczytach; 2) „O poetach szkoły ukraińskiej“: Bohdanie Zaleskim, Goszczyńskim i Malczeskim, w dwóch odczytach; 3) „O Ludwiku Kondratowiczu i jego pismach“ w jednym odczycie; 4) „Ogólny pogląd na literaturę dramatyczną w epoce Mickiewicza“ w czterech odczytach; 5) „Literatura historyczna w epoce Jagiel. i złotego wieku“ w dwóch odczytach; 6) „Pogląd krytyczny na epokę Jagiellońską“ w sześciu odczytach.

P. Zacharyasiewicz Jan: „O idealizmie i realizmie w literaturze nadobnej“ w dwóch odczytach.

Dr. Weigel Ferdynand: „Zasady ekonomii społecznej“ w dwunastu odczytach.

P. Teofil Żebrawski, inżynier: „Wiadomości z jeometrii popularnej“ w dwunastu odczytach.

Dr. Lutostański Bolesław: „O wychowaniu dzieci i pierwsze zasady pedagogiki“: „O fizycznym wychowaniu dzieci.“

Do tego spisu odczytów dodać należy cztery odczyty publiczne, urządzone w 1869 r. na korzyść Muzeum Przem. Tech., a mianowicie na wyrestaurowanie sali, w której są wykłady dla kobiet. Odczyt prof. D-ra Józefa Majera prezesa ówczesnego Towarzystwa Nauk. Krak. „Statystyka literatek i artystek polskich“; prof. D-ra Libelta prezesa Tow. Nauk. Pozn. „O walce pracy z kapitałem“; prof. D-ra Dunajewskiego ówczesnego rektora Uniw. Jagiel. „Wpływ gospodarstwa domowego na rozwój społeczeństwa“; prof. D-ra Wincentego Pola „Kilka

słów o literaturze polskiej, Żywot Seweryna Goszczyńskiego i jego najnowsza praca” „Posłanie do Polski.”

Do wydziału Histor. Literackiego należą jeszcze wykłady języków: polskiego, francuzkiego, niemieckiego, angielskiego i włoskiego.

Wykładają D-r Suchecki język polski, p. Erard francuzki, pan Stahlberger niemiecki, p. Williams angielski, pani Purcart włoski.

Wszakże lekcye języków nie mogły dojść do skutku z powodu małej liczby uczennic. Przy tak zaś wielkich nakładach na inne przedmioty, Muzeum nie jest w stanie dźwigać ciężaru tych lekcyj, wymagających oddzielnej sali i urządzenia oddzielnego audytorium.

Wydział handlowy. Wydział ten początkowo obejmował wszystkie kursa *nauk handlowych* dla mężczyzn. Zgłaszające się jednak kandydatki, nie okazały zupełnie przygotowawczego uzdolnienia, z tego więc powodu urządzoną dla kobiet została przy Muzeum oddzielna instytucya tego rodzaju, i ta obejmuje obecnie następujące wykłady:

Rachunkowość kupiecką wraz z nauką o *miarach, wagach i monetach* wyklada D-r Wierzbicki; *buchalteryę pojedynczą i podwójną* wraz z nauką o *weszlach i papierach wartościowych* prof. Gwiazdomorski. *Korespondencyę handlową* p. Mokrzycki naczelnik biura handlowego w banku galicyjskim. W roku szkolnym 187¹/₂, zgłosiło się ledwie trzy kandydatki, w zeszyłem zaś dziewięć, lecz i to nie pokrywając kosztów, nie dozwoliło rozpocząć wykładów.

Wydział gospodarczy. Wydział ten w zakresie, w jakim być rozwinięty powinien, obejmuje: *gospodarstwo domowe* dla kobiet, szczegółowo wyłożone, *gospodarstwo wiejskie* w ogólnych zarysach, *sadownictwo, ogrodnictwo warzywne, kwiatowe*. Wymaga to wielkich nakładów, a mianowicie urządzenia, choćby na najmniejszą skalę wzorowej fermy. Druga część przedmiotów, jako do wykonania łatwiejsza, kilka razy w ciągu 5-ciu lat powtarzana była, a mianowicie: *jedwabnictwo i pszczolnictwo* wykladał dla kobiet D-r Kozubowski były prof. uniw. Jagiellońskiego i Prezes Towarzystwa Pszczolniczo-Jedwabniczego i Sadowniczego Krakowskiego, w dziewięciu wykładach. *Rachunkowość i prowadzenie ksiąg gospodarczych* prof. Gwiazdomorski. *O owadach szkodliwych* w gospodarstwie domowem i rolniczem prof. Jabłoński w 12-stu wykładach, *technologię domową* prof. Różwadowski. Dodac do tego należy kilka prelekcij z *technologii mechanicznej*, które tenże prof. wyłożył popularnie słuchaczkom w ciągu kursu nauki, mianowicie: „O czterech głównych rodzajach tkanin i o stołach tkackich” w jednym wykładzie, „o bawełnie i jej przeróbce na przędzę” w jednym wykładzie, „o wyrobie papieru ze szmat, słomy, drzewa i innych materyałów” w dwóch wykładach, „o szkle, jego składzie i wyrobach szklanych” w jednym wykładzie.

Oto treściwy przegląd 5-cio letni wykładów w zakładzie nauk. dla kobiet, istniejącym przy Muzeum Przem. Tech. Krak. Liczba ich przedstawia dziś poważną liczbę 4,300 przeszło godzin. Wykłady te miane były przez 52 prof., w których liczbie widzimy 20 prof. i do-

centów uniwersytetu, uczennic płatnych w dwóch ostatnich latach było 52, bezpłatnych biletów *udzielono 60*: razem więc uczennic 112. Doskonale urządzenie sali wykładowej, staranność dyrektora o wszelkie wygody, warunki higieniczne, nad którymi sam czuwać nie przestaje, przekonywa nas o jego charakterze. Przebywając całe dnie w Muzeum, prawie zawsze jest obecny wykładom, a z uczennicami łączy go nie tylko naukowy, lecz szczery, serdeczny, że tak powiemy rodzinny stosunek. Skory do dawania bezpłatnych biletów, za cały warunek stawia pilne uczęszczanie do Zakładu.

Na każdy wydział wpis kwartalny, wynosi 12 guldenów, gdy jednak z jednej rodziny uczęszcza do zakładu trzy osoby, trzecia płaci tylko połowę. Osoby zaś należące do rodziny profesorów i niezamożne panny, mają bilety bezpłatne, lecz winny być przez kogoś polecane. Od lat dwóch wprowadzone zostały egzamina przez komisją z grona profesorów wybraną dla tych pań, które chciałyby posiadać świadectwo uzdolnienia.

Dodać winniśmy, że zbiory muzealne zostały znacznie powiększone nieustrudzonemi staraniami dyrektora na wystawie zeszłorocznej. Zyskały też na tém znakomicie środki pomocnicze, wykładowe. Na ich zebranie i zakupienie, D-r Baraniecki poświęcał dnie całe najmozolniejszej pracy i pokonywać musiał znaczne trudności, z braku odpowiednich funduszy, będących ogromną przeszkodą do zupełnego w całej pełni rozwoju jego zakładów.

Rzetelna zasługa jest zawsze cichą i skromną, ona daje od siebie wszystko, co może, innym zostawia *dobrą wolą!* Dobra wola zaś, gdy idzie o obowiązek społeczny, nie czeka reklam i zachęty, ochocza w uznaniu potrzeby, jest drugą matką wynalazków, poda ona niewątpliwie każdemu możliwe do współdziałania środki.

STANISŁAW MONIUSZKO

I

SZTUKA MUZYCZNA NARODOWA.

STUDYUM ESTETYCZNE.

PRZEZ

Bolesława Wilczyńskiego.

(Dok oń c z e n i e).

VII.

Uwagi nad muzyką nowoczesnej epoki. Moniuszko w obec mistrzów tej epoki. Oryginalność formy, harmonia i instrumentacja Moniuszki. Słówko o wykonaniu utworów jego.

W stosunkach ludzi geniuszu do narodu, nader ważną jest sprawa, czy ów ogół narodowy rozumie swych namaszczeńców, czy umie cenić ich pracę i jak dalece są zaciśnione intelektualne między obojgiem więzadła. Są chwile w dziejach, że pewien odłamek społeczny, przeważnym dotknięty wypadkiem, nie był w stanie władz swoich w karbach należytego skupienia trzymać, że się rozproszył umysłowo i uległ chorobliwemu rozszczepieniu. Wówczas nastąpić musi fakt, zapewne przejściowy, że ten odłamek społeczny znajdzie się w rozejmie ze sobą samym, że niezrozumie posłańców, którzy z daleka pokój ofiarować przyszli. W takim rozejmie między ogółem a garstką posłańców, rodziła się literatura XIX wieku na polskiej ziemi. Ona się rodziła, wzrastała i już olbrzymem stała, a my-

śmy długo jeszcze oczu przetrzée i jój oblicza oglądać nie mogli. Był to wypadek konieczny, ze względu na rozstrój, jakiemu Polska uległa zaraz od XVII wieku, więc od chwili, kiedy na Zachodzie objawił się potężny ruch cywilizacji, ów tyle ponętny, wabny, silnie pociągający ku sobie. Niepodobna było sprostać mu, że to ruch wbrew geniuszowi narodowemu przeciwny; niepodobna też było stawić oporu, tak dalece powszechnym i przygniatającym był ów nieubłagany rydwan materyalnego rozumu. Więc długo trwać i silnie nas trapić musiało rozartagnienie. Dziś ono przemija i ledwie ślady téj obłędnej choroby gdzieś wysterczają; a przecież, czy może cały ogół powiedzieć, że swych geniuszów poznał, że zrozumiał treść, zawartą w ostatnich dźwiękach pieśni, że miłość swą rozgrzał w rodzinnego ogniska twórczości literackiej? Choć nas do uczyt tacy przewodnicy wiedli jak Mochnacki i Grabowski, czyśmy wszyscy do niej zasiedli i czyśmy nie lekkomyślnie, z należą czią, bez uprzedzeń i zrozumienia podany pokarm spożywali? Jakkolwiek jest, to pewna, że cały okres ostatniej pracy narodowej mógłby być przed nami po raz wtóry przedstawionym, że nie jeden, wzrokiem czystym poglądując, obaczyłby tam nowe dla siebie rzeczy, a dziwowałby się pięknościom i tętnom ducha, których zrazu nie spostrzegł.

Przemijanie obłędu a odzyskiwanie w zdrowiu równowagi od wielu wpływów zewnętrznych zawisło. Wszakże najdzielniejszym w téj mierze czynnikiem jest własna nad sobą praca organizmu. O ile zamknięta w sobie, zanadto zidealizowana twórczość, wychyla się na świat i poczyną nabierać pełni, o ile idee, roztocone w napół dostępném świetle poezyi, zasnute w górnych siedzibach ducha, zwierrają się, by począć genetyczną pracę; więc o ile przechodzą w żywot, w coraz szerszą działalność—o tyle społeczność, silnie tą wewnętrzną robotą poruszona, odzyskuje przytomność i rząd nad sobą. Zaznaczyłem jak wielce ważnemi okazują się tu być wszystkie objawy sztuki. One uderzają, na najpierwsze wysłańce ducha, na zmysł i wyobraźnię, a temsamém zawiązują komuniją między ideałem a jaźnią, między tradycją a życiem. Musi narodowe sumienie ocknąć się ze snu, skoro sztuka, jawiąc się ciągle przed oczy, zwraca je ku sobie i rozartagnionej duszy wszystkimi organami głosi o wartości rodzinnych ideałów. Dlatego usiłowałem wskazać na tę ścisłą genezę, jaka łączy poetyczną literaturę naszą ze świetnemi narodzinami sztuki narodowej. Wszakże wyznać przytém należy, że uzdrowienie zupełne wtenczas jeno nastąpić może, gdy ów duch, z górnych siedzib poezyi, nie tylko do sztuki zstąpi, lecz swém tchnieniem wszystkie obciąży gałęzie drzewa rodzinnego; gdy nim się przejmą wszystkie umiejętności i nauki, a w każdym zakątku domu da światła dostatek. Od piśmiennictwa codziennego aż do warowni wiedzy, od abecadka aż do filozoficznego wykładu, wszędzie powinien straż trzymać ten sam geniusz poetyczny, pełen najpiękniejszej tradycyi, świadom

prawd chrześcijańskich, czysty, niepokalany a przenikliwy w mądrości.

Otóż, ze względu na ten stan roztargnienia, w którym duszę naszą wydzierały sobie różne przybłądne czary, a kształciły najsprzeczniejsze, zawsze obce opieki, ze względu na różnicowość czynionych przez nas ideałów, nie dziw, że nieraz trudno nam przyjdzie zawiązać sojusz z rodzinną sztuką i zrozumieć formy a treść, do której rozpoznania żadnej innej nie mamy wprawy, krom tej nabytej w obczyźnie. Iżby tej nieudolności zaradzić, trzeba nam nieledwie iść tą samą drogą, jaką idą mistrze nasi: wczytać się w poezję, zgłębić dziejową ideę, a nadewszystko odnaleźć tajemnice uronionych tradycji. Wtenczas staniemy na drodze, kędy duch ku swym obłoczymom odbywa pielgrzymkę, gdzie wieczne są śluby, wieczne uściski dobra z pięknem, prawdy z ideałem. W ten czas uczujemy szlachetną dumę w rodowem sercu naszym. Więc nie zmarnujemy natchnień ludowych, nie pogardzimy jego pieśniarstwem, a w wyszydzonej kantyczce wiejskiego nabożeństwa ujrzemy ten sam brzask jutrzeńki, piękny i uroczysty, który nam w pierwszym dniu historycznym zajaśniał. Więc nie strymarchymy podań i poetycznej mądrości za nędzny szmat doktryny, za oplakaną chudzizną odpadków obcego rozumu. Więc wstyd nam będzie dawać bezwzględny zapal wszystkimu co cudze, uprawiać co nie z krwi i kości, unosić się i wielbić na ślepo, bo zagości w nas kierownik, który na bezład nie dozwoli, próżność ukróci i zapal wykształci.

Takie to myśli przewodniczyły niniejszej pracy. W imię ich należało unikać spowszedniałych formułek sądu, a oraz pośrednictwa zbyt rozrzuconej, zbyt wyjałowionej krytyki powszechniej. Należało przedewszystkiem przedstawić rodowód poczynającej się sztuki, a oprzeć się na jej współnictwie z duchem narodowym. Stawając na tym gruncie, znaleźliśmy tyle samodzielne do sądu wątki, ile samodzielnym jest mistrz nasz, ile samodzielną być może i powinna twórczość nasza. Oglądaliśmy tę twórczość ze strony poetycznej, więc bardziej z treści niż z formy. Teraz wypada zwrócić się do sztuki samej, do artyzmu wyłącznie i przekonać się jakie to miejsce wśród powszechnego umnictwa muzycznego zajął Moniuszko.

Ledwie kilka dziesiątków lat minęło od czasu, jak cały świat, ów wytworny nowożytnego epikureizmu wychowanek, hołdował namiętnie sensualizmowi w sztukach. Prawiono o muzyce, że jest samą pięknością zewnętrzną, zdolną jedynie na rozkosz dla zmysłów starczyć. I słusznie prawiono. Bo też sztuka muzyczna, oddzielając się od tradycji chrześcijańskich, podążała na scenie życia tą wysłaną puchem ścieżką, którą sobie poganizm XVIII wieku zgotował, a przystroił gracyami, mającemi jego mość rozumową przyjemnie bawić. I byłaby może owa spanoszona mość utonęła w zmysłowych uciechach, gdyby na jej rozpalone ciało nie wionął nagle orzeźwiający zefir z Północy. On ostudził upały, a przyniósł ze sobą jakieś ziar-

na, co miały na gruncie tworzenia ludzkiego pięknoscią ducha wystrzelić i cudowną mocą wewnętrzną poetyczności zakwitnąć. Świetny był widok tego zasiewu i tego powstania sztuki z omdlenia. Świetny, że jak przy każdym odrodzeniu młody Apollo zagrział całą siłą piersi, zajaśniał nieznaną równowagą wszystkich władz ducha. Żadna z nich nie grała osobno, lecz wszystkie razem przez wspólną akcję zdawały się wspierać. To były właśnie czarowne, lecz krótkotrwałe dwóch różnic twórczych zaślubiny, które wydały w muzyce sztuce mistrzostwo Mozarta i jego szkoły. Patrzymy jak sobie poczyta ta szkoła. W jej dziełach przemawiają symbole duszy, znać tajemniczą mowę serca i uczuć odcienia. Lecz wszystka treść ta zawarta w doskonałych pięknosciach formy, których zewnętrznego uroku nie śmie mistrz naruszyć. Ztąd też tyle w jego utworze treści, ile forma zawrzeć zdoła. Mozart z rzetelną intuicyją poety odnajdzie głos duszy, ale go weźmie li z czystej sfery idealnej, biernie uczuciowej. Więc wyraz tego głosu zewnętrznie przyozdobi i delikatnie wyrzeźbi, podobnie do snycerza, który wprzód zmysły chce oczarować, zanim treścią do duszy sięgnie. Nie znaleźć w nim wielkiej gry uczuć, ani głębokiej potęgi ruchów; lecz pewną tylko sferę liryzmu, którego przymioty dają się z przymiotami formy godzić. Ztąd też geniusz jego mógł zarówno rządzić wszystkimi tworzenia dźwiękami i w jednakięj mierze okazać tak poetyczne natchnienia, jak fantazyę i umiejętność. Uważ, jak tu fantazyja wspomaga melodyjne motywa, jak delikatnie a stosowną barwą przystraja główną ideę, a jaka wszędzie staranność, by nie obrazić ucha, nie dotknąć przykrą harmonią nerwów, a témbardziej, by nie naruszyć ideału estetycznej całości, którego prawa w uczuciu każdego człowieka złożone.

W tym samym estetycznym celu, lubo w odmiennym kierunku, postępowała inna muzyczna szkoła, ta, która na Zachodzie wśród literackiego klassycyzmu wzrosła. Szkoła Glücka również od zmysłowości sztukę ratuje. Wszakże między pierwszą a drugą ta jest różnica, że Mozart zwracał się więcej ku idealnym pięknosciom muzyki samej w sobie; on nie wynaturzał praw harmoniczných dla powziętej a priori idei; nie rozciągał tych praw na skalę, której szerokość musiałaby zachodzić w innych sztuk dziedzinę. Jako treści, szukał w muzyce samego *piękną* i samego *dobrą*, więc prostoty uczuć, niewinnych technię duszy, co jest w rzeczy samej Mozartowskiej liryki jedyną poetyczną krynicą. Ztąd też przebija w niej bardziej duch chrześcijański i naturalna idealność, niż kryteria psychologiczne i ruchy wewnętrzne. Co do Glücka, ten usiłował wyrazić muzyką to wszystko, co w dramatycznej swego czasu, co w Rasynowskiej znajdował poezyi; gonił za rzekomą prawdą, szukał jednoznaczników namiętności, wyrabiał melodyjną symbolikę na deklamacyę, zdolną wypowiedzieć tak gwałtowne burze, jak najsubtelniejsze duszy ludzkiej stany. Więc godził więcej na poetyczną prawdę niż na dobro poetyczne. Taka jest między dwojgiem szkół różnica. Atoli obie schodzą

się ze sobą w tém, że je zawsze cechuje pewna psychologiczna nieruchomości, pewna odrębność i wytwór treści, co stawia sztukę w wielce arystokratycznym świetle. Bo jak szkoła Mozarta w bezwzględny sposób zamyka się idealizmem, tak szkoła Glücka krąży w wyjątkowej, w ciasnej tragicznego bohaterstwa sferze. Obie wychodzą z arystokratycznych pojęć o ideałach, obie nie mają odwagi dotknąć pulsów i poruszyć wielkiego dzwonu życia. Takowe pojęcia są przyczyną, że sztuka muzyczna nie wychodzi poza właściwe sobie granice technicznej prawidłowości, że jest zaślubioną dobremu smakowi idealnością: tu jako czysta melodia i uczuć harmonia, tam jako poetyczna deklamacja.

Przerzućmy się teraz o kilkadziesiąt lat później i obaczmy robotę świeżej, bieżącej szkoły. Jak dzień do nocy, tak ona do tamtej nie podobna. Patrz co tu ruchu, jaka moc i wielowładztwo treści niesłychane! Sztukmistrz pragnie całą psychikę wewnętrzną tonem i charakter osoby rytmem wyrazić; on maluje dramata natury, opisuje walki i szczegóły czynów, a rozwija każdą fałdę i każdą plamkę ducha w nieprzebrany szereg następstw. Więc chce mówić i malować, wstrząsać potęgą grozy muzycznej i upajać jęj czarem. A jakież, zapytasz, do tak nieograniczonego mistrzowania posiada środki? Oto niezmierną wolność indywidualną, którą mu dał romantyzm naszego wieku. Był czas, że na filozoficznej katedrze, między sprawami estetyki poruszano i muzykę. Określona definicya Hegla, sprawdzająca sztukę ni mniej ni więcej tylko do znaczenia formuły, do zewnętrznej piękności, wywołała gorzki uśmiech na twarzach muzycznych słuchaczy. Wszak to już grały Beethovenowskie ognie, owe olbrzymim wybuchające płomieniem po nad sklepienia budynku. Jakże mógł professor tak nieoględnie dotknąć i przykro urazić plemiennego ducha, który wcale inaczej w idealności objawić się zamierzał? Niema w tém prawdy!—woła duch ów—muzyka jest potęgą wewnętrzną, nieograniczona w symbolizowaniu, nieporównana w dzielności, bo w harmonicznym formułach posiada już wyrobione i nieskończenie wyrabiać się dające wyrazy wszelkiej treści i ruchu wszelkiego. Cóż znaczą w obec tego bierne, nieruchome formy? Co znaczy cała scholastyka modułów, reguł i przepisów, zamykająca twórczość w ciasnej, w nieokreślonej atmosferze sztuki? Nie jesteście w stanie, panowie estetycy, wyprzedzić moich polotów i żadnym hamulcem nie wstrzymacie wolności mojej. Coście w kodeksie naszym dziś ustanowili, ja jutro roztrączę, bo ja geniusz poezji i nie znam zarówno praw fizjologii akustycznej, jak wynikających ztąd praw umiarkowania. Przestraszę was szeregiem fałszywych akordów, wynaturzę samo znaczenie harmonii, zdepczę miarowość i bezmyślne muzycznej kwadratury piękno, bo mi właśnie o to idzie, iżby osiągnąć nieograniczonych wrażeń władzę; chcę wszelką treść natury i ducha w muzycznej wyrazić idealności. Więc nie będziecie mogli pracy mojej z miarą w rękę i probierzem zmysłowego smaku dotykać.

Trzeba wam inną zbudować estetykę, a jęj kryterya wcale na odmiennym osadzić gruncie.

Tak prawi duch nowęj szkoły. Jakoż w istocie zadaniem jęgo jest rozwijanie w sztuce potęg wewnętrznych, duchowych. On nie tyle chwytą bezwzględny objaw psychologicznego ruchu, ile usiłuje zbadać jęgo przyczyny, wyprowadzić kolizye, ogarnąć tajemnice uczuć i wytłumaczyć logicznie wszystkie ich czynniki. Węć rozwijanie jest tu właściwým polem mistrzowstwa. To piękne zadanie. Ono bezwątpienia stoi u szczytu artystycznych dążeń, bo jeśli wiele czyni kto umię ideał odtworzyć, to nierównie więć ten, który go nadto roztoczyć, niby z tajemnic rozwiązać potrafi.

Lecz właśnie nastęrcza się pytanie, czy tu nie zajdzie pewna władz eliminacya, a mianowicie: czy mistrz wysilający się na stronę rozwojową sztuki, nie straci tęp samém mocy tworzenia, to jest, czy geniusz jęgo nie chybi w rzeczach oryginalnych, zwartych w sobie i pełnych, by miał ideę do rozwijania? Geniusz nowoczesnej szkoły niepostrzeżenie do tęg eliminacyi przyszedł. Wychudłe bóstwo myślenia, któremu swą fantazyę powierzył, nie mogło mu dać innej piersi, jak tylko tęg, napełnioną karmem realnym, ziemskim. Na mózgu geniuszu bóstwo położyło węgiel żarzący, więć przez płomień wyobraźni do ideału wskazało drogę. Brak mu tedy pokarmu, co jest mlękiem żywota, brak uczuć i rzetelnego natchnienia w fantazyi, a skoro tak jest, nie dziw że mu odjęte zostały tajemnice piękna w sztuce, że artystycznosc jęgo złamana. Tajemnicą jest sprawa tworzenia, bo ona wynika z tajemnicy władz duchowych. Duch tworzy formę, niby świat zewnętrzny, by w nim zawrzeć mógł treść swoję. On, w formie całkiem się wyrazi, a tysięcem barw i kształtów na jaw wytręśnie. Węć kształty i kolory, nie tylko na podziw piękna wyda, lecz przez nie treść nieprzebraną do myśli i uczuć zaniesie. Wszakże stanie się to wtenczas jędyńie, gdy spółka władz jęgo nierozzerwana. Prawdziwa kreacya, jako oryginał ducha, jędyńie z tęg spółki wynika. Rozlicznym władz stosunek i względem siebie domiar być może; ztąd rozliczne cechy mistrzowstwa, gdzie naprzemian przemaga to myśli, to uczucie, to wyobraźnia. Ale zważ, że najpotężniejszy myśli i wyobraźni polot nie obejdzie się bez pomocy uczucia, bo tylko przy niēm chowa się i rozkwita ów delikatny wędzzy pierwiastek, który domierzać, barwić i artystycznie kształtować umię. Tak piękność dziewicy, skoro ją szkarłat i pełnia wdzięków na zewnętrz okraši, wnet cię urzeknie, że zadrżysz i ogień życia w sobie poczujesz. Lecz gdzie źródło cudownej siły? gdzie szlaki, po których spływa i żywot zapala? Oto przedewszystkiēm w dziewiczych uczuciach, które naraz ze spowicia wyszły, a krasą zewnętrzną o swych tajnikach znać dały.

Otóż nie wszyscy mistrze nowoczesnej szkoły ulegli tęg eliminacyi; nie wszyscy swą fantazyę oddali pod rządy myślenia, a na ukłdę zimnych i bezmiernych dymów, z zagorzenia wyobraźni powsta-

łych. Są pomiędzy nimi, których ów przewrót w sztuce przeraził, a prawdziwy geniusz od egzeltowanych ustrzegł teoryj. Więc stanęły po środku. Co z nowych rzeczy wniósł czas, co sztuka przyjąć rozsądnie i bez szwanku mogła—to dla niej zdobyli, lecz z poszanowaniem tradycyj i niezmiennych jej przymiotów. Znajdziesz w ich dziełach moc ruchu, obaczysz jak się idea rozwija i przez tysiące przechodzi dzielnic poezyi; ale wszystka ta robota w granicach zawarta doskonałych, wszystka w pryzmacie piękna, w artystyczném uczuciu swój wyraz znajduje. Tu, jeśli symbol psychologiczném waży znaczeniem, jeśli formuły pod rydwan zaciągnięte prawd poetycznych, jeśli każdy ton i każda tonów kompozycyja, dotykają zblizka treści duchowych a objawów żywotnych;—to niemniej zachowane jest prawo, na mocy którego uczestnik do rozpoznania w muzyce poetycznej symboliki przychodzi. Takich mistrzów bardzo nie wiele. Oznacza ich pewne piętno arystokratyczne, że nie puszczają wodzy indywidualnym swawolom fantazyi, że się trzymają rodu. W ich produkcjach odnajdziesz ogniwa sztuki, a na ich pracy ściele się jej rozwój i rzetelna historia. Patrz, ów wielki a mało ceniony mistrz Mendelssohn-Bartholdy, stoi na rozdrożu prawie sam jeden, a jakiś dziwny otacza go urok. Kłaniają mu się przechodnie, choć idą dalej w puszcze. Może też nie jeden z błędnej zawróci pielgrzymki i spyta go o drogę, witając najsumienniejszego ze wszystkich nowoczesnej muzyki przedstawicieli. Jego dzieła nie koniecznie z poetyczności plemiennęj treść czerpią; przegrywa w nich głęboki liryzm, może wyjęty ze wspomnień biblijnych, może z najgorętszych piersi wszech ludów, do których to tonów łatwo młodego poetę nadzwyczajna delikatność uczuć wiodła. Wszakże, pomimo to, on jest reprezentantem najdoskonalszej formy, jaką duch sztuki niemieckiej dotąd wyrobić usiłował, począwszy od Haydna, którego Mendelssohn ostatnim zwać się może potomkiem. Innemu pocie przypadło wydać liryzm czysto germański, a wyśpiewać najcenniejsze poezyi plemiennęj tajniki. Webera geniusz dotyka mytów i legend, więc w natchnieniach melodyi, w wielkich kompozycjach scenicznych zaklina potężnego ducha germańskięj romantyki. To najoryginalniejszy, niepodzielny, prawowity teuton. Wszakże do ogólnej ojczyzny sztuki on ztąd należy, że na jego dziełach historia znaczy epokę znakomitego postawienia muzyki w obec innych dźwigni dramatu. Weber od Glucka pochodzi. Dramat jego panuje na scenie idea, której potęgi, nie tylko forma muzyczna nie chłonie, lecz ją rozwija, podpięra, kształtując się z tęg samęj fantazyi romantycznęj, z tych samych pulsów i ruchów, jakie przedmiot poezyi następuje. Wielka tu jedność czynników; a jednak zważ, że pomimo to, sztuka muzyczna wcale swych atrybucyj nie traci, że nawet wśród najgwałtowniejszych orkanów ruchu, wśród najwałniejszej prawdy scenicznęj, jeszcze pamiętną jest idealnego *piękna*, od którego głównie pochodzi. Mendelssohn i Weber, dopełniając się wzajemnie, stanowią sojusz, w któ-

rym nowoczesna sztuka niemiecka swój doskonały wyraz znajduje. Bo jeśli pierwszy z nich jest mistrzem formy, więc przede wszystkim zachowawcą rodu w sztuce, to w drugim cenią Niemcy śpiewaka ludowego, wieszczą plemiennego, który niezrównanym jest mistrzem słowa w lirycie.

Do takięto odznaczającej się plejady mistrzów należy bezwątpienia Moniuszko. W jego muzyce poznasz nie jedno znamię blizkiego z Mozartem, Mendelssohnem i Weberem pokrewieństwa. Na nim również spoczął bożek historii, zaznaczając prawdziwy postęp sztuki, ów, który nie w szalonych porywach, nie w poniewierce tradycji, lecz w rozsądném a miarkowaném kroczeniu swą drogę znajduje. Obaczymy naturę jego artyzmu.

Mówiłem o pretensjach do rozwijania, które dzisiejszą szkołę bez miary opanowały. Niepodobna w takowym kierunku nie widzieć wielkich reform i wielkiej dla sztuki przyszłości. Symbol muzyczny, stęgały w tysiącznych formach, które w pamięci utkwily, a przez wrażenia na wieloznaczące w pojęciu naszym zamieniły się monady, przechodzi w dziedzinę poezji i tę samą odbywa estetyczną drogę, jaką odbywała poezya słowa, to jest od miary i zewnętrznej piękności, do obszarów myśli. Baczmy wszelako, że dzisiejsze w tym kierunku objawy, są jeno przejściowej epoki usiłowaniam. Więc je oględnie cenić należy, uważając raczej, jako zaciągnięte do wyrabiania się teorye, nie jako ustaloną estetyczną szkołę. Jeden jest mistrz, który olbrzymim uposażony geniuszem, stanął na czele przejścia. Wielki mocarz dla jednych, szaleniec dla drugich, Ryszard Wagner sam jeden dotąd podjął śmiało i bez lęku nowy sztandar w sztuce. A i on przecie nie minął szkopułów, bo przede wszystkim musiał zepchnąć muzykę ze stopnia jej udzielnosci, dając w operze pierwszeństwo lub równouprawnienie, już nie tylko idei, lecz deklamacyi, plastyce i wszelkim objawom dramatycznej prawdy. Ztąd w rozwijaniu rzeczy, jeśli osiągnął nadzwyczajne potęgi jedności, jeśli przedziwne znalazł dla dramatycznej sztuki organa, to nieraz zaplątał się w nierozwikłany, w przerażający form i tonów labirynt.

Moniuszko nie zachodzi w psychologiczny rozwój natury osób i czynów; nie śledzi przyczyny ruchów; nie bada i nie rozбира uderzeń serca; nie rozciąga spekulacyjnej kontroli nad istotą poetycznych ducha objawów. Więc je bierze bezwzględnie, jakimi są, jak mu je podaie prosta, naturalna uczuć lub zjawisk emanacya. I nie dziw; on staje w obec natury ducha polskiego, więc go pojmovać powinien w sztuce tak, jak się on w prawdzie przejawia. Wszak ducha polskiego przymiotem jest natchnienie, ciągły wybuch wewnątrznej treści, która nieustannymi znakami na zewnątrz się wylewa. Nie trzeba téj treści tłumaczyć, bo ona sama jasno, szczerze i całą tłumaczy się pełnią. Weź jeno jaki prawdziwy z życia dramacik i uważ formy jego. Naraz pełno ruchu a wyrazu i cały charakter osoby w szczerym obaczysz wizerunku. Tu każde uczucie wnet po zapłodnieniu, to śmiechem i płaczem, to rozlicznymi słowa, głosu i plastyki

odcieniami, jak na dłoni się jawi. Bo skoro mają podstawę i na stałym oparte gruncie, skoro bardziej z górującej w społeczeństwie idei, niż ze skrytych wychodzą namiętności, uczucia i czyny rozwijają się jawnie, na widoku i idzie o to, iżby ich wzajemne kollizye schwycić, ich charakter i stosunki zrozumieć. Mistrz tedy rozwija szereg motywów, ale samego motywu zbyt szczegółowym rozbiorem nie dotyka. On je logicznie ze sobą połączy, wysnuje z prawdy, lecz nie ujarzmi pętami własnej myśli, nie oplącze metafizyką psychologiczną. Ztąd posiada zupełną wolność artystyczną i moc kształtowania prawdy przez piękno. W Moniuszki utworach niezmiernie uderzającym jest przymiot ów. Z artystycznej ceniąc strony, niepodobna dość podziwiać tej obfitéj intuicji, która mnóstwo barw i kształtów wydaje, a coraz inne, coraz piękniejsze i choć w jedną całość logicznie złożone, przecież dziwnie zwarte w sobie i pełne.

W kompozycji Moniuszki panuje idea. Ona przejmuje fantazyę mistrza, który téż umie przyswoić sobie wszystkie jéj rozczłonia i natchnąć się wszystkimi jéj momentami. Z tego względu najbliższ stoi Webera. Ta sama w utworach łączność i powaga faktury, ta sama umiejętność wynajdywania najstosowniejszych dla każdéj sytuacji symbolów, to samo głębokie słowa muzycznego traktowanie, które nie dopuszcza zбочzeń do czczych figurek i poetycznéj uwagi słuchacza żadną marnotą nie odrywa. Słuchacz ma ciągle przytomną sobie ideę, wciąga się w jéj poetyczny tok, więc otrzymuje wieść o prawdziwych ruchach i tonach idealnie przedstawionéj rzeczy. Tak tu prawdy z pięknem jednia, że zdaje mu się, jakoby niepodobna inaczej tych samych przedstawić zjawisk: ów krzyk z wnętrza duszy dobytej, ów romans lub modlitwa, ów popłoch dramatyczny lub charakteru malunek, nie mogą być żywotniej z prawdy odtworzone. Nie miałyby téj mocy, gdyby je oderwany smak na swoją przeciągał powabów szalę. Idea i poetyczna jéj wartość, są tu przedewszystkiem ważne; ztąd téż uczucie i wyobraźnia uczestnika zawsze niespożyta karmią się treścią przedmiotu. Niezapomniane wrażenie sprawia w ilustrowanym przez Moniuszkę dramacie „Hans Mathis“ grany poza sceną motyw. On jest niby zamordowanego żydą głosem, wołającym żałośnie w niespokojnéj duszy zbrodniarza. Nie łatwo znaleźć tak prawdziwy motyw, a zwłaszcza co do formy, która na jawie ma wyobrażać tajną wyrzutów sumienia robotę. Motyw za każdym razem, jak gdyby płacz z grobu powstaje, nagle się urywa i niby w przepaść zapada. Ta właśnie jego mistyczna forma dziwnie wspomaga sytuację i duszę współczuciem a trwogą rozdziera. Ta jest różnica między artyzmem niemieckiego a polskiego mistrza, że muzyka pierwszego jest więcéj romantyczną w zarysach swoich. Weber, sprowadzając do życia świat mytów i legend, rozlubowany w fantastycznych sferach sagi, tworzy równieź fantastycznie. Lubo melodya jego wprost z serca, z północnéj melancholii uczuć wypłynie, ale jéj tkankę umysł kompozytora sformułuje nieco kapryśnie, niezwycaj-

nie, wedle rysunków téj wyobraźni, która nie samą prawdę, lecz allegoryę prawdy odtwarza. Ztąd, jeśli w lirycznych natchnieniach jego przemaga nadzwyczajna prostota, to w formie, w kompozycji, znajdziesz niejednokrotnie romantyczną allegoryę fantazyę. Weber przedstawia rzadki fakt łączenia się w dziełach sztuki prostoty z fantastycznością. Widać to najwyraźniej nawet w jego sonatach. Lecz weźmy dla przykładu chociażby walczyk z „Wolnego strzelca“. Kompozytor w melodyi i w akcencie ruch ludowy zakreślił; wszakże tak lekko i fantastycznie, że widzisz ledwie cieniów przemyskanie, ledwie szkic osób, które czarodziejsko we mgłę się gubią. Moniuszko przeciwnie, odmaluje w tańcu cały poemat ruchów, że w wymownych formach ujrzysz cały obraz żywych, malowniczo a poetycznie ruszających się postaci. Moniuszko zbiera wyobraźnią same rzeczywiste życie rysunki. Ztąd taka jędrność i żywość, ztąd niewyczerpana w ruchach trzeźwość i nie ledwie plastyczna w formie wyrazistość. To stanowi jego zupełną oryginalność. Patrzymy, ledwie kilka taktów, lub nie wiele rzuci peryodów, a że je odrazu w dostroju formy wyda, że znajdzie istotny głos i kolor i ekspresyę i ramę, wnet ci się jawi postać i jój stan psychiczny w najzupełniejszym objawie. Słuchając téj muzyki, zdaje się jakoby w niej wcale kunsztu, to jest form piękna nie było, jakoby utwór roztaczał samą prawdę rzeczy, samą przyrodzoną naturę i ducha przymiotowość. A jednakże winien to złudzenie słuchacz artystycznemu talentowi, mocą którego kładzie kompozytor pod spodem poezyi grunt doskonały. On nie znuży uwagi, nie nadużyje wrażeń, nie obrazi danych umysłowi ludzkiemu instynktów piękna; lecz czyniając nieznacznie, niepostrzeżenie, zadowolni pierwsze skłonności, dla osiągnięcia tém większej nad duszą władzy.

Polecić tedy uwadze należy, jako ważny mistrza naszego przymiot, że stawia ideę na czele kompozycji, że umie wnikać w jój szczegóły i wiązać nici, że misternie wytwarza poetyczną prawdę, która aż do złudzenia z symbolów muzycznych wyrasta. Ztąd pochodzą oryginalne sposoby kształtowania form muzycznych, bo je poczyną oryginalność narodowej idei. W operze mistrz nie tworzy pojedynczych numerów muzyki, lecz cały oddany idei dramatu, rozwija muzycznie osnowę jego. Ztąd formy idą tu w ślad za formami sceny i za nic kompozytor faktury swojej od dramatycznej nie oderwie spójni. Przywykliśmy oddawna widzieć w operze zgwałcenie poezyi na korzyść muzyki. Niedorzeczność libretta tém pożądanszą dla kompozytora, im mniej myśli a treści, im więcej nieokreślonych luk do zapełnienia muzyce przedstawia. Otóż tę rażącą między muzyką a poezyą sprzeczność, nowoczesna szkoła naprawić usiłowała. Widzieliśmy jak Wagner, do greckiego zwracając się dramatu, dał potężne hasło postępu i wzniecił ruch między mistrzami. Niepodobna im teraz lekkomyślnie traktować sztukę, której znakomitą wartość reformator ukazał. Więc nie dziw, że jeden z nich, śmiało po téj drodze idąc, a nadto pełen wiary i młodzieńczych darów, umiał stwo-

rzyć rzeczy znaczące, wyższe od przyjętej krytyki. W Moniuszki dziełach powaga poezji staje obok muzyki, owszem, potęguje się przez nią, nabiera mocy cudownej. Chcąc całość jego opery oglądać, musisz przedewszystkiem wysłuchać dzieła. Zaś jako organiczne całości, znajdziesz w niém akty, potem sceny, gdzie mnóstwo ściśle ze sobą powiązanych, a poetycznie ważnych szczegółów się mieści. Dla tej jednolitości w kompozycji, oraz dla wielkiej swobody, z jaką się tu rozwijają, tak poezya i muzyka, jako też plastyka, Moniuszko historyczne zajmując powinien miejsce wśród zacofanych z jednej, a zbyt gorączkowo postępujących nowatorów z drugiej strony.

Zastanawiając się nad oryginalnością form Moniuszki, raz jeszcze przytoczyć przychodzi uczynioną uwagę, że główną jego muzyki cechą, jest nadzwyczajne ruchu bogactwo. Baczmy, że dwa składające muzykę pierwiastki, ton i rytm, są jakby przeciwni sobie ostojami, na których sztuka się opiera. Ze strony tonów czysta, nieokreślona i rozplątna idealność; zaś przez rytm muzyka zstępuje do natury, do dramatycznych życia objawów. Tylko idealnym pierwiastkom muzyki przystoi zdradzać takie sekreta uczuć i myśli, których żadna inna nie wyrazi forma, których człowiek sam nawet nie zna, bo są jego niewinnością lub przechodnią bożostanu chwilą. Tylko przez idealny pierwiastek muzyki, sztukmistrz wypowie niepochwytność marzenia, promienną egzaltacyi, wiośniane serca melodye. Boć tam pulsa tak lekkie i delikatne, wibracje tyle toniczne i rozplątne, że zdają się być podsycane samym magnetyzmem, lecz nie krwionośną tętnicą. Do takiej arcyidealnej sfery podniesiona muzyka zrzuca z siebie zewnętrzne znaki, powierzając swą symbolikę samej dźwięczności, samym czystym atrakcyom tonów. Rytm i akcenta nikną, nawet linie i podziały zdają się gubić w magnetycznych płynach harmonii lub harmonicznnej melodyi. To najwyższa podniosłość sztuki, gdzie muzyka staje się niezależną od ruchów natury, toniczną wymową. Śpiew gregoryański, fuga, polifonia Palestriny i muzyka Bacha, zrodziły się w egzaltacyi uczuć, w tej samej, która wymiary a linie architektury w marzenie zamieniła, a przypada też najbardziej do ducha niemieckiej umysłowości.

Jakkolwiek podniosła, jest wszakże sztuka na tej stopie samą jednostronnością. Jej ideały bierne są i mgławce; jej pigłność, bez rumieńców życia, nie przemówi do duszy, jak tylko w imię samej egzaltacyi. To też dzisiejszy sztukmistrz wyrazi przez nią pewne stany, użyje jako wyrobionego typu, lecz treści natchnień już w tak ciasnym typie pomieścić nie zdoła. W jego duszy tętnią, pobudki życia, a serce silnie uderza i opędzić się nie może tysiącnym od świata zewnętrznego napływającym wrażeniom. Więc nie dziw, że muzyka jego przemówi znakami a ruchem; rytmy i akcenta jawią się w utworze, który już do rozległych obszarów żywota należy. Ukryją się

wprawdzie te znaki pod wyższą muzyki pięknnością, popłyną tonami i przenicują swą fizyczną surowość; ale też dadzą ze siebie treść, zarysują kształty, wymówią słowo muzyczne. Tu się poczyna ogromna skala stosunków, jakie wypadną ze zbliżania do siebie dwóch muzyki piérwiastków, to jest idealnych przymiotów tonu i realnych rytmu. Że rytm w istocie musi do ruchów zbliżać się natury, aby muzyka organiczną wartość miała, dowodzi tego sam rozwój sztuki, która aż do poematycznego przyszła znaczenia. Beethoven tworzy poemata, a któż w jego figurach i znakach nie dosłyszał symfonii mowy ludzkiej? Dlatego muzyka jego tak potężną ma siłę, że nie odbiega od prawdy, że wielki mistrz tworzył tak organicznie, jak się tworzyła przez wieki, w psychologicznym związku z naturą, najszlachetniejsza symbolika towarzyska. To samo znaleźć w prawdziwie natchnionych momentach dramatycznej sztuki. Nie zastanawiają się nad tém sztukmistrze; niemniej przeto intuicyja prowadzi ich fantazyą do odtwarzania ruchów wedle praw organicznych. Nigdy Berlioz nie mógł zrozumieć, dlaczego poetyczne natchnienia jego nie były cenione. Oto fantazyja jego opierała się na sztucznej deklamacyi, lecz nie na prawdziwym dramacie. On na tragedyi Rasyna, na klassycyzmie francuzkim swą intuicyą kształcił i dlatego wykoszławił prawdę, dziwacznie ruchy uczuć przedstawiał. Począwszy od mowy i dramatycznych przez głos manifestacyi, muzyka ze swemi tonami schodzi do coraz plastyczniejszych objawów, do ruchów i tęten o tyle szlachetnych, o ile je psychologiczna znamionuje wartość. Ruchy i akcenta towarzyskie, plastyka gracyi, niezliczone mnóstwo tęten natury, które zapisuje wrażenność, a odtwarza wyobrażenia, dają sztuce pole do chwytania żywcem roboty człowieka, kształtującego co chwila dramat z siebie lub też ze zjawisk. A wszędzie sztuka zachowa sekret, bo nie godzi się jój zdradzać fantazyą mistrza i z najidealniejszych tytułów obnażać imię własne. Ów sekret stanowi o jój mocy, bo przecież ona niby do nieistniejących ideałów jażn naszą prowadzi, a jednak, pomimo naszej wiedzy, podnosi uzbierane z życia wrażenia.

Owoż po ruchu muzycznym poznasz oryginalność form u kompozytorów naszych. Jest w ich rytmice pewna wyniosłość, nieraz majestatyczna powaga, a zawsze szlachetność toku. Wszak w kompozycjach Dobrzyńskiego, lubo forma obca i motywa nie swoje, przecież nieraz dusza polska przemawia. Owszem, jest w utworach jego nastroj wspaniały, potoczysty, co mu przeszkadza do prowadzenia symfonicznej muzyki wedle ścisłych przepisów szkoły. Szczerość uczucia i jasność duszy nie dały się tu pochłonąć przez spekulacyą formy, lecz się wyraziły pełniejszym motywem, śpiewniejszym wiązaniem. U Szopena wyniosły tok rytmiki o tyle jest górującym, że już nie w samym polonezie, lecz w każdej prawie kompozycyi, on znajdzie sposobność okazania wspaniałości, królewskiej godności ruchów. Toż samo co do innych manifestacyj. Lubo idealistą i marzy-

cielem jest przeważnie Szopen, wszakże nie w jednym utworze jego, żywe uczucie przełamuje się ruchem po przez bierną egzaltacją. Nokturn pod N-rem 2 dz. 27, roztaacza zrazu szeroką, tonopłynną melodyą. Już w samym tym głównym motywie tkwi mowa, rzekłbyś wzruszony monolog kochanka wśród jasnej nocy, może wyznanie miłości, może samotnej duszy zachwyty. Lecz oto wpada mistrz na ton minorowy, poczyna się żalić i łzy rzewne ronić; już słyszysz dwa głosy, a wśród dyalogu zawody i łkania płaczu serdeczne. Takie to żywe, takie z ruchu uczuć prawdziwe, że niepodobna w onym liryzmie tych samych nie dosłyszeć wibracji, ciepłych a drgających, które cię nieraz w dramacie życia dotknęły. Szopen pokrywał swoje ruchy niewieścim przystrojem fałd i koronek, to je powlekał romantyczną gazą melodyi i harmonicznój ekspresyi, jak gdyby się wstydział rzeźkich kształtów i czerstwój cery uczucia. A jednak pomimo-wolnie to uczucie wybuchalo i w wielu chwilach fantazyą mistrza rządziło. Wszak te chwile wydały najoryginalniejszą formę kompozycyi—Szopenowski mazurek. Niezmiernie to trudna do wykonania forma. Nieumiejętna mazurków Szopenowskich reprodukcya niweczy charakter i cechę, a już zupełnie je rozkłada niewłaściwe do śpiewu stosowanie. Przyczyną trudności jest owa w uczuciach Szopena przewaga liryzmu egzaltowanego, co właśnie wykonawcę unosi, odrywając go od schwyconych na prawdzie ruchów i akcentów. Melodyjny idealizm łątko się bierze za samo natchnienie, zaś forma kompozycyi zostaje na boku, bo to sprawa psychologicznych studyów, sprawa narodowych tajemnic, z któremi, jak to sam mistrz czynił, przez miłość zapoznać się trzeba. W samój rzeczy, spróbujmy nieco odsłonić formę Szopenowskich mazurków, spróbujmy zdjąć z nich subtelną gazę liryzmu, a obaczmy, jakto z nich tryśnie poezya uczuć narodowych, jak wynijdą postacie, ich mowa, oraz żywy wizerunek ruchów. Tu chłopak z dziewczką zatoczy się tanem, tam ciche oświadczyzny, rzewne tęsknoty i radość, a basetla pobrząkuje i karczemny gowor wtórzy. Naraz w téj samój formie zarysuje poeta cały dramat miłości, to wypowiedź charakterystyczną sprzeczkę ludową, to odmaluje jeden z tysiąca sielskich obrazków. Nie wszystkie mazurki z tego pochodzą źródła; domierzał Szopen tę formę do swoich osobistych spowiedzi i nie do poznania idealizował; niemniej przeto sztuka polska chlubić się może oryginalnym, nadzwyczaj pięknym typem, w którym duch narodowy zawarty. To są całe w sobie, artystycznie wytworzone polskie poemaciki.

O ile tedy w natchnieniach kompozytora przewaga idealizmu rozczylnia formę przez egzaltacją, prawdziwy ruch uczuć przez czystą melodyę tonów, o tyle znów z drugieój strony, nie snadniejszego, jak wpaść sztukmistrzowi w charybde zbytnie obnażonej plastyki. Często dziś zdarza się słyszeć w utworach dramatycznój muzyki, jak dalece sztuka niweczy melodyą dla ruchu, harmonią dla zgiełku, oddając drogocenne przymioty swoje na posługę naturze. Przy

takich warunkach, sztuka zamienia się w *genre*, to jest zasklepia się w ramach charakterystyki rodzajowej i nie jest w stanie wyższych ducha narodowego chwycać polotów. Więc grzęźnie w mule płaskiego obyczaju, a tak maluczką się staje, jak owo uwikłane w sceny rodzajowe holenderskie malarstwo, co z karczmy już wyjść nie ma siły, lub jak owa karykatura Offenbachowska, co ze świetnej niegdyś opery francuzkiej wynikła. Jakoż jedynym regulatorem w tej mierze, jest artystyczna intuicya kompozytora, zarówno uczuciem, jak wyobraźnią uposażonego. On nie da się prześcignąć jednej władzy przez drugą, owszem, nagromadzone z życia wrażenia, on indywidualnym przerobi natchnieniem, aby je w ideale, lecz nie w rzeczywistości na jaw mógł wydać.

Taką równowagą władz uposażonym jest geniusz Moniuszki. Ruchy i akcenta jego muzyki są niezmiernie żywe, wibrujące, nieraz zapalnym ogniem skrzą się; wszakże, jeśli je z natury mistrz bierze, jeśli psychologicznie ich prawa i artystycznie formy przejmuje, to wpród przez żary natchnienia, przez tajemny chrzest intuicyi przeprowadzi, zanim w dziele sztuki ukaze. Wszystkie formy liryczne Moniuszki idą niezmiernie żywo, prawie dotykalnie za prawdą psychicznych objawów. Tu nieraz usłyszysz mowę ludzką i głośne wybuchy uczuć, nieraz w rytmicznej ekspresyi podziwisz najszczególniejsze odmiany, jakimi się wyraża osoba, aż do zupełnego naprężonej treści wyłonienia. Mistrz bada we wszystkich odcieniach piękność uzewnętrzniających się manifestacyi, a umie schwytać je ze strony szlachetnej, poetycznej. Opowiadanie o „*Verbum nobile*“ idzie zrazu męzkim, poważnym torem. Lecz głos w głębokie unosi się *portamento*, a przez modulacyą jeszcze głębiej drugi raz sięga. To chwila uniesienia się Serwacego, który mówi: „Daliśmy sobie *Verbum nobile*, że się połączą te dzieciaki nasze.” Owa głębokość tonu i nadzwyczajna powaga ruchu, doskonale malują zacność polskiej duszy, która do danego słowa tyle uroczyściej przywiązuje wagi. Przepyszny jest koniec opowiadania, gdzie uczucie proroczą siłą natchnione, daje religijnie poważny głos o tém, że „*Verbum nobile*, to święta rzecz!” Uważ chór wieśniaczy w Halce, gdzie wśród powitalnych akcentów, każde z nadchodzących pniań innym odznaczone charakterem, lub ową dwóch szlachty sprzeczkę, gdzie tak prawdziwie zarysowana zacna pana Serwacego i gwałtowna pana Marcina osobistość. To są formy niezmiernie żywo, malowniczo i psychologicznie ze studyów zdjęte natury. A jednak, lubo tyle prawdziwe, są przecież te formy dziwnie skończone i cudownie w artystyczną pełnię ujęte. Skoro mistrz stanął dłużej na jakiej nucie, to bezwątpienia i idealne brzmienie tej nuty i jej realne trwanie, ważną rolę grają; oba przymioty są w spółce, jako prawdziwego uczucia wyraz. To samo ma się rozumieć o wszystkich zmianach rytmu, odnośnie do melodyjnych odległości tonów, oraz do harmonicznym modulacyj. Niełatwo Moniuszkowego liryzmu

formę ułović wedle linii a podziałów, bo ich tu nie masz, bo mistrz jest pieśniarzem i poetą, a nie oderwaną muzyki architektem. Ale słuchając dobrze wykonanej, rozumiesz tę muzykę i nasycasz się nią. W niedługiej scenie, w niewielkich ramach obrazu, mistrz bardzo wiele ruchów zawrze. Ztąd krótki motyw śpiewu, niedługa modulacja, lada figurka w orkiestrze, że są natchnione a syntetycznie symbolizujące, uderzą uwagę i zarówno do wyobraźni, jak do serca przemówią. Pod względem związku prowadzenia sceny Moniuszko nie ma sobie równych w sztuce, biorąc na uwagę nie samą lekkość stylu, jak naprzykład u Rossiniego, ale jego poważną i głęboką treściwość. Coraz inne motywa, coraz odmienne grupy śpiewu, a wszystko pełne życia i artystycznie wytworzonego ruchu: oto forma mistrza, stanowiąca całość jednej sceny lub aktu jednego. Nigdzie przeciążenia w recytacji, zbytku w zbiorowych momentach, nierówności w rozwijaniu, ani najlżejszego krytyk tu nie dostrzeże braku, bo mu przedewszystkiēm podziwić wypadnie wyrazistą jasność myśli i związkłą sztuki kształtność.

Nader ważną gra rolę w utworach Moniuszki fantazyja. Ona również potężnym jest realizmu regulatorem, że tworzy rzeczy nieistniejące w rzeczywistości. Jak motyłowi dała natura różnobarwność, niby bezcelowo, a jednak dlatego, aby wśród różnobarwności kwiatów mógł żyć bezpiecznie, tak człowiekowi fantazyja jest daną do harmonii z myślą i uczuciem, aby mógł być artystą, twórcą rzeczy samoistnych. On myślą należy do ducha powszechnego, uczuciem do natury, lecz przez fantazyję do siebie samego należy. W muzyce fantazyja wielce ważną czynność rozłącza. Okliwie i sucho, sztywnie i mizernie wyglądają bez jej udziału formy muzyczne. Fantazyja umie wybór robić w rzeczach realnej przedmiotowości, owszem ledwie ich dotknie, a już wnet przystroi i na piękność zamieni. Więc chociaż myśl i uczucie na utwór pracowały, to jednak z formy, z mnóstwa artystycznych drobiazgów, zaleci się fantazyja mistrza, to jest władza samodzielnej, artystycznie pięknego tworzenia. Że Beethovena znakomita odznacza fantazyja, ztąd psuje szyki komentatorom, usiłującym na poetyczną treść wytłumaczyć utwory jego. W głowę zachodzą, co mają oznaczać pewne form kaprysy. Bo przecież w poematach mistrza tak wyraźnie stoi człowiek i duchowa treść ludzka, a jednak niepodobna tej treści do dna rozpoznać. Otóż uwagę estetyków zwrócić na siebie powinna olbrzymia artysty fantazyja, której robota nie jest do wytłumaczenia. Nadmienić atoli wypada, że inaczej ważoną być winna fantazyja mistrza instrumentalnej muzyki, a wcale inaczej ta, która pieśniarzowi i scenicznemu kompozytorowi przysługuje. Tam nieograniczona, tu wielce warunkowa jej czynność; tam jest ona assocyacją głównie artystyczną, to jest zbiornikiem władz sztukmistrza w kierunku kunsztowności, tu zaś jedynie współpracującą ze strony artystycznej władzą. Umiał Moniuszko z nadzwyczajnym

taktem trzymać w granicach fantazyę swoją. Nie ulegając jej pokusom, nigdy nie poświęcił myśli poetycznej na odróbkę tej bogini kształtów. Fantazyja polskiego pieśniarza idzie w ślad za narodową fantazyją. On kunsztowny artyzm li tylko na pomoc przyzwie, by mu skończenie i pięknie natchnienia przystroił, lecz zawsze w miarę i ledwie z daleka na tworzenie wpływając. Artyzm Moniuszki znajdziesz w mnóstwie drobiazgów, gdzie nie psując prawdy, on niewystawionym urokiem odznacza formę. Rzadko się zdarza mistrzowi powtórzyć jeden i ten sam motyw liryczny; lecz skoro na to sytuacja pozwoli, on już go powtórzy w innym przystroju, a nie zmieniając głównych barw i rysów, przysporzy krasy w akompaniamencie lub w szczegółach. Myliłby się, kto by brał instrumentacją Moniuszki za czysty, oderwany artyzm. Wszakże znajdziesz tu nieraz, zwłaszcza w instrumentowaniu lirycznych motywów, niby drobne, nieznaczne, a jednak pełne dobrego smaku upiększenia. Owóż fantazyja mistrza naszego, gdy na większą skalę czyni, nosi na sobie nie artystyczną, lecz poetyczną cechę. Słuchaj finału w *Verbum nobile*. Jeszcze nie przebrzmiały smętne główne osoby akcenta, a już chór wieśniaków weselną nutę w to miesza. Dlaczego mistrz sprzeczne połączył z sobą rzeczy? Mógł przecież skończyć pierwój jedno, nim w odmienną wejdzie uczuć sferę. Jest w tém gra fantazyi, którą nietylko artystycznie tłumaczyć należy. Wszak to proste, prawdziwy, a jednak poetycznie schwycony wypadek dramatu, że wiejska gromada, nic o frasunkach państwa nie wiedząc, przynosi swój panienceczce wesołe życzenia. Toż samo w *Hrabinie*. Dlaczego do popisowej piosenki Broni chór męzki się miesza? Fakturę tej piosenki, artystycznie piękną, odznacza przeważnie poetyczny przymiot, że wyraża ogólną sympatyę, jaką Bronia dla siebie wywołała. Poetyczność fantazyi dba o to, iżby myśl jasno wyłożoną była, iżby łączone przez muzykę sprzeczności, usprawiedliwiały się logiczną prawdą, wyższym interesem dramatu. Gdzie fantazyja dramatycznego muzyka przechodzi na stronę artyzmu i w kunszt się zamienia, tam nie ma wyższego piękna jeno efekt, tam kontrapunkt gra przeważną rolę i zręczność harmonisty cudu dokazuje. Tak stłoczone w artystyczną formę sprzeciwieństwa, nie mogą uwadze udzielić się słuchacza z innej, jak z samej zewnętrznej strony. Bo poetyczna wrażliwość duszy, potrzebuje pewnego ładu w planach, iżby z przedmiotu wynikające kontrasta, mogły ją poruszyć. Fantazyja Moniuszki nigdy nie czyni na przekór psychologicznej wrażeń naturze. On przed słuchaczem pięknie sprzeczności rozwinię, nie pokuszając się o misterstwo bezwzględne. Owszem, zawsze mądrze i z delikatnym taktem obmyślane jest to misterstwo. Sprzeciwieństwa uderzą o siebie, jak to w przytoczonym przykładzie ma miejsce; lecz się wyłonią samodzielnie, logicznie. Ztąd, lubo każda w jego utworach scena jest artystycznie co do szczegółów wykończoną, to jednak główne rozczłonia, zmiany i kompozycye

formy, są poetycznego znaczenia. Nietrudno zauważyć, jak dalece nie znosi mistrz jednostajności, jak muzyka jego mieni się szybko w ruchach i barwach, przyzywając na pomoc niespodzianki harmoniczne, instrumentalne lub akcentowe. Więc zdawałoby się mogło, że je artystyczna wytwarza fantazya. Lecz w miarę wnikania duchem, w miarę częstszego a pilniejszego uczestnictwa, obaczysz w nich poetyczną potęgę mistrza, który przedewszystkiem wymowy lirycznej i formy malowniczej szuka.

Dla określenia artystycznej oryginalności Moniuszki, wypadłoby scharakteryzować technikę harmonii jego. Wszakże, skoro kompozytora bardziej poetyczne niż artystyczne odznaczają przymioty, nie wolno estetykowi dzielić tę jego osobistość. W analizie odsłonią się rzeczy niezgodne, ulegające surowej naganie, kiedy przeciwnie, zapatrując się na nie z właściwej strony, znajdziesz że są zupełnie usprawiedliwionemi. Co krzyków wydała w swoim czasie scholastyka muzyczna na Beethovena harmonię! A jakież harmonista nie krztusił się nieprzygotowanym dyssonansem, lub septymowym na wszystkich skalach gammy akordem, jakie nowoczesna muzyka produkuje? Straszna klątwa na Wagnerowskiej ciąży muzyce. Jego ulubiona harmonia septymy zmniejszonej, jego wężowe zwoje rozstrojonych akordów, przerażają mistrzów, w których duszy brzmią dźwięki chrześcijańskiej, tradycyjnej muzyki. Bo też w istocie, przeraźliwie im syczyć musi ta kupa żmij, której wielki czarownik wcale nie rozwiązuje, jak gdyby chciał całą masę gadu na nerwy rzucić słuchacza. A jednak, jeśli wiele dałoby się tu zganić ze strony fizjologicznych teoryj muzyki, to również wiele usprawiedliwiłby sąd wyższej, ogólniejszej estetyki. Wszak w obec upartego konserwatyzmu sztuki, niczy się nie ostało z Wagnerowskiej roboty, a ledwie cząstka Beethovena. W takim razie Wagner nie mógłby napisać Nibelungów, i Meyerbeer nie stworzyłby w muzyce charakterystyki historycznej, i Szopen lękałby się dać formę dyssonansom duszy swojej, i Moniuszko nie miałby odwagi dotknąć w rozlicznych odcieniach charakteru narodu swego. Pełno dyssonansów w Halce; same tańce góralskie wypadłoby zniszczyć, jako niesforne, nie harmoniczne. Przecież na tych dyssonansach, na rzekomych nieporządkach harmonii, opiera się poezya dramatu, oraz psychologiczne rysy jego. Otóż harmonia Moniuszki, cała jej oryginalność, znajduje wytłumaczenie swoje w poprzednich rozdziałach niniejszej rozprawy. Ona jest przedewszystkiem w duchu słowiańskim poczęta, odznacza ją jasność, zwięzłość i prostota. W obec muzycznej umiejętności, posiada harmonia ta rzadki przymiot organiczny, że jest jędrną, wymowną i niezmiernie syntetycznie wyrobioną. Mistrz stawia dyssonans swój silnie, stanowczo i dla tego daje mu wartość psychologiczną, ile że natężenie jest ruchem uczuć usprawiedliwione, a zawsze artystycznie przygotowane. Taką potęgą odznacza się ów wykrzyknęty przez chór dyssonans w sonecie krymskim na wyraz „ruina“! Toż nic oryginalniejszego w harmonii mistrza naszego, jak

łatwość rozwiązywania akordów, jak ciągła dbałość o harmoniczną pogodę. Znajdziesz tu śliczności pod względem niespodziewanych figur i barw modulacyjnych, lecz nic rażącego, nic nie dostrzeżesz ostrego; owszem, gdy mu potrzeba gwałtu i mocnych orkanów, mistrz raczej w rytmice, w potęgach ruchu i w instrumentacji potrzebną dla siebie znajdzie ekspresję. Wielki takt estetyczny cechuje w tej mierze indywidualność mistrza. On nie daje się uwieść wolnościom szkoły, mającej za nic sobie fizyologiczną stronę sztuki. Wszak sama natura wrażeń ludzkich przepisuje granicę, poza którą wyszedłszy, już sztuka rozbija się o szkopyły i niepodobieństwa. Słuchając tak wysforowanej muzyki, lubo do jej poetycznej wielmożności naprężysz ducha, to samo naprężenie, skoro jest pracą nad siły, już cię zmęczy, osłabi i niezdolnym do uczestnictwa uczyni. Zbrzydzisz sobie wieszczkę, która twych wrażeń nie szanuje. Tak nie jeden z uczestników obrzydł sobie pędzel, nie szanujący estetycznych duszy przewodników. Te chronią je od niepotrzebnych, rozkładających wrażeń; pilnują zdrowia przed napaścią chorobliwych a wstrętnych widoków. Bo na cóż się komu zdało naprzykład wiedzieć, a to przez jaskrawą, wyobraźnię malarza, *jakie ma widzenia ścięta na gilotynie głowa?* Toż i słuchowe stróże mają sobie poleconém odpychać napastników, niosących samą negację harmonii, same gorycze i kwasy, gdy muzyka po wsze czasy, przez obietnice poetów i filozofów, ma nam najśodsze idealne napoje podawać. Na złej jest drodze sztuka, skoro zupełnie nie uwzględniła odwiecznych, prastarych prawd filozoficznych.

Za najpiękniejszą harmonię uważać bezwątpienia wypada chóry Moniuszki. Wszak to najtrudniejsze muzyki nowoczesnej zadanie, w którym idzie o nienaruszenie scenicznej prawdy, o ruch dramatyczny, o zachowanie jednostkom ich indywidualności, co wszystko razem ma nadto ujmować piękna, misterna faktura. Patrz jak odbieżone od scenicznego toku, jak dla efektu jedynie gromadzą się chóralne siły w wielu operach włoskich. Choć nadobne całością, lecz nic nie mówią, nie są dramatycznego ruchu naturalną, prawdziwą emanacją. Najczęściej przedstawiają masę zbiorową, obmyślaną przez kompozytora dla samych muzycznych wrażeń, lub dla powierzchownych upodobań. Takim szturmem nieraz zdobywają mało wymagającego słuchacza. Moniuszki chór zaciąga się swobodnie, w miarę rozwijania rzeczy, a mieni się psychologicznie, a kształtuje się wedle ruchu indywidualnych uczuć i myśli. Nic tak nie zadziwia w chórach Moniuszki, jak nadzwyczajna ich indywidualność. Masz przed sobą nie gromadę śpiewaków, lecz z naturalnego wypadku wynikły zbiór osób, z których każda jest wolną, ma swój charakter, a mówi, śpiewa i rusza się niezależnie. Chóry w Halce i w Hrabinie są arcydziełami, tak co do indywidualności osób i dramatycznego ruchu, jak co do misterstwa faktury. A niechże wypadnie wyrazić scenę, w której osoby ogólnemu poddane uczuć prądowi, obaczysz jak to z harmonii mistrza siła takowego prądu wytryska. Wypo-

wiedzą ją modulacje i figury, lecz tak w miarę użyte, tak sentetycznie do ducha idei dostrojone, że nikt nie ich powierzchowną piękność przed idealną powagą rzeczy. Takiemi są przedewszystkiem religijne chóry Moniuszki.

Niezwykła organiczność, cechująca kompozycje naszego mistrza, nader znacząco uwydatnia się w instrumentacji. Z pomocą tej pięknej a wymownej dźwigni, Moniuszko pisze swe słowo muzyczne. W instrumentacji leży dokończenie formy, oraz główny przybór rytmiki, odcieni i kolorytów, które mają wspierać śpiewaka, lub jego rolę charakteryzować. Nigdy Moniuszko nie przekroczy tej zasady i nie dopuści się unicestwienia śpiewaka w obec orkiestralnych potęg, więc przeważenia dramatu na stronę gry instrumentalnej. To są błędy nowoczesnej szkoły, szukającej prawdy nie w naturalnych objawach ruchu, nie w rozwijaniu się motywów, lecz w spekulacyjnym rozwijaniu każdego wątku dramatycznego.

Nikt lepiej jak Moniuszko nie umiał uwydatnić prostoty w pieśni, że nie zacierał artystyczną pretensją naturalnych przymiotów uczucia. W jego oderwanych piosenkach znajdziesz roje uczuci takich, jakie co krok spotykasz w samorodnych objawach liryki, w związkach natury z człowiekiem, w przyrodzonych ślubach piękna z rzeczywistością. Zkądże pochodzi ta różnorodność a naturalność uczuć w pieśni, jeśli nie ztąd, że mistrz, przenosząc samorodne kwiaty do sztuki, nie przerabia je gwałtem na egzotyczne rośliny. Pieśń Moniuszki nie kurczy się i nie krzywi, bo nie przywdziewa zbyt sztucznej, niedopasowanej sukni. Owszem, cały strój harmonii i instrumentacji do niej się dostosuje, a raczej uwydatni niż zatrze przyrodzony przymiot prostoty i naturalności, zgoła estetycznie żywną jej piękność. W śpiewnikach mistrza mnóstwo takich pieśni, które raczej z artystycznej prostoty, a nie z kunsztownej formy cenić należy. Tam instrumentacja nie zgłuszy śpiewaka, nie sparaliżuje jego uczucia, ale go zmusi wydobyć z siebie istotne natchnienie, przejąc się melodyjnym echem głosów natury i ludu.

Już inaczej jak w tych drobnych, przeznaczonych dla śpiewającego ogółu urywkach, zaprodukuje się umiejętność mistrza w wyższej kompozycji lirycznej. Uczucia głębokie wymagają od sztuki całejdzielności środków, ile że wyraz ich w wyższym poemacie, oraz we formach dramatycznych, ma być potęgowanym, silnemi rysami odznaczonym. Mistrz instrumentacją dopomaga śpiewakowi, niby rozgrzewa serce jego, by mógł w najgłębsze zstąpić uczuć siedliska. Więc kieruje siłami jego: tu domówi na co śpiewaka niestać, tam wzmożni wibracje głosu, ówdzie chorowód uczuć, walki wewnętrzne lub poetyczną przedmiotowość roztoczy. Oczywiście że estetyczna waga tego stosunku o tyle czarującą, udziela się słuchaczowi pięknością, o ile mistrz zachować tu umie takt wielki. Liryczna instrumentacja Moniuszki dzielnie wspomaga śpiewaka, lecz nieraz przesadą bogactw grzeszy. Patrz jaki w Halce rozlewający przemiar drama-

tycznego potęgowania i kolorytów. Choć mają znaczenie tła jedynie, choć główny rysunek melodii z ust śpiewaka wychodzi, to przecież uwagę słuchacza uderza brak równowagi, masa gry niepospolitej lecz przeciążającej. To wynik nadzwyczajnej pełni uczuć, zamieniającej się w muzyczny rozlew, ilekroć mistrz dotyka strun najliryczniejszych. Zamało mu głosu ludzkiego. Chciałby go postawić w chórze najpiękniejszych życia głosów, dopełnić wibracje i urokiem poetycznej fantazy otoczyć przewodnią lirykę. Zważyć należy, że koloryty owe zawsze są dramatycznie dobrane, że się odnoszą do głównego śpiewu, dopełniając go malowniczo, podobnie jak w renesansowym pędzlu, gdzie poetyczny widok natury otacza główne postacie. Ależ, czy Moniuszko, tworząc owe gromy uczucia, to znów echa i zefirowe tchnienia w instrumentacji, pamiętał dość o tém, że je wykonywać ma surowy materiał instrumentalny? Musi kompozytor rachować się z nieudolnością materii, choć to mu nieraz natchnienie popsuje i z idealnych wyżyn, gdzie słuchał poetycznej symfonii, do orkiestralnego pulpitu, do akustycznej fizjologii sprowadzi.

Czyniąc ów zarzut, pomnieć należy o nowocześniejszą rolę. Wszak nawet Beethoven, właśnie dlatego, że wielkim był poetą, nieraz praw akustycznych zapominał. A cóż powiedziéć o dzisiejszej orkiestrze dramatycznej, gdzie trąby i kotły strasznie dźwięki zapanowały, a natura każdego instrumentu zgwałcona? Do tej ostateczności nigdy nie przyszedł Moniuszko. Jakoż, jeśli zarzut powyższy dotyczy głównie pierwszych jego utworów, to już w późniejszych niepodobna mu go uczynić. „Paria“ jest doskonałym wzorem instrumentacji.

Najoryginalniejszym atoli i najznakomitszym mistrzem, jest Moniuszko w rzeczach charakterystyki muzycznej. Baczmy, że w kompozycjach muzyków naszych, najbardziej znaczącym przymiotem jest dążność do produkowania śpiewności. Wszystko u Szopena śpiewa: główna melodia, harmonia i akompaniament. Skoro wraca do tego samego motywu, lub przechodzi do drugiej jego części, on już drugi głos przyda, poprowadzi rzecz dwuśpiewem, jak gdyby mu pilno było dwa uczucia skojarzyć, a w pięknym związku samotną tęsknotę podzielić. Dwuśpiewność melodii jest najsilniejszym wyrazem uczucia, najżywotniejszą stroną natchnień Szopena. Nic też bardziej zadziwiającego w jego utworach, jak akompaniament. On mu zachowa charakter drugorzędny, podstawowy, lecz razem nada romantyczny urok, uszlachetni sztywność tła muzycznego i podniesie aż do zwierciadlanej piękności melodii. Naukę kontrapunktu Szopen nie tyle stosował do kontrafrazy i form dialogu, ile do płynnych, zawsze lirycznych dostrojów melodyjnych. Otóż Moniuszko rozszerza na wielką skalę to usposobienie fantazy, rozwija oryginalnie i stawia typ piękna w muzyce. Uważ świetne sceny, gdzie mistrz w dziedzinę charakterystyki z całą swobodą wchodzi. Słyszysz najprzód śpiew chóralny, któremu z melodyjnego

znaczenia, z samodzielnej piękności, z treściwej i bogatej harmonii nic ujętego nie jest. On mógłby być wykonanym bez pomocy instrumentacji, lub na tle prostego akompaniamentu, tyle w nim samym tkwi poetycznego wyrazu. Lecz słuchaj: pod spodem śpiewa orkiestra, a takie odmienne prowadzi motywa, takie roztacza cuda melodyjnego ruchu, że wyteżasz uwagę, aby nic nie stracić z czarów, które moc rzeczy mówią. Otóż one wyśpiewują szczegółowe rysy, plastykę ruchu i zewnętrzne osób manifestacje. To niezmiernie nadaje utworowi życie, a pod względem sztuki, jest czémś cudownie piękném. Zupełnie oddzielnym idąc tokiem, łączą się jednak te instrumentalne motywa z chórem, jak gdyby roztaczały tę samą pełnią życia realnie, jaka przez usta osób li idealnie wyrazić się może. Dlatego też i ta orkiestralna partya, może być oddzielnie słuchana, tyle w niej jest melodyjnej myśli, fantazyi i skończenia. W charakterystycznych chórach Moniuszki jawi się na scenie mnóstwo rzeczy—duch polski w mowie, w towarzyskim ruchu, w rozlicznych narodowej fantazyi objawach. Więc wzniosłe przymioty serca, a tuż zaloty i dary i taniec i iskier życia tysiące. Arcydziełami są też z tego względu pojedyncze sceny, że wspomnę z pomiędzy wielu arye Stolnika w Halce, i duet Chorążego z Podczaszycem w Hrabinie. Podobnie pięknych nie znaleźć nigdzie typów, bo choć sam pomysł nie nowy, choć formy tego rodzaju z dawna w charakteryzującej muzyce istnieją, toć one nie mają tego skończenia, téj saméj pełności twórczej. Jeśli mistrze po wyraz charakterystycznego ruchu do orkiestry zstępują, to śpiew ich osób traci na tém, staje się biernym i niemowym, rozścieka się suchą dykcją deklamacyjną. Zwyczajne *parlanta* w buffach włoskich nie więcej nad komizm nie rozwijają na tle instrumentacji. Mozart tylko samo tło upiększył, wzbogacił i niewysłowionym wdziękiem uposażył: dzisiejsi zaś kompozytorowie, zajęci przeważnie głębokim dramatyzowaniem idei, nie mają dla obrazowo-lirycznych momentów innéj, jeno tę dramatyzującą, kontrapunktyczną instrumentację, pełną wewnętrznych, frazeologicznych ruchów. Liryczna obrazowość, którą odznacza śpiewność obojga organów sceny, a którą nadto wypełnia malowniczy, rytmiczny charakter instrumentacji, jest najzaszczytniejszym w kompozycjach Moniuszki tytułem oryginalności. Jego charakterystyczne obrazy są niezmiernie żywe i ruchliwe, lecz zawsze lirycznie piękne.

Moniuszko trzymał się średniej, to jest najwymowniejszej skali głosów. Okoliczność ta, jeśli z jednéj strony tłumaczy się brakiem dramatycznych w jego talencie żywiołów, tych, co na zawołanie swoje muszą mieć kraje organa muzyki—wielkie odległości, oraz ostateczne granice wokalnój i instrumentalnej skali—; to znów z drugiej zaleca mistrza ze względu na jasność, prostotę i wybraną piękność artystycznych środków.

Tak się przedstawia techniczna strona muzyki Moniuszki. Po czytując estetyczną monografię mistrza naszego za wyczerpaną, kończą uwagę, że oryginalność kompozycji jego również oryginalnego produkowania wymaga. Mało wskazówek co do wykonawstwa od niego samego wyszło, że nie posiadał daru tłumaczenia swych natchnień, oraz energicznego sceną rządzenia. Może wadziła mu skromność, a może zbyt duża w artystycznych stosunkach delikatność. Wszakże już z samych znaków, któremi licznie każdą fakturę opatrzył, widzieć się daje niezmierną dbałość kompozytora o najdrobniejsze szczegóły, o wyższą estetyczność wykonania. Sumienne ich zachowanie prowadzi do tój żywotnej różnaitości i delikatnych gry kolorytów, które zaklęta w muzyce poezję uwydatniają. Szopen, wiedząc jak dalece oryginalną jest twórczość jego, dawał utworom swoim szczególnie określniki estetyczne. Nie dowierzając im, chciał nawet dla utrwalenia tradycji swęj muzyki, osobną metodę napisać. Moniuszko również niezwyčajnymi znakami posażył swoje kompozycje, ile że wielka treściwość jego melodyj, oraz małowniczość koloratury, wymagają niezwykłych odcieni w głosie, wytworu i delikatności w massach orkiestralnych. Wszakże nie dość na tём. Tu każde *tempo* winno być odczute świadomą piękną narodowego duszą; każdy ton liryki sercem, każda scena poetyczną, wyobrażnią, odtworzonemi być mają, skoro teatr i estrada dostatecznie rozumieją, jak zaszczytne do spełnienia mają zadanie. Trudną do wykonania jest muzyka Moniuszki i jako taka, nie lada studyów wymaga. Tu nie powierzchowne wdzięki, lecz psychologiczna prawda, oraz przedmiotowość poezji, swą powagą królują. Pełno ruchu i emanacji natychmiastowych, dobytých z wnętrza uczuć, a grających barwami życia. W przebiegu jednéj sceny Moniuszko nieraz przeprowadzi tak rozliczne rytmy, taką wyrzuci ofitość gry uczuciowéj, że trzeba dobrze śpiewakowi na wodzy się trzymać, iżby te same zmiany mógł odczuć i artystycznie zaprodukować. Owszem, trzeba mu nietylko grać tonem, lecz również na odpowiednią baczyć grę słowa i akcji. Moniuszko wiele sobie ważył wspólne czynniki dramatu. Jego muzyka rozlicznie z niemi się splata, lecz im zawsze pozostawia rozwój swobodny pod okiem artystycznego mistrzostwa. Aktor znajduje tu typy, które koniecznie odtworzyć musi, tak dobrze tonem głosu, jak samym wyrazem słowa, postawą, ruchem, zgoła plastyką dramatyczną. Takie typy, jak ów Dziadunia, Marcina, Miecznika i Skożuby, dalej dziewcząt polskich, a potём wybitne typy ludowe, jawią się ciągle na scenie w pełnéj swobodzie przymiotów i charakterystyki. Mistrz ich nie krępuje, nie zamyka ducha w ciasną formułę muzyki, lecz pozwala grać poetycznie, roztaaczać prawdę wszystkiemi jéj objawami, więc pełną fantazyą aktora. Trzeba mu być ognistym i twórczym artystą. Niechże mu intuicya niedopisze w rozpoznaniu charakterystycznęj nuty, niech nie potrafi dobyć z siebie szlachectwa duszy i wznieść się do

idealu, do typu—już ledwie zrozumiała kreację mistrza uczyni. Nikną przez się połowę i ledwie szkicem się jawią utwory Moniuszki przez niestaranną reprodukcję. Nie poznać wtenczas ani wzniosłych i oryginalnie pięknych chórów, ani tego ruchu, co majestatem idealnej prawdy przemawia, ani tych pulsów i wibracji serdecznych, któremi lirę swoją mistrz natchnął. Nieraz Moniuszko o swą Paryę się troszczył i wątpił czy się podoba utwór, co z tajemnic własnego ducha, li z osobistej jego boleści powstał, choć najwprawniejszą ręką wypracowany. Miał słusność. Sztuka słowiańska wychodzi wprost z życia i wszystkie jego rumieńce a kształty w siebie przyjmuje. Ona nigdy nam nie da wielkich radości duchowych, skoro powstawać będzie z samej mgły piękna. Sztuka nasza idzie od ludu i od tradycji, więc grzmi całą potęgą prawdy, świeci tym ogniem uczuć, który w piersiach słowiańskich wiecznie się żarzy, czyto jako oryginalna treść żywota, czy jako nagromadzone skarby dziejowe. W życiu słowiańskich ludów tak młodo a pełno, że dziwnym zaślepińcem wydaje się być sztukmistrz, który nic o tém nie wie. Nie godzi się bowiem lekceważyć plemienia, które wciąż żyje, to rozkwitem, to pamiątkami, to odrodzeniem, zna tajemnice wiary i nadziei, a któremu historia kazała być świadkiem ludzkich dramatów, czuć, cierpieć i wiedzieć wiele.

BRÜHL.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wir sind alle Schauspieler, es kommt nur darauf an, gut seine Rolle zu spielen.

H. Graf v. Brühl.

TOM I.

I.

Pięknym wieczorem jesiennym, o słońca zachodzie, ostatnie trąbki zwołujące myśliwych odzywały się w lesie z jodeł i buków starych złożonym. Szerokim gościńcem przeryzującym puszcę odwieczną, ciągnęły wielkiego dworu łowieckie oddziały, po bokach ludzie z oszczepami i sieciami; konni w zielonych sukniach ze złotymi galonami i kapeluszach z piórami czarnymi: środkiem strojne towarzystwo i wozy ze zwierzyną zielonemi gałęziami umajoną. Łowy musiały pójść bardzo szczęśliwie, gdyż myśliwcy byli w wesołym usposobieniu i na wozach sterczały rogi jeleni, zwieszały się łby dzików z kłami zakrwawionemi.

Przodem widać było orszak pański, świetne stroje, piękne konie i kilka amazońek z różowemi twarzyczkami. Wszystko to przybrane było jak na uroczystość i galę, bo łowy najmilszą stanowiły zabawę panującego naówczas, mniej więcéj, szczęśliwie Saksonii i Polsce Augusta II.

Sam król wiódł łowy, a u boku jego jechał najmilszy syn pierworodny, umiłowany naówczas Saksonii następca, na którym spoczywały nadzieje narodu. Król mimo wieku wyglądał jeszcze wspaniale i rzeźko, na koniu siedział rycersko, a syn równie przystojny, z łagodniejszą nieco twarzą, niemal młodszym bratem się przy nim wydawał. Mnogi i świetny bardzo dwór otaczał dwóch panów. Zdąza na noc do niedalekiego Hubertsburga, gdzie syn ojca miał przyjmować, bo myśliwski zameczek ten do niego należał. W Hubertsburgu czekała na nich królewiczowa Józefa, synowa królewska, cesarskiego Habsburgów domu córą, niedawno młodemu Fryderykowi poświęcona. Dwór królewski tak był liczny, że mu się na zamku trudno było pomieścić. Zawczasu więc rozbito nieopodal namioty w gaju i tam miała noc spędzić znaczniejsza część pańskiego orszaku. Nakryte już były stoły do wieczerzy i w chwili gdy król wjeżdżał na zamek, rozpuszczone myśliwstwo poczęło sobie szukać wyznaczonych stanowisk. Mrok padać zaczynał: pod namiotami gwaro już było i wesoło; odgłosy młodzieńczych śmiechów, które przytomność króla i starszych hamowała, rozlegały się teraz swobodniéj. Po znużeniu całodzienném chwytano za stojące fiasze, choć marszałek nie dał jeszcze znać do stołu. Namioty dla dworu ocienione drzewami oświecały się zapalonymi latarniami; tuż obok przy improwizowanych żłobach ustawiano rżące konie, których głosy niekiedy wywoływały groźne klątwy masztalerzy. Nieznane sobie rumaki poczynały znajomość od kłusania i kwiku, klaskanie z batów pokój przywracało. Daléj jeszcze psiarnie króla dawały znać o sobie szczekaniem i warczeniem. Nakładano sfory; i tu téż dozorca mieli do czynienia aby wrzawę uśmierzać. Ale pod namiotami nie było nikogo, coby młodzieży śmiechy i śpiewy i kłótnie śmiał powagą swą zahamować. Sprzeczano się jeszcze o najpiękniejszą twarz, o najlepszy strzał, o najpochlebniejszego Jego Królewskiej Mości słowo. Królewicz tego dnia był

bohaterem: położył ze sztucea kulą, w sam łeb trafiwszy odyńca, który wprost szedł na niego. Unoszono się nad przytomnością umysłu niezmierną i flegmą, z jaką celował długo i wypalił. Gdy myśliwcy przypadli na strzał chyżo, ażeby rozjuszoną bestyę dobić kordelasami, leżała już brocząc krwią ziemię. Król August pocałował syna, który rękę ojca a pana z uszanowaniem ustami dotknął i pozostał po zwycięstwie tak zimnym i spokojnym jak był przedtém. Jedyną dobrego humoru oznaką było, iż na uboczu potém fajkę sobie podać kazał i dym puszczał daleko większemi kłębami niż zwykle. Wchodziła wówczas w używanie powszechne roślina zwana *tobacco*, którą i Stanisław Leszczyński palić lubił, palił ją zapamiętałe August Mocny, a namiętnie syn jego Fryderyk. Szczególniej przy mężkich ucztach i piwie, nie obeszło się bez fajek. Podawano je na dworze pruskim u króla czy kto chciał czy nie chciał, a jeśli komu dym zawadził koło serca, śmiano się zeń do rozpuku.

Należało do dobrego hulaszczego tonu fajkę ssać od rana do wieczora. Brzydziły się nią niewiasty, lecz ich wstręt nie odstręczał ówczesnych panów od przyjemnego upojenia, jakie owe *tobacco* przynosiło z sobą.

Bardzo młodym tylko zakazywano wczesnego nawyknięcia do tego trunku, który z kartami i winem razem, uchodził za niebezpiecznego uwodziciela.

Pod namiotami téż fajek widać nie było. Znużeni jeźdźcy posiadawszy z koni, gdzie który mógł popadali na ziemię, na kobiercach, na kłodach i ławach. W zamku widać było zapalające się światła rześiste i dźwięk muzyki dochodził do gaju, w którym rozłożony był dwór, służba i czeladź pańska. Nazajutrz miano polować w innym dziale lasów i wczesnie rozporządzono, by wszyscy byli gotowi. Nieco opodał od pozbiieranych w gromadki starszych panów, na drodze wiodącej do zamku, jakby z chęcią dostania się do niego, przechadzał się piękny dwudziestoletni młodzieniec.

Po sukni łatwo było w nim poznać pazia przywiązanego do osoby króla JMci.

Zręczna bardzo, pięknej budowy, giętka, wyłamana, nieco niewieściego wdzięku postać, musiała nań najobjętniejsze

zwrócić oko. Suknie na nim leżały jakby się w nich urodził, peruczka jakby w niej przyszedł na świat ufryzowany, nie potargała się nawet w czasie łowów, a z pod niej wyglądała twarzyczka, niby z mejsenńskiej porcelany, biała, różowa, niemal dziecięcej i dziewiczej piękności, z uśmiechem w pogotowiu na zawołanie, z oczyma bystremi, ale zostającymi na pana rozkazach. Mogły one w każdej chwili pogasnąć i zamilknąć, lub rozplomienić i wypowiedzieć nawet to może, czego w duszy nie było.

Śliczny ów młodzieniec pociągał jak zagadka. Kochali go niemal wszyscy, niewyjmując króla, a mimo to nie było grzeczniejszego, usłużniejszego, potulniejszego stworzenia na dworze. Nie starał się popisywać z niczém, nigdy, nikogo nie chciał nigdy zaćmić, a mimo to wezwany do jakiegokolwiek roboty, wywiązywał się z niej ze zręcznością, łatwością, prędkością i roztropnością nadzwyczajną.

Była to uboga szlachetka z Turynгии rodem, ostatni i najmłodszy z czterech braci Brühlów z Gangloffs-Sömmern. Ojciec jego na dworze malutkim w Weissenfels był jakimś mniejszym jeszcze radcą, pozbywszy pono ojczystego odłużonego majątku, nie miał co zrobić z tym synem, zawczasu go więc oddał, aby się dworskiej trzymał klamki, księżnie wdowie Fryderyce Elżbiecie, mieszkającej najczęściej w Lipsku. Na ówczesne jarmarki do tego miasta zjeżdżały się dwory książęce; lubił je nadewszystko August Mocny i mówił, że na jednym z nich, młody paż ze swą miluchną, uśmiechniętą twarzyczką wpadł mu w oko. Księżna go chętnie królowi JMci ustąpiła.

Osobliwsza rzecz, że chłopak co takiego pańskiego, wspianego a pełnego etykiety dworu, nigdy w życiu nie widział a może i nie śnił, od pierwszego dnia wrodzonym instynktem wpadł na dobry tor i tak swą służbę zrozumiał, że starszych od siebie królewskich paziów gorliwością i zręcznością prześcignął. Król mu się wdzięcznie uśmiechał, bawiła go pokora chłopaka, który w oczy patrzył, myśli zgadywał, nie skrzywił się nigdy, a przed słonecznym majestatem króla Herkulesa i Apollina, padał na twarz z uwielbieniem.

Zazdrościli mu służący z nim razem, lecz krótko przejeżdżał ich dobrocią, łagodnością, skromnością i chętnem do usłu-

gi sercem. Nie obawiano się wcale aby takie niebożątko pokorne, mogło zająć wysoko. Ubogie też to było, a rodzina Brühlów, choć stara szlachecka, tak podupadła naówczas, że o niej spokrewnieni zapomnieli. Nie miał więc innego protektora nad tę swoją wdzięczną, miłą, uśmiechnioną twarzyczkę.

Ale do malowania był też ładny... kobiety, starsze zwłaszcza, patrzyły nań wdzięczącemi się oczyma, on swoje naówczas spuszczał zmieszany. Nigdy słówko złośliwe, ów dowcip paziowski, który za cechę młodzieży dworskiej uchodził, nie wyrwało się z ust jego. Brühl był z uwielbieniem dla pana, dla dostojnych dygnitarzów, dla pań, dla sobie równych i dla całej służby i kamerlokajów królewskich, którym szczególnie poszanowanie okazywał, jak gdyby już naówczas znał tę wielką tajemnicę, że przez najmniejszych dokonywały się największe rzeczy, i że lokaje obalali cichuteńko ministrów, a ministrom trudno było ruszyć lokajów; wszystko to szczęśliwie obdarzonemu młodzieńcowi dyktował instynkt, jakim go uposażyła szczodroblawa matka-natura.

I w tej chwili gdy Henryczek (pieszczotliwie go tak zwykle nazywano) przechadzał się samotny po ścieżce do zamku od namiotów wiodącej, rzekłbyś że to czynił ażeby nikomu nie zawadzać, a wszystkim na oku będąc, stać do usług w pogotowiu.

Tego rodzaju ludziom szczęście dziwne służy... Gdy tak bez celu się przechadzał, z zamku wybiegł młody, równie piękny chłopak, prawie rówieśnik co do lat, ale suknią i powierzchownością całę różny od skromnego Brühla.

Znać było po nim że siebie pewny, już nie wiele miał do życzenia. Słusznego wzrostu, mężny, zręczny, z oczyma czarnemi, bystro patrzącemi na świat, z postawą pańską, młodzieńiec szedł żywo, jedną rękę założywszy za szeroką kamizelę wyszywaną bogato, drugą pod połę sukni myśliwskiej, galonowanej przepysznie. Peruka jaką miał na łowach, starczyła mu za kapelusz. Rysy jego twarzy porównane z miluchną Brühla, jakby malowaną przez włoskiego mistrza XVII-go wieku, miały zupełnie różny charakter. Pierwszy więcćj był stworzony na dworaka, drugi na żołnierza.

Kłaniali mu się wszyscy po drodze, i witali go uprzejmie, był to bowiem od lat dziecinnych towarzyszy i przyjaciel króle-

wicza, najulubieńszy jego łowów wspólnik, małych tajemnic powiernik, hrabia Aleksander Sułkowski (syn nie mającego też polskiego szlachcica), który paziem był wzięty niegdyś na dwór Fryderyka, a teraz domem i łowami zarządzał. Już to samo znaczyło wiele, że mu królewicz powierzył co miał najmilszego w świecie, bo polowanie dlań stanowiło nie zabawę i rozrywkę, ale całe zajęcie i najważniejszą pracę. Sułkowskiego szanowano i obawiano się razem, bo choć August II wyglądał przy swém zdrowiu i sile na nieśmiertelnego, prędzej lub później bóstwo to musiało skończyć jak najprostszemu śmiertelnikowi. Z nowym słońcem wschodzącym i tą gwiazdą na horyzont saski wnijść musiała i przyswiecać jej swym blaskiem.

Na widok zbliżającego się Sułkowskiego, skromny paź królewski ustąpił z drogi, przybrał postać baranka, zgiął się nieco, uśmiechnął wdzięcznie i zdawał taką okazywać radość, jakby mu najpiękniejsza z bogiń dworu Augusta się ukazała. Sułkowski przyjął ten uśmiech i nieme, pełne poszanowania powitanie, z powagą ale z łaskawością razem. Z dala ręką wyjętą z za kamizeli potrząsł i nieco głowę uchylił, zwołnik kroku, zbliżył się i odwracając do Brühla, rzekł wesoło:

— Jak się masz Henryku! cóż tak samotnie rozmyślasz? Szczęśliwy, możesz odpoczywać, a ja tu za wszystko odpowiedzialny i nie wiem od czego począć, żeby o niczym nie zapomnieć.

— Gdybyś hrabia kazał mi sobie pomódz?

— A! nie, dziękuję ci; trzeba obowiązki swe spełnić! Dla takiego gościa jak nasz pan miłośniwy, wszelki trud miły.

Westchnął zlekka. Cóż? polowanie się udało; ja, jak wiész, nie mogłem być na niém, łowczego wysłałem z ekwipażami, w zamku tyle było przygotowań...

— Tak! polowanie się wybornie udało, N. Pan był w humorze, w jakim go oddawna nie widziano.

Sułkowski do ucha Brühlowi się pochylił:—Któż tam teraz w alkwowie panuje? he?

— Doprawdy, nie wiem: mamy pono bezkrólewie?

— A! a! to nie może być!—zaśmiał się Sułkowski—Dieskau? nie...

— A! nie, to są dawno pogrzebione rzeczy... ja, nie wiem.

— Jakżebyś ty, paż królewski, nie wiedział?

Brühl spojrział nań z uśmiechem.

— Kiedy wszyscy wiedzą, paziowie wiedzieć niepowinni...
Myśmy jak tureccy *muets*, głusi i niemi.

— A! rozumiem—odparł Sułkowski—ale, między nami.

Brühl zbliżył się do ucha hrabiego i rzucił w nie słówko dyskretne, ciche, jak szelest listka spadającego z drzewa jesienią.

— *Intermezzo!*—rzekł Sułkowski.

Zdaje się że teraz po tylu wielkich dramatach, z których każdy tyle naszego drogiego pana kosztował boleści, pieniędzy i troski, już na *intermezzach* poprzestaniemy.

Sułkowskiemu pod namioty do których zdawał się kierować, widać już nie było pilno, ani na zamek z powrotem. Wziąwszy Brühla pod rękę, co pazia uszczęśliwiło widocznie, zamysłony, począł z nim przechadzkę.

— Mam chwilę wytchnienia—odezwał się—miło mi jęć użyć w waszém towarzystwie, chociaż my oba jesteśmy pomęczeni tak, że i rozmowa być może trudem.

— O! ja nie a nie!—odparł Brühl—a wierz mi hrabio, dla was chodziłbym noc całą i nie czułbym się znużonym. Od pierwszej chwili gdy miał szczęście zbliżyć się do was, uczułem razem najwyższy szacunek, i jeśli mi się godzi to powiedzieć, najżywszą, najgłębszą przyjaźń. Przyznać się mam? ale prawdziwie żem się po tój dróżynie wybrał przechadzać z jakimś przecuciem, z nadzieją, że was choć z dala zobaczę i pozdrowię, a tu mię spotyka szczęście takie.

Sułkowski spojrział na uradowaną, rozjaśnioną twarz i ścisnął podaną rękę.

— Wiercież mi—odezwał się—iż nie trafiliście na niewdzięcznika: na dworze przyjaźń taka bezinteresowna jest rzadka, a wzięwszy się za ręce we dwóch daleko zajść można.

Oczy ich się spotkały, Brühl skinął głową.

— Wy jesteście przy królu i w łaskach.

— O! o!—odparł Brühl—nie pochlebiam sobie.

— Ja wam zaręczam! słyzałem to z ust własnych Najjaśniejszego Pana, chwalił waszą usłużność i rozum. Wy jesteście w łaskach lub na drodze do nich... to od was zależy.

Brühl nader skromnie złożył ręce.

— Nie pochlebiam sobie.

— Ja wam mówię—powtórzył Sułkowski—ja mam serce Fryderyka, mogę się pochwalić tém, że mnie przyjacielem nazywa. Sądzę że nie obszedłby się bezemnie.

— Wy, to co innego—przerwał Brühl żywo—mieliście to szczęście towarzyszyć od najmłodszych lat królewiczowi, mieliście czas pozyskać jego serce, a któżby się nie przywiązał do was, zbliżywszy!! Co do mnie, obcy tu niemal jestem.

Winienem łasce księżnej że mnie przy boku J. K. Mości umieściła; staram się wdzięczność moją okazać, ale na ślizkiej posadzce dworu jakże to utrzymać się trudno. Im więcej gorliwości dla pana okażę, którego czczę i kocham, tém na większą zazdrość zarabiam. Każdy uśmiech pański opłaca się wejrzeniem jadu pełném. Gdy człowiek mógłby być najszczęśliwszym, musi drżać.

Sułkowski słuchał roztargniony.

— Tak! to prawda—rzekł cicho—lecz wy macie wiele za sobą i obawiać się nie macie powodu. Uważałem na was, metodę przyjęliście przedziwną: jesteście skromni i macie cierpliwość. Na dworze dosyć jest ustać w miejscu, to się posunie mimowoli, a kto się nazbyt rzuca, ten najłatwiej pada.

— A! czerpię najdroższe rady z ust waszych!—wykrzyknął Brühl—co za szczęście mieć takiego przewodnika.

Sułkowski zdawał się za dobrą monetę brać ten wykrzyknik przyjaciela i z niedostrzeżoną dumą uśmiechnął się: pochlebiało mu uznanie tego, o czém był w głębi duszy najmocniej przekonany.

— Nie lękaj się Brühl—dodał—idź śmiało, a rachuj na mnie.

Wyrazy te zdały się w najżywsze zachwycenie wprawiać młodego Henryka, złożył ręce jak do modlitwy, twarz jego błysła radością, spojrzał na Sułkowskiego i zdawał się tylko wahać, czy mu się do nóg nie ma rzucić.

Wspaniałomyślny hrabia z protekeyonalną dobrocią uściśnął go.

W téj chwili na zamku zabrzmiały trąby: był to jakiś znak zrozumiały znać dla młodego faworyta, który tylko ręką dawszy znak towarzyszowi że pośpieszać musi, rzucił się krokiem żywym ku zamkowi.

Brühl pozostał sam, wahał się trochę co począć z sobą. Król go od służby wieczornej uwolnił, i pozwolił mu spocząć tego wieczoru, miał więc swobodę zupełną. Pod namiotami rozpoczynała się wieczera dla dworu. Chciał zrazu pójść i razem z innemi się zabawić, potem z dala popatrzwszy, w bok się skierował i zadumany ścieżyną w głąb lasu idącą, poszedł wolnym krokiem. Chciał być może sam na sam z myślami, choć wiek jego i twarzyczka o głębokie rozmyślenia posądzić go nie pozwalały. Prędzójby na ówczesnym dworze, pełnym miłostek i intryg kobiecych, o jakąś serdeczną chorobę podejrzwać się godziło. Ale na spokojnej wielce twarzy niewidać było troski sercowej, która się maluje na niej, łatwemi do poznania symptomatami. Brühl nie wzdychał, patrzył chłodno, brew miał namarszczoną, usta zacięte, prędkiej rachował coś i kombinował niż z uczuciem walczył.

Zadumany tak głęboko, pominął namioty, konie, psiarnie, rozłożone ogniska ludzi spędzonych dla łowów, którzy się z toreb dobytym chlebem z sobą posilali, gdy obok piekły się dla panów jelenie i warzyły korzenne polówki. Około dwóchset do obławy spędzonych Wendów gwarzyło cicho, w języku niezrozumiałym, nieśmiejąc nawet głośniej się rozśmiać. Z namiotów dolatywały ich wesołe okrzyki, spoglądali i im tam szumiano głośniej, tém oni starali się ciszej sprawować. Łowczych kilku czuwało nad tą gawiedzią, która sobie chleb swój z domów przynieść musiała, bo o niej jednej na zamku nie pamiętano. Dla psów gotowano w kotle strawę, o nich nikt się nie kłopotał. Prędko téż skończyli wieczrę o chlebie i wodzie. Większa część już się pod drzewami na trawie kładła, aby do rana snem się pokrzepić. Brühl ledwie na nich okiem rzuciwszy, poszedł dalej. Wieczór był piękny, spokojny, ciepły, jasny i gdyby nie opadające liście żółte starych buków, wiosnęby przypominał. W powietrzu woń lasów zdrowa, zapach uwiedłłej zieleni, wyziewy jedlin, unosiły się lekkim wietrzykiem, który ledwie gałązki poruszał.

Za gajem w którym obozowano, panowała już cisza, samotność, pustynia, gwar tu zaledwie dolatywał, drzewa zasłaniały zamek, można się było sądzić daleko od ludzi.

Brühl podniósł głowę i wolniej odetchnął, twarz której układać nie potrzebował dla ludzi, jakby na wolność puszczona, przybrała wyraz nowy; lekki, sardoniczny uśmiech, przebiegł po niej i dziecięcy ów dobroduszny, łagodny wdzięk straciła. Jedną ręką podparł się w bok, drugą do ust przyłożył, zadumał. Sądził się tu zupełnie sam, lecz jakież było jego zdumienie i niemal przestach, gdy o kilka kroków, pod ogromnym bukiem starym, spostrzegł dwie postacie jakieś, nieznanne, dziwne, podejrzone. Mimowoli się cofnął krok i począł pilniej przypatrywać. W istocie o kilkadziesiąt tylko kroków od królewskiego obozu, wyglądało dziwnie, podejrzenie nawet tych dwóch ludzi siedzących pod drzewem. Obok nich widać było leżące kije podróżne i dwie torbki z ramion tylko co zdjęte.

Mrok wieczorny nie dawał dobrze rozeznąć twarzy, ani ubiorów; lecz Brühl domyślił się raczej niż zobaczył, skromnie po podróżnemu przybranych, dwóch młodych jak on sam ichmościów.

Wpatrzywszy się pilniej dostrzegł twarzy nieco, które zdały mu się szlachetniejszych rysów, niż wędrowniej rzemieślniczéj czeladzi, za którą zrazu ich wziąć miał ochotę. Po ciachu toczyła się rozmowa, ale dosłyszéc jej nie mógł.

Lecz cóż tu, pod bokiem króla, ci podróżni na ustroniu robić mogli? Ciekawość, obawa, nieufność, nie dozwoliły mu odejść. Zamyślił się czyby nie należało dać znać do namiotów.

Więcej potem instynktem niż rachubą wiedziony, przyspieszył kroku i stanął tak że go siedzący na ziemi zobaczyć mogli. Ukazanie się jego musiało nieco zdziwić spoczywających, gdyż jeden z nich wstał spiesznie i przypatrując się przybyłemu, chciał jakby spytać, co tu robi i czego od nich chciéć może?

Brühl nie czekał tego pytania, podszedł kilka kroków i odezwał się tonem dosyć surowym:

— Co tu waszmość robicie?

— Odpoczywamy—odezwał się siedzący na ziemi. Czy zakazany jest tu spoczynek podróżnym?

Głos brzmiał łagodnie, a język zapowiadał wykształconego człowieka.

— O kilkadziesiąt kroków dwór N. Pana i sam król.

— Czybyśmy mieli zawadzać?—dodał znowu siedzący, wcale nie zdając się strwożonym.

— Ale waszmość sami sobie najszkodliwsi być możecie—odparł Brühl żywo. Lada kto z łowczych może was tu odkryć i posądzić o jakie złe zamiary.

Śmiechem łagodnym odpowiedział na to spoczywający na ziemi i wstał, a wyszedłszy z cienia drzew, ukazał się Brühl'owi jako pięknej i szlachetnej postawy młodzian z długimi włosami na ramiona spadającymi. Po jego stroju poznać w nim było łatwo studenta jednego z niemieckich uniwersytetów. Nie miał on żadnych oznak na sobie, ale prosta suknia, długie buty, z kieszeni wyglądająca książka, czapeczka jaką nosili *studiosi*, dostatecznie go cechowała.

— Co waszmość tu robicie?—powtórzył Brühl.

— Wyszliśmy na wędrowkę, aby Bogu oddać cześć w naturze, aby odetchnąć powietrzem lasów, ciszą ich ukołysać duszę do modlitwy—począł powoli młodzieniec. Noc zaskoczyła nas tutaj: o królu, o dworze nie wiedzielibyśmy nawet, gdyby nas tu nie doszła wrzawa łowiecka.

I wyrazy i sposób w jaki je wymawiał stojący przed nim, uderzyły Brühla. Człowiek to był z innego jakiegoś świata.

— Pozwolisz pan—dodał spokojnie student—iż jako zapewne władzę tu jakąś mającemu, zamelduję osobistość moją. Jestem Mikołaj Ludwik hrabia i pan na Zinzendorfie i Pottendorfie, a w tej chwili *studiosus*, szukający źródła mądrości i światła, zbłąkany na manowcach świata wędrowiec.

Skłonił się.

Usłyszawszy nazwisko, Brühl popatrzył uważniej. Światło wieczora i lekki blask księżyca wschodzącego opromieniły piękną twarz mówiącego.

Stali przez chwilę niemi, jak gdyby oba nie wiedzieli jakim do siebie mówić językiem.

— Ja jestem Henryk Brühl, paż do osoby J. K. Mości przywiązany.

Skłonił się lekko.

Zinzendorf zmierzył go oczyma.

— A! bardzo mi was żal!—westchnął.

— Jakto żal? dlaczego?—zapytał zdumiony paż.

— Dlatego że dworactwo to niewola, że paziostwo to służba i chociaż szanuję pana naszego, milój mi sercem i duszą poświęcać się czci i służbie Pana na niebiosach, Pana nad pany, a miłością zatapiać w Jezusie Chrystusie Zbawicielu. Właśnie pan znalazł tu nas na cichój modlitwie, gdyśmy myślami usiłowali zjednoczyć się z Panem naszym, który nas krwią swą odkupił.

Brühl tak był zdziwiony, że krok odstąpił jakby się obłąkanego uląkł w młodzieńcu, który z wielką słodyczą, ale bardzo patetycznie wymówił te wyrazy.

— Wiem—dodał Zinzendorf spokojnie—iż się to wydać wam musi, wam co macie w uszach jeszcze szczebiotanie i śmiechy dworskie, dziwném i nieprzyzwoitém może; ale ilekroć myślą pobożną, uda się zakolać do serca chrześcianina uśpionego, jakże tego nie dopełnić?

Brühl stał niemy.

Zinzendorf zbliżył się doń.

— To godzina modlitwy... słuchaj pan, lasy szumią chór wieczorny: chwała Panu na wysokościach! strumień szemrze pacierze, księżyc wszedł przyświecać nabożeństwu natury, a serca nasze nie miałyby się połączyć ze Zbawicielem w tej uroczystej chwili.

Ostąpiął paż słuchał i nie zdawał się rozumieć.

— Widzisz pan przed sobą dziwaka—dodał Zinzendorf—lecz czyż światowych dziwaków mało spotykasz i przebaczasz im, a niemiałbyś pobłążyć z gorącego ducha płynącemu zachyceniu?

— Prawdziwie—szepnął Brühl—ja sam jestem pobożny, lecz...

— Lecz zapewne chowacie pobożność waszą na dnie serca, lekając się by ją ręka, słowo profanów nie tknęło? Ja ją wywieszam jako chorągiew, bom gotów bronić jej życiem i krwią moją.

Bracie w Chrystusie—rzekł zbliżając się doń Zinzendorf—jeśli ci zacieżyło życie w ukropie i wirze tego dworu, bo inaczéj sobie nie tłumaczę wieczornéj waszéj przechadzki samotnéj, siadź tu spocząc z nami, razem się pomódlmy. Ja czuję w sobie pragnienie modlitwy, a we dwóch, we trzech spotęgo-

wana bratersko, może dolecieć do tronu Tego, który dla nas robaków dał krew swoją.

Bracie!

Brühl jakby się zląkł, ażeby go nie zatrzymano, cofnął się nieco.

— Zwykłem się modlić sam—rzekł—a tam powołują mnie obowiązki, więc darujecie mi.

Wskazał ręką w stronę, od której gwar ich dochodził.

Zinzendorf stał.

— Żal mi was—zawołał—gdybyśmy tu pod tém drzewem zanucili pieśń wieczorną: Bóg nasza twierdza, Bóg nadzieja nasza...

— Naówczas—dorzucił paż—posłyszałby to w łowczy, lub który z podkomorznych króla i nie zamknęliby nas do kordegardy, bo tu jój niéma, aleby odprowadzili do Drezna pod Frauenkirche i osadzili na obwachu.

To mówiąc ruszył ramionami, skłonił się lekko i chciał iść, ale Zinzendorf zastąpił mu drogę.

— Czy istotnie wzbroniono się tu znajdować?—zapytał.

— Może to was podać w podejrzenie i na nieprzyjemności narazić. Życzę się oddalić. Za Hubertzburgiem jest wieś i gospoda, która da wygodniejszy nocleg, niż pień bukowy.

— Którędyż iść mamy, aby nie woijsć w drogę N. Panu?—zapytał Zinzendorf.

Brühl wskazał ręką i już odchodził.

— Wyminąć gościniec będzie dosyć trudno, panie hrabio; lecz jeśli wam służyć mogę wyprowadzając pod moją opieką na drogę: służę.

Zinzendorf i milczący jego towarzysze pobrali prędko węzełki swe i kije i pośpieszyli za Brühlem, który wcale się nie zdawał rad temu spotkaniu. Zinzendorf miał czas nieco ochłonnać z ekstazy, w jakiej go Brühl niespodziewanie się zjawiając zastał. Widać w nim było człowieka wyższego towarzystwa i przyzwoitego w obejściu. Ostygłszy zupełnie, przeprosił nawet za to że się tak dziwacznie odezwał.

— Nie dziwuj się pan—rzekł zimno—nazywamy się wszyscy chrześcianami i synami Bożemi, a w istocie poganami jesteśmy mimo obietnic na chrzcie uczynionych. Obowiązkiem

więc każdego nawracać i apostołować, ja sobie z tego czynię życia zadanie. Cóż po nauce w słowach, gdy jej niema w czynach? Katolicy, protestanci, reformowani, wszyscy, wszyscy żywotem poganami jesteście. Bogów nie czcimy, bo ołtarzów ich nie ma, ale im składamy ofiary.

Kilku księży sprzecza się i plwa na się o dogmata, a Zbawiciel na krzyżu krwią opływa, która w ziemię wsiąka nadaremnie, bo nią ludzie zbawionemi być nie chcą.

Westchnął.

* W tej chwili gdy kończył uroczyste wyrazy, ukazał się obóz i buchnęła zeń wrzawa od kufli, które spełniano z hałasem. Zinzendorf z przerażeniem spojrzął.

— Nie sąż to bachanalia, tylko co nie słyszę Evoe!—zawołał—idźmy prędzej, przybity się czuję do ziemi i upokorzony.

Brühl przodem idący nie odpowiedział nic. Tak wymięli obóz, idąc bokiem wskazał im blizki gościniec, a sam jakby co prędzej się chciał uwolnić od towarzystwa tego, skoczył żywo ku oświeconemu namiotowi.

Jeszcze w uszach brzmiały mu dziwaczne wyrazy Zinzendorfa, gdy widok osobliwszy oczom się jego w namiocie przedstawił. Wprawdzie w owych czasach i na tym dworze nie był on tak bezprzykładnym, aby miał zdumiewać, wszakże mało kto okazywał się publicznie w takim stanie, w jakim Brühl zastał pana radzcę wojennego Pauli.

Radzca leżał w środku namiotu na ziemi, ogromny gąsior próżny, rozbity obok niego, obie ręce rozkrzyżowane, twarz karmazynowa, suknie porozpinane, podarte, a wielki pies gończy, znać faworyt pański, siedząc nad nim lizał mu oblicze i skowyczał...

Stojący wkoło śmieli się do rozpuku.

Radzca wojenny Pauli, który obowiązany był zawsze znajdować się pod ręką króla dla mnogich korespondencyj, które po trzeźwemu i po pijanemu nawet z kancelaryjną wprawą bardzo zręcznie redagował: nie poraz pierwszy tak nieszczęśliwie zwyciężonym został od gąsiorka. Trafiło mu się często w miękkiem łożu i pod ławą i przy ścianie spoczywać po libacyach,

ale tak skandalicznie jak dziś na pośmiewisko być wydanym... przechodziło miarę.

Brühl zaledwie to spostrzegł, rzucił się ku nieszczęśliwemu i zajął się dźwignięciem go z ziemi. Drudzy opamiętawszy się dopomogli i z niemałym wysiłkiem udało się pana radcę usunąć z przed oczów, składając go na posłanie z siana, które było przygotowane w kącie. W chwili gdy go we trzech ruszono z ziemi, obudził się Pauli, powlókł oczyma po bliższych twarzach i wybełkotał:

— Dziękuję ci, Brühl... ja wszystko wiem, rozumiem, pijany nie jestem... tak, mdłości. Ty jesteś wcale dobry chłopiec: dziękuję ci Brühl.

To mówiąc powieki przymknął, westchnął ciężko, mruknął:

— Ot to służba!! i usnął.

II.

Na zamku królewskim paziowie przyboczni Augusta II-go mieli wyznaczone pokoje, w których, oczekując rozkazów, na służbie czuwali. Konie dla nich, na przypadek, gdyby który miał być wysłany, zawsze stały w pogotowiu. Mieniali się u drzwi i w przedpokojach, towarzyszyli N. Panu, a często, gdy się inni starsi pod ręką nie znaleźli, z rozmaitemi pismami i rozkazami wyprawiani bywali. Gorliwie bardzo utrapioną tę służbę pełnił młody Brühl, sprawiał ją z kolei za siebie, a nawet chętnie za drugich, tak, że król często go mając na oczach, przyzwyczajął się do twarzy i usługi.

— A ty tu znowu, Brühl?—zapytywał z uśmiechem.

— Na rozkazy W. K. Mości.

— Nie przykrzy ci się?

— Najszczęśliwszy jestem, będąc dopuszczonym do oglądania oblicza pańskiego.

I kłaniał się młody chłopak, a K. J. Mość po ramieniu go klepał.

Nigdy odpowiedzi nie był dłużnym, nigdy nic dlań trudnym ani niepodobnym nie było; w skok biegł i sprawiał co kazano, niezwłocznie. Dnia tego przychodziły kresy i odprawiać mia-

no odpowiedzi; oczekiwano na nie od rana. Często się na-
ówczas poczty opóźniały, bo lub koń padł, albo rzeka wylała,
lub pocztylion zachorzał, nie było więc czasu oznaczonego
ściśle. Od rana radzca wojenny Pauli, który królowi depesze
redagował, czekał na kresy i rozkazy.

Z razu bardzo cierpliwie.

Radzca, którego nieszczęśliwy wypadek w Hubertsburgu
widzieliśmy, przespał się potem, obmył i wstał, nie czując nic
więcej, nad doskwierające pragnienie.

Wiedział on, że matka natura podstępem go zażywała,
aby do napicia się wody nakłonić, ale wodzie poprzysiągł był
oddawna wstręt i pogardę, i mawiać zwykł, że Pan Bóg
stworzył ją dla gęsi nie dla ludzi. Nie dał się więc złudzić
pragnieniem i zalał robaka winem: zaraz mu się lepiej i różniej
zrobiło, a wkrótce potem przeszła choroba owa i zostało po
niej tylko mętne wspomnienie.

Zapamiętał wszakże radzca, że Brühl go ratował w owęj
dobie nieszczęśliwej i złożył na posłaniu, a zawiązała się od
tego czasu przyjaźń czuła pomiędzy starym Pauli a młodym
paziem.

Brühl, który nie gardził niczyją łaską, przywiązał się
do radzcy. Człowiek to był niemłody już, okrutnie służbą
ciężką około dzbana zmęczony, przytém niepomiernie otyły, co
mu ruchy utrudniało; nogi nie bardzo już służyć chciały,
a po obiedzie, gdy tylko mógł, natychmiast, bodaj stojąc,
drzemać był gotów. Twarz Paulego była rumiana, wpadająca
w fioletową, rysy rozlane, podbródek zawieszisty. Ręce, nogi
i on wszystek wydawał się jak nabrzękły.

Wszakże, gdy się wystroił do dworu, pozapinał, wyprosto-
wał i przybrał swą urzędową postać, można go było wziąć
za poważnego bardzo człowieka. Do króla tak był nawykł,
a król do niego, że z jednego słowa, bo z wejrzenia Augusta,
wysnuwał cały list, myśl odgadł, formę trafił i nigdy sprosto-
wywać jój nie potrzebował król J. M. Dlatego Paulego
lubił bardzo i potrzebował go zawsze, a chciał mieć pod ręką;
dlatego radzcy wspaniałomyślnie przebaczał, jeśli się nawet
zapił, zalał i w chwili ważnej nie mógł dźwignąć.

Naówczas trzech pokojowców budzić go musiało, a radzca nie otwierając oczów, przewracany po łóżku, odpowiadał: „zaraz! natychmiast! Oto jestem! w ten moment!“ Ale nie wstał aż mu wyszumiało, co przebrał.

Gdy otrzeźwiał, mył się wodą zimną, podawano mu dla rozjaśnienia myśli kieliszek czego mocnego i szedł do króla.

Podobne rzeczy trafiały się wówczas nie jemu jednemu, upijał się przyjaciel królewski Fleming, ba i innych wielu. Śmiano się z tego, choć słabą mieć głowę za srom wielki uchodziło.

Tego dnia, gdy właśnie na kresy, jakieśmy mówili, czekano, radzca Pauli siedział w marszałkowskiej sali i ziewał. Dobrał sobie wygodne krzesło szerokie, nogi wyciągnął, ręce na żołądku spiął, głowę nieco spuścił, wygodnie ją na fundamentach rozłożystych podbródków umieściwszy i dumał. O śnie mowy być nie mogło, bo któż może zasnąć na czczo i nieprzygotowany wiatykiem stosownym na podróż z Morfeuszem po krajach marzeń?

Obrazy pozawieszane w salce, dawno mu były znane, nie mógł się więc im przypatrywać. Ziewał niekiedy, a ziewał tak okropnie, że mu w szczękach trzaskało.

Był to widok serca rozdzierający. Radzca taki poważny, zasłużony, zmuszony ziewać na czczo.

Zegar ukazywał z razu dziesiątą, potem jedenastą, a radzca siedział, poziewał i strząsał się, bo po nim dreszcze czczości przebiegały. Był w téj chwili najnieszczęśliwszym z ludzi.

W téj saméj sali kręcili się paziowie, podkomorzowie, szambelanowie, osoby na posłuchanie oczekujące, lub powracające od króla. Nikt nie śmiał spoczynku przerywać panu radzcy.

O jedenastéj wszedł młody Brühl, który na swą godzinę służby czekał. Pięknym był, jak cherubin w swoim stroju paziowskim z wielką elegancją włożonym. Twarz mu się, jak zwykle śmiała dobroduszością i grzecznością nadskakującą; nikt nad niego nie miał kształtniejszej stopy, piękniejszej nogi, świeższych koronek przy mankietach, lepiej leżącego fraka i wytworniej ufryzowanej peruczki. Oczy mu się śmiały, biegając po twarzach i po ścianach. Czarodziej prawdzi-

wy ujmował uśmiechem, słowem i ruchem, całą postawą. Zoczywszy go radzca, nie wstając wyciągnął doń rękę.

Brühl podbiegł chyżo.

— Jakżem szczęśliwy!—zawołał.

I skłonił się z pokorą.

— Chyba ty mnie uratujesz! Brühl! Wystaw sobie jestem na czczo!

Kiedy przyjdą kresy?

Paż spojrział na zegar i ramionami ruszył.

— *Chi lo sa?*—odparł tym językiem, który obok francuzkiego, był niemal dworu mową, bo się już wówczas powoli włoska kolonia zwiększała w Dreźnie.

— Jedenasta! a ja na czczo! natura dopomina się praw swoich! Przyjdzie z głodu umierać!

To mówiąc radzca ziewnął, wstrząsnął się cały—Brr!—i strzepnął.

Brühl stał niby zamyślony, pochylił się wygięty cały do ucha Paulemu:

— Radzco, *est modus in rebus!* dlaczego zasiedliście, jakby na publicznej drodze? Obok jest pokój, z którego drzwi wychodzą na kurytarz wiodący do kuchen i kredensów, tamby wysmienicie, nim co będzie, można coś kazać podać z kuchni, i coś z piwnicy.

Oczy się rozśmiały pocziwemu radzcy, ruszył się zaraz, ale niełatwo mu było powstać. Obu rękami musiał się zeprzeć na poręczach, łokcie podnieść do góry i stękając, całą swą ciężką figurę dźwignął nareszcie.

— Zbawco mój!—zawołał—ratujże mnie nieszczęśliwego!

Brühl skinął i wsunęli się we drzwi poboczne do gabinetu o jednem oknie. Tu! o cudo! jakby się spodziewano Paulego, czarodziejska jakaś siła, stół już wcześniej przygotowała. Stało przed nim krzesło szerokie, wygodne, jakby do tuszy Paulego zrobione; na białym, jak śnieg obrusie, zastawione porcelanowe, białe z siném nakrycie, maleńka wazka, maleńki półmisek z pokrywą i spory gąsiorek złocącego się wina.

Radzca zobaczywszy to, ręką zrobił ruch w powietrzu, i jakby się obawiając, aby go kto nie uprzedził, nie pytając, co

rychlej zajął miejsce, serwetę pod brodę założył, ręką sięgnął do wazki i dopiero, przypomniawszy sobie Brühla, odwrócił się.

— A wy?

Paź głową potrząś. — To dla was, kochany panie radzco!

— Niech ci płacą bogowie! — zawołał w uniesieniu Pauli, — niech ci Wenus da najpiękniejszą z dziewcząt drezdeńskich, niech ci Hygea da żółądek, trawiący kamienie; niech ci Bachus da wiekuiste pragnienie i środki zaspakajania go węgrzynem: niech ci...

Ale jedzenie nie dało mu dokończyć, pogrążył się w niem cały. Brühl stał, jedną ręką o stolik oparty, w postawie wdzięcznej, przypatrując się radzcy z uśmiechem. Pauli nalał sobie pierwszą wina szklankę. Spodziewał się on lekkiego, powszedniego węgrzynka, jakim dwór raczono; lecz gdy do ust wziął i pociągnął, twarz mu się rozjaśniła, rozpromieniła, oczy zabłyśły, a wypiwszy i opadłszy na poręcz, w błogiem uspokojeniu pogładził się po piersiach tylko. Anielski uśmiech usta mu przeleciał.

— Bozki napój! Cudotwórco mój, zkadżes go wziął? Ja go znam, to wino królewskie, to tokaj; powąchaj, posmakuj: ambrozja, nektar!

— Niechże radzca zaszczyca go swą łaską i gąsiorzkowi nie daje wysychać lub pójść na usta profanów, którzy go nie smakując, przez gardła przeleją.

— A byłoby to istną profanacją! — zawołał radzca, nalewając drugi kielich, równający się dobrej szklanicy. — Za zdrowie wasze, za powodzenie wasze. Brühl... będę ci wdzięczen do śmierci: ocaliłeś mi życie. Jeszcze pół godziny, a trupaby ztąd wynieśli, na Frydrychstadt. Czułem, jak życie uchodziło ze mnie.

— Bardzo się cieszę — rzekł Brühl — że mogłem tak małym kosztem pamięci trochę, przysłużyć się panu radzcy ale proszę pić!

Pauli wychylił drugi kielich, językiem o podniebienie plasnął, ręką począł w powietrzu, jakby lot ptaka naśladować i rzekł:

— O! co za wino, co za wino! to jest tego rodzaju napój, że każdy następnny kieliszek, coraz lepiej smakuje. Jest ono, jak

dobry przyjaciel, którego im bliżej poznajemy, im w ściślejszy z nim wchodzimy związek, tém się więcéj przywiązujemy do niego.

Ale Brühl, kochany Brühl, jeśli nadejdą depesze, jeśli N. Pan zawoła, jeśli będzie trzeba koncytować list do Berlina lub do Warszawy, albo do Wiednia...

Odwrócił głowę z pytaniem, ale trzeci kieliszek nalewał.

— Panie radzco, taki jeden gąsiorek dla pana? Cóż to jest? to tylko *exhilaracya* niewinna, to *stimulans*, to... nic.

— Masz słuszność, Brühl; nie takie się już rzeczy o nasze głowy obijały. Zaśmiał się radzca. Najgorsza rzecz mieszać trunki. Któż może wiedzieć w jakich one są z sobą stosunkach? Trafi się nieprzejednany wróg, naprzykład austryackie wino z francuzkiem: zaczynają iść na udry w żołądku i głowie, a człowiek pokutuje. Ale gdy się pije jedno uczciwe, rozumne, dojrzałe wino, nie ma niebezpieczeństwa: gospodaruje sobie w człowieku spokojnie i nic złego nie uczyni.

To mówiąc radzca jadł mięso przypieczone i oblane sosem zawiesistym, a coraz tokajem popijał i uśmiechał się. Brühl stał, patrzył, a gdy kielich się wypróżnił, wziął na się podczaszowstwo i dolewał pilno.

Naostatek z talerzy było jak zmieciono, chleb znikł, zostało tylko pół gąsiorka wina.

Pauli wzdychał patrząc i mruzczał.

— A depesze?

— Lecz czyż pan się możesz lękać?

— Masz słuszność, gdybym się lękał byłbym tchórzem, a nie ma nic nikczemniejszego w świecie nad to stworzenie. Nalewaj: za twe zdrowie! Dojdiesz wysoko!

W głowie mi się jaśniej robi! Zdaje się że słońce wyszło z za chmur, bo teraz mi dopióro weselszém się wszystko wydaje. Czuję się w werwie do stylizowania i utnę coś porządne. E! gdyby mi dziś co solonego król pisać dał!! e! e! to bym dopióro przyprawił!

Brühl ciągle nalewał.

Radzca patrzył na gąsiorek który u dołu był szerszy i jeszcze na czas jakiś starczyć obiecywał.

— Nie mam się czego lękać—przemówił Pauli jakby dla uspokojenia samego siebie—nie wiem, czy wy to pamiętacie: raz

pomnę dzień był upalny, N. Pan posłał mnie do téj nieszczęśliwéj bogini, która się zwała Cosel; tam mnie utraktowano zdradzieckim sektem szumiącym. Smaczny był jak oto ten tokaj, ale pełen zdrady. Wyszędłszy w ulicę, poczułem wirowanie dokoła. O! źle, a trzeba było iść pisać depesze. Dwóch dworzan podało mi ręce, zdało mi się że lecę, że mam skrzydła; posadzili mnie u stołu, musieli mi pióro umoczone dać w rękę, papier położyć przedemną; król powiedział słów kilka i depesza urodziła się, jak mi mówiono, cudowna! Ale nazajutrz i po dziś dzień, zabij, nie wiem com pisał. Dosyć że było dobrze i król śmiejąc się, na pamiątkę tego aktu, dał mi pierścień z szafirem.

Z gąsiorka lało się a lało, do kielicha, z kielicha przelewało do gardła. Radzca gładził się po piersiach i uśmiechał.

— Psia służba—odezwał się cicho—ale wino jakiegoby człowiek nie powąchał gdzieindziej.

Gąsiorek przy opowiadaniach i westchnieniach doszedł do końca. Ostatni kieliszek był nieco mętny, Brühl chciał go usunąć.

— Tyranie! — krzyknął radzca — co czynisz! Natura wydzieliła te części nie dla tego aby je wylano, lecz by ukryć na dnie prawdę winną: eliksir, sama treść i części pożywne.

Gdy Pauli sięgnął po kielich, Brül z pod stołu dobył drugiego gąsiorka. Na widok jego radzca chciał wstać, lecz radość go przykuła do krzesła.

— Co to jest?—krzyknął. Co ja widzę?

— Nic, nic—rzekł paź pocichu—jest to drugi tom dzieła, zawierający konkluzją jego i kwintessencję. Nieszczęściem, —mówił paź wesoło—starając się o dzieło kompletne dla pana radzcy, który lubisz literaturę..

Pauli obie ręce skrzyżował na piersiach i głowę skłonił.

— Któżby takięj literatury nie lubił!—westchnął.

— Starając się o dzieło kompletne—kończył chłopak—nie mogłem dostać obu tomów jednego wydania. Ten tom drugi —rzekł podnosząc zwolna flaszkę omszoną—jest starszëj pierwotnëj edycyi: *editio princeps*.

— Ach!—podsuwając kielich, zawołał Pauli—tego gotyku szacownego nalëj mi jednã stronnicę: nadużywać szanownëj starożytności nie trzeba.

— Ale co po niém gdy zwietrzeje, i duch wieków z niego uleci!

— Prawda! stokroć prawda; ale depesze! depesze!—zawołał Pauli, ruszając ramionami.

— Depesze dziś nie przyjdą, drogi popsute.

— A! gdyby się tam mosty połamały!—westchnął Pauli. Nalano kieliszek, Pauli pił.

— To wino tylko sam król pije, gdy się czuje nie zdrów —szepnął Brühl.

— *Panaceum universale!* Żadne usta kobiety słodsze być nie mogą.

— O! o!—przerwał młodzieniec.

— Dla waści—mówił radzca—to co innego, dla mnie one straciły już słodycz wszelką; ale wino! wino, to nektar, który do zgonu nie może postradać uroku swego.

Gdyby nie te depesze!

— A cóż? depesze! czyż jeszcze...

— Prawda! kat je bierz!

Radzca dopijał, ale tak jakoś szybko po sobie następujące libacye, widocznie go rozmarzać poczynały. Ociężał, w fotelu siadł, uśmiechał się, oczy mrużył.

— Teraz maleńka drzémka! i...

— Ale butelkę dokończyć potrzeba!—nalegał paż.

— Zapewne, to obowiązek uczciwego człowieka, nie porywać się lub dokonać dzieła; prawda?—rzekł radzca—co rzecz sumienia jest, winno sumiennie być dopełnione.

Dolawszy kieliszek ostatni, Brühl wysunął z za okna fajkę i worek z tytuniem.

— Radzco, a fajka?

— Aniele mój!—zawołał Pauli otwierając oczy—i o tém pamiętałeś. Ale nuż mnie to ziele upoi gorzej jeszcze. Co mówisz?

— Otrzeźwi!—przerwał paż podając fajkę.

— Jak się tu oprzeć pokusie! daj! daj! Co się ma stać niech się stanie.

Może pocztylion kark skręci i depesze nie nadejdą. Nie życzę mu złego, lecz gdyby go nadwichnił?

Poczęli się śmiać.

Radzca chciwie dym ciągnął.

— Dyable mocne *tobacco*.

— Królewskie—rzekł paż.

— Ale bo i król mocniejszy odemnie, hę?

Widocznie tytuniem upojony, już mruczał tylko stary; po-
ciągnął jeszcze parę razy: fajka mu z rąk wysunęła się na zie-
mię, głowę na piersi spuścił i począł w lewo ją pochyliwszy,
chrapać okrutnie. Przez półotwarte usta, dobywał się dźwięk
dziwny i niemiły.

Brühl popatrzał, uśmiechnął się, cicho na palcach pod-
szedł ku drzwiom i wysunął w korytarz; tu chwilę postawszy,
pobiegł do przedpokoju króla.

Młody, strojny, wielkiego tonu chłopak, w paziowskiem
także ubraniu, z pańską minką, zatrzymał go wchodzącego.

Był to Antoni hr. Moszyński. Twarzyczka jego biała,
włosy czarne, rysy nie piękne, ale wyraziste, oczy błyszczące
ogniem wielkim, a nadewszystko postawa arystokratyczna
i wymuszone nieco maniere, odznaczały go między innemi pa-
ziami do osoby króla przywiązanymi. Razem z Sułkowskim
był długo przy królewiczu, czasowo teraz dostał się do Augu-
sta II, który, jak mówiono, lubił jego zręczność, żywość i by-
stre pojęcie. Prorokowano mu naówczas świetną przyszłość.

— Brühl? — zapytał — gdzieś ty był?

Paż się nieco zawahał z odpowiedzią.

— W marszałkowskiej sali.

— Na ciebie służba przypada.

— Wiem, alem się nie opóźnił.

Spojrzał na zegar stojący w kącie.

— Już myślałem — dodał śmiejąc się i z nogi na nogę
przechylając Moszyński — że mi ciebie zastępować przyjdzie.

Przez twarz Brühla przeleciał jakby cień, ale natych-
miast się wyjaśniła.

— Panie hrabio — rzekł łagodnie — wam faworytom pana
wolno chybić godzinę i dać się zastąpić; mnie wysługującemu
się i biednemu byłoby to niedarowaném.

Skłonił się bardzo nisko.

— Zastępowałem nieraz drugich, ale mnie nikt.

— Chcesz powiedzieć że cię nikt zastąpić nie jest w stanie: — podchwycił Moszyński.

— O! panie hrabio, godziź się tak ze mnie biednego prostaczka żartować? ja się tego uczę, w czém panowie jesteście mistrzami!

Skłonił się znowu.

Moszyński podał mu rękę.

— Z wami—rzekł—wojować na słówka niebezpiecznie, wolałbym na szpady.

Brühl skromną przywdział postawę.

— W niczem sobie żadnej nie przyznaję wyższości—dodał cicho.

— No, szczęśliwój służby—zawołał Moszyński—ot wazsza godzina: do widzenia.

To mówiąc wyszedł z przedpokoju.

Brühl odetchnął. Zwolna skierował się ku oknu. Stał w niem i zdawał się obojętnie spoglądać w podwórca wyłożone kamiennymi posadzkami i wyglądające jak sale olbrzymie... Tuż pod nim kręcił się mnogi, zajęty i czynny dwór pański. Wojskowi w pysznych zbrojach i mundurach, szambelanowie w sukniach szytych od złota, kamerdynerowie i służba, nie zliczona czeladź pańska zwijała się z pośpiechem; kilka lektyk stało u wschodów, a żółto postrojeni tragarze czekali na swych panów; dalej powozy galowe i konie wierzchowe, niemieckie i polskie zaprzęgi, hajduki w ponsach, kozacy: wszystko to cicho dosyć sprawując się mieszało w jedną pstrą i malowniczą całość.

Szambelan wyszedł od króla.

— Niema kresów?—spytał Brühla.

— Dotąd nie przyszły.

— Jak skoro je przyniosą, przychodź waćpan z niemi.

Radzca Pauli?

— Jest w sali marszałkowskiój.

— Dobrze, niech czeka.

Brühl się zlekka skłonił.

Pusto zaczynało się robić w pokoju i godzina blizka obiadu, rozpędzała ludzi.

Brühl wyglądając oknem z jakąś niecierpliwością, dojrzał nareszcie wpadającego w podwórce na zziajany koniu pocztylion-

na z trąbką na plecach, w butach ogromnych i torbą skórzaną na piersi.

W téjże chwili ruszył biegiem po wschodach i nim służba zdążyła odebrać opieczętowane pliki, już on je pochwycił. Srebrny blat stał przygotowany w antykamerze, Brühl złożył na nim papiery i wszedł do króla.

August przechadzał się po pokoju z Hoymem. Zobaczywszy pazia, blat i papiery, wyciągnął rękę, żywo rozerwał pieczęcie. On i Hoym zbliżyli się do stołu i przeglądali przywiezione listy.

Brühl stał czekając.

— A!—zawołał August—żywo niech Pauli przychodzi!

Brühl nie ruszał się.

— Idź po radcę Pauli—powtórzył król niecierpliwie.

Paź skłonił się i wybiegł, zajrzał do gabinetu. Pauli spał jak kamień. Powrócił co żywo do króla.

— Pauli!—zawołał August widząc go wchodzącego.

— N. Panie!—wyjąknął Brühl—radzca Pauli.. radzca Pauli..

— Jest tu?

— Jest N. Panie.

— Czemuż nie przychodzi?

— Radzca Pauli—spuszczając oczy dodał paź—jest nie-co niedysponowany.

— Gdyby był konającym to mi go tu przyprowadź—krzyknął król—niech obowiązek spełnia, potem skona kiedy chce.

Brühl wybiegł, znowu wpadł do gabinetu, popatrzał na śpiącego, uśmiechnął się i wrócił do króla. Augusta oczy pały rosnącym gniewem, zaczynał blednąć, co było najgorszym znakiem; gdy się stawał biały, wówczas ludzie na widok jego drżeli.

Brühl niemy, wyprostowany u drzwi się zatrzymał.

— Pauli!—zawołał król tupiąc nogą.

— Radzca Pauli jest w tym stanie..

— Pijany?—podchwycił August—A, stary wieprz obrzydły! Gdyby się choć na tych kilka godzin umiał powstrzymać od picia.

Zlejcie go wodą! zaprowadzić go pod fontannę, dać mu octu; niech doktor da mu lekarstwo, niech mi go na godzinę ocuci, a potem niech bydlę zdycha.

· Mówiąc król nogą tupał.

Brühl wybiegł posłuszny raz jeszcze. Sprobował budzić radcę, ale ten stał się nieruchomą kłodą: żaden lekarz oprócz czasu nie mógł go do przytomności przyprowadzić. Wolnym krokiem wracał myśląc do pokoju pańskiego, zdawał się walczyć ze sobą, wahać, obawiać i ważyć coś w duszy. Stanąwszy u drzwi nie potrafił klamki, aż westchnąwszy jakby pobożnie ku niebiosom.

Król w pośrodku gabinetu z papierami w ręku czekał, usta miał zaciśnięte i brwi namarszczone.

— Pauli!

— Niepodobieństwo go ocucić.

— Bodaj go paraliż naruszył!

Depesze. Kto mi depesze... słyszysz.

— N. Panie—schylając się wpół z rękami złożonemi na piersiach, odezwał się Brühl—N. Panie, wielkie jest zuchwalstwo moje, niemal zbrodnicze. Raczy mi je łaskawość królewska przebaczyć: wiem że porywam się bezrozumnie, ale miłość moja i cześć dla W. K. Mości. Jedno słowo N. Panie skazówka... ja spróbuję ułożyć depeszę.

— Ty młokosie?

Brühl się zczzerwienił—N. Panie, ukarzesz mnie.

August popatrzał nań długo.

— Chodź—rzekł idąc ku oknu—oto list: przeczytaj go, daj odpowiedź odmowną; lecz niech za odmową czuć będzie że nie jest stanowczą. Daj nadzieję odgadnąć a nie odśłoń jój wyraźnie. Rozumiesz?—Brühl skłonił się i chciał z listem wybiédz.

Srebrny stół stał przed kanapką.

— Gdzie? dokąd?—zawołał król—tu—wskazał ręką: tu siadaj i pisz zaraz.

Paż jeszcze raz uchylił głowę i przysiadł na brzeżku jedwabną materyą w kwiaty wybitój kanapki, ruchem ręki odrzucił mankietki, pochylił się nad papierem i pióro poczęło biedz po nim z szybkością, która króla zastanowiła.

August II jak na ciekawe widowisko spoglądał z uwagą na ładnego chłopca, który przybrał poważną minę kanclerską i tak redagował depeszę jakby bilet do kochanki.

Myliłby się ktoby sądził że spełniając tak ważne i mogące na całą przyszłość jego wpłynąć zadanie, paż zapomniał o swęj postawie.

Siadł niby od niechcienia, jakby nie myśląc, a jednak ułożył zgrabne nóżki, nadał rękóm wdzięczne zgięcia, głowę pochylił umiejętnie. Zimna rozwaga towarzyszyła mu w těj sprawie napozór z gorączkowym dokonywanęj pośpiechem. Król go nie spuszczał z oka, zdał się to czuć. Nie zastanawiając się długo pisał jakby pod dyktowaniem gotowęj myśli, nie przekręślił ni razu, nie stanął na chwilę. Pióro zatrzymało się gdy depeszy dokończył. Naówczas przebiegł ją jeszcze oczyma szybko i powstał wyprostowany.

Z widoczną ciekawością, gotów być pobłażliwym król się nieco przysunął.

— Czytaj!—rzekł.

Brühl odkaszlnął, głos mu się trząśł nieco i był cichy. Któz odgadnie czy ten dowód trwogi nie był także rachubą? Król ośmielając go, dodał łagodnie:

— Zwolna, wyraźnie, głośno.

Począł więc czytać depeszę młody paż, a głos zrazu drżący, stał się wkrótce metalicznie brzmiącym i donośnym. Na twarzy Augusta odmalowało się stopniowo zdumienie, radość, wesołość, podziw razem, i jakby niedowierzanie.

Gdy Brühl dokończył, nie śmiał podnieść oczów.

— Jeszcze raz, od początku—odezwał się król.

Tym razem Brühl głośnięj jeszcze, śmielęj czytał i dobitnięj.

Królewska twarz rozjaśniła się: uderzył w dłonie.

— Przewybornie!—zawołał—Pauliby nie potrafił lepięj ani tak nawet. Pisz na czysto.

Brühl z niskim ukłonem przedstawił swój arkusz, który był tak napisany, iż odrazu mógł być użytym.

August go po ramieniu uderzył.

— Jesteś od dziśdnia moim sekretarzem do depeszy. Pauli, żeby mi się nie śmiał pokazywać na oczy. Niech go kaci porwią: niech się zapije i zdechnie.

Zadzwonił król: wszedł służbowy szambelan.

— Hrabio—rzekł, zwracając się do niego—niech Paulego zawiozą do domu; oznajmić mu proszę, gdy się wytrzeźwi, moje najwyższe nieukontentowanie. Nigdy mi się nie pokazywać na oczy!! Sekretarzem do depeszy, od dziśdnia Brühl. Uwolnić go od służby paziowskiej, niech tylko mundur zatrzyma. Zobaczymy.

Szambelan z dala uśmiechnął się stojącemu skromnie na uboczu chłopcu.

— Wybawił mnie z ciężkiego kłopotu—mówił August. Znam Paulego, będzie do jutra leżał, jak kłoda, a depeszę trzeba wyprawić zaraz.

Poszedł król ją podpisać.

— Kopią spisać—dodał.

— Z pamięci ją do słowa napiszę—rzekł Brühl cicho.

— Otóż to mi sekretarz!—zawołał August. Proszę mu trzysta talarów kazać wyliczyć.

Zbliżającemu się dla podziękowania, król podał rękę do pocałowania: był to znak łaski niemały.

W chwilę potem nagotowany już kurjer, zabrawszy opieczętowany list, biegł, trąbiąc przez most, galopem. Brühl pokornie wysunął się do przedpokoju. Tu już przez Szambelana Friesena, rozpowiedziana historia depeszy i niespodzianej łaski, jaka spotkała chłopaka, po którym niktby się był nie spodziewał tak nadzwyczajnej zdolności, powszechną budziła zazdrość i ciekawość. Gdy Brühl się ukazał, wszystkich oczy biegły za nim. Nie było znać na tak zaszczyconym łaską królewską, najmniejszej dumy, okrył nawet radość swą pokorą taką, jakby się wstydził tego, co dokonał.

Moszyński podbiegł ku niemu.

— Co słyszę?—zawołał—Brühl *amanuensem* N. Pana? Kiedyz? co? jak?

— Al dajcie mi ochłonać ze zdziwienia i przestachu—cicho odezwał się Brühl—jak się to stało? nie wiem. Opatrzność czuwała nademną, *un pauvre cadet de famille*. Miłość dla króla sprawiła cud... ja nie wiem. Olśniony jestem, nieprzytomny.

Popatrzał nań Moszynski.

— Jeśli tak pójdziesz dalej, wkrótce nas wszystkich wyprzedzisz. Zawczasu łasce się twój trzeba polecić.

— Hrabio, bądźże litościwszym i nie szydź sobie z biédaka.

To mówiąc Brühl, jakby znużony i opadający na siłach, otarł pot z czoła i siadł, głowę zanurzywszy w dłoniach, na najbliższém krześle.

— Ktośby rzekł, patrząc nań—odezwał się Moszyński, — że go największe nieszczęście spotkało.

Brühl zatopiony w myślach, nie słyszał już tego. Po pokoju szeptali wszyscy, patrząc nań i nowo wchodzącym opowiadali historią szczęśliwego młodzieńca. Wieczorem obiegła po mieście, a gdy Brühl ukazał się skromnie między paziami na operze, Sułkowski, który towarzyszył królewiczowi, przyszedł go pozdrowić i powinszować.

Brühl zdawał się do najwyższego stopnia rozczulonym, nie umiał znaleźć wyrazów na podziękowanie.

— Widzisz Brühl—szepnął Sułkowski, poglądając nań z góry—ja ci wróżyłem zawsze, że się na tobie poznają; nie omyliłem się: orle oko naszego pana, umiało cię wyróżnić.

Zaczęto bić brawa tenorowi, który śpiewał Solimana; Sułkowski klasnął, ale zwracając się do przyjaciela rzekł: „Ja tobie biję brawo!”

Z pokorą wielką paż się ukłonił zarumieniony.

Po teatrze pozwolono mu zniknąć; miano mu to nawet za zasługę, że się nie szedł popisywać i chwalić szczęściem swoim. Towarzysze, którzy go w zamku w mieszkaniu jego szukali i tam go nie znaleźli; pokój był zamknięty, służący zapewniali ich, że oddawna wyszedł na miasto.

W istocie po operze, osłonięty płaszczem, przekradł się Brühl na zamkową ulicę, a z niej na wiodącą ku pałacowi na Taschenbergu, gdzie niegdyś jaśniała Cosel, a teraz panowała młodemu swojemu dworowi córka Cezarów Jozefina.

Ktoby go tu był spotkał po pod murami przesuwanego się ostrożnie, posądziłby pewnie, iż idzie u nóg jakiegoś urózanego bóstwa złożyć laury zdobyte. Było do tego wszelkie podobieństwo. Miał lat dwadzieścia kilka, twarz cherubinka, a kobiety popsute przez Augusta II, tak były zalotne. Wi-

doczném było, iż pilno się starał, aby go nie postrzeżono i nie poznano. Płaszczem miał zasłoniętą twarz, a ile razy usłyszał kroki, tulił się do murów i przyspieszał pochód. Już był prawie przed pałacem królewiczowskim, gdy do przytykającej doń kamienicy wszedł szybko. Spojrzał tylko wprzód na okna pierwszego piętra, w których się przez gęste zasłony świeciło. Pocichu wbiegł po znajomych znać wschodach i stanąwszy u drzwi zapukał do nich trzy razy.

Nie było na to odpowiedzi. Wyczekawszy jeszcze chwilę, puknął leciuchno w ten sam sposób.

Wewnątrz dały się słyszeć kroki powolne, drzwi uchylono, pokazała się w nich głowa starego człowieka z nisko postrzyżonym włosiem. Brühl wsunął się prędko.

Pokój, do którego wszedł, oświecony jedną w rękach sługi stojącego u drzwi świecą, zastawiony był szafami, ponury i smutny. Stary na zapytanie niezrozumiałe, coś szepnął, ręką wskazując. Brühl zrzucił płaszcz i na palcach idąc, zbliżył się ku drzwiom, do których z lekka zapukał.

Głos dosyć żywy odpowiedział mu prędko—*Favorisca!*

Pokój, do którego wsunął się cicho młody paź, oświecony był dwoma pod umbrellką na stoliku, pałacemi się świecami. Obszerny był i dziwnie jakoś przystrojony.

Szafka z książkami napół otwarta, kilka stolików zarzuconych papierami; między oknami duży krucyfiks z figurą Zbawiciela: na kanapce, wśród sukni, w nieładzie rzucona gitara.

U stołu oparty jedną ręką, jakby tylko co wstał na powitanie gościa, czekał nań niemłody człowiek, nieco przygarbiony, z twarzą żółtą, przeciągniętą, długą, z brodą wystającą, z oczyma czarnemi. Poznać w nim było łatwo Włocha po typic i kroju rysów. W ustach wąskich, bladych, kryło się coś nieodgadnionego, ale twarz w ogóle żartobliwą raczej wyglądała, niż zagadkową. Było w niej coś razem dobrodusznego i ironicznego. Duży nos orli spadał mu, kryjąc niemal wierzchnią wargę.

Na krótko obciętych włosach miał czarną, jedwabną czapeczkę; na sobie suknią ciemną i długą, która duchownego

zdawała się oznaczać: na nogach czarne pończochy i trzewiki z wielkimi klamrami.

Zobaczywszy Brühla, otworzył ręce.

— A! to ty! moje dziecko. Jakże się cieszę: niech cię Bóg błogosławi!

Z wielką pokorą przysunął się młodzieniec do niego i schyliwszy się w rękę go pocałował.

Gospodarz siadł prędko, usuwając książki i suknie nagromadzone na kanapce, a blizkie krzesło wskazał Brühlowi, który, trzymając w ręku kapelusz, raczył się przysiadł, niż usiadł.

— *Ecco! ecco!* — szepnął siedzący na kanapie — myślisz że mi nowinę przynosisz? Wiem ja już! wszystko wiem i cieszę się. Widzisz, Opatrzność nagradza, Bóg swoim wiernym pomaga.

Westchnął.

— Jemu też ja składam tylko dzięki — odezwał się Brühl cicho.

— I pozostań wiernym wierze, ku której serce się twe łaską oświecone skłoniło, a zobaczysz.

Podniósł rękę w górę. — Pójdziesz wysoko! wysoko! Nie-widzialne ręce dźwigać cię będą; ja ci to mówię: ja. Jam ubożuchny i małeńki, alem wielkiego Pana sługa.

Oczyrna błyszczącemi zmierzył siedzącego skromnie pazia i uśmiechnął się, i jakby już pobożnego dopełniwszy obowiązku, dodał wesoło:

— Byłeś na operze? jak śpiewała Celesta? patrzył na nią król? był królewicz?

Posypały się gradem pytania.

Padre Guarini, tak się zwał ten którego Brühl odwiedzał, spowiednik królewicza, powiernik królowej, duchowny ojciec młodego dworu, zdawał się co najmniej tyle zajmować operą, ile nawracaniem grzesznika, którego miał przed sobą.

Pytał o tenora, o kapelę, o gości, a wreszcie czy za kulisy paż nie chodził.

— Ja? — z pewnym zdziwieniem zawołał Brühl.

— Nic złego! nic złego nie myślę; dla muzyki, dla sztuki, dla tego żeby zobaczyć jak te anioły wydają się, gdy prostemi

ludźmi być muszą. Celesta śpiewa jak anioł, ale brzydka jak szatan. Nazwali ją chyba dla głosu! Niéma obawy aby się w niej król zakochał.

I śmiać się począł Padre Guarini.

— A któż nad królem króluje?—zapytał. I nie czekając odpowiedzi, sam rzekł: pono jak w Polsce elekcyja dopiero ma nastąpić

Śmiał się znowu stary.

— Powiedzże mi choć co nowego, oprócz tego żeś sekretarzem został.

— Chyba że żadne szczęście serca mojego i uczuć nie zmieni.

— Tak, tak, to ci radzę bądź dobrym, choć potajemnym katolikiem. Po naszym terażniejszym królu nie możemy ani wymagać, ani się spodziewać wielkiej gorliwości. Dobrze iż takim choć jest jakim się stał, ale młody będzie inny; święta nasza pani Józefa nie da mu znijsć z drogi prawej. Pobożny jest, małżonek wierny, katolik gorliwy. Za jego panowania i nasze się począć powinno. Nie rozpaczamy, zjedliby nas protestanci gdyby mogli, ale twardzi jesteśmy i paszcza ich za mała... *chi va piano va sano... qui va sano, va lontano!*

Powtórzywszy kilka razy *lontano! lontano!* westchnął.

— Na pamiątkę tego dnia—dodał—chcę ci dać z błogosławieństwem coś, co ci szczęście przyniesie. Czekaj.

Padre Guarini wysunął szufladę i rękę w nią zanurzywszy dobył mały różaniec czarny z medalem i krzyżykiem.

— Ojciec Święty sam własną ręką go pobłogosławił, odpust do niego przywiązany wielki, ale go codzień odprawić potrzeba.

Brühl niewyraźnie coś powiedziałwszy na podziękowanie, w rękę pocałował i wstał.

Guarini pochylił mu się do ucha i coś szeptać zaczął, na co paż tylko potwierdzająco schyliwszy głowę kilka razy, znowu rękę chudą ucałował i wysunął się pocichu. We drzwiach czekał nań stary ze świecą. Temu wsunąwszy talara, osłoniony znowu płaszczem spuścił się ze schodów. Doszedłszy do drzwi wyjrzał ostrożnie w ulicę, a nie widząc w niej nikogo, wybiegł prędko. O kilka kroków dopiero zatrzymał się zdając namy-

ślać. Podbiegł i stanął i zawrócił się i znowu szedł i wrócił raz jeszcze, jakby niewiedząc co pocznie. Różaniec, który miał obwinięty około ręki schował spiesznie do bocznej kieszeni, a sam podniósłszy głowę, szukał znanego domu około kościoła św. Zofii.

Obejrzał się raz za siebie...

Drzwi kamienicy do której dążył stały otworem. Na poręczy wschodów maleńka lampka przytwierdzona na słupku, za ledwie mrok pod sklepieniami nieco rozjaśniała. W obszernej sieni o gotyckich łukach cicho było i pusto. Na niskie pierwsze piętro wszedłszy Brühl zadzwonił.

Służąca wyszła mu otworzyć.

— Jest ksiądz pastor w domu?—zapytał.

— Jest i ma gości, z którymi się rozmową zabawia.

— Goście?—wahając się podchwycił Brühl, jakby go to od wnijścia zniechęciło.—Któż taki?

— Młodzież z Lipska łakoma słowa Bożego i światła.

Brühl jeszcze stał w progu, gdy poważna postać średnich lat człowieka ukazała się ze drzwi pobliskich.

— Nie chcę być natrętnym—rzekł paż kłaniając się.

— Nigdy nim pan nie byłeś i nie jesteś—odparł suchym głosem, zimnym i wyraźnym gospodarz.—Na to ja teraz narażony nie jestem, by mi się do drzwi ludzie cisnęli. Chodź pan, proszę. Wchodzi się w protestanckim kraju do duchownego pokryjomu, jako pierwsi chrześciance do katakumb wchodzili. Chwała tym co mają odwagę próg nasz przestąpić.

To mówiąc wprowadził Brühla do obszernej izby skromnie przybranej, ale z kwiatami na oknach. Szpincelik otwarty stał przy ścianie. Nie było tu nikogo oprócz dwóch młodzieży, z których słuszniejszy wzrostem zdał się Brühlowi znajomym. Przypomnieć sobie tylko nie mógł gdzie i kiedy go widział. Pięknej postawy młodzian patrzył też z uwagą na gościa, a po chwili przystąpił doń.

— Jeśli się nie mylę—rzekł—drugi to raz spotykamy się w życiu. Winienen panu żem na drogę wyprowadzony nie popadł w ręce królewskich pachołków jak włóczęga.

— Hrabia Zinzendorf...

— Brat w Chrystusie—odparł młodzieniec— a chociaż-
byście byli katolikiem, arianinem, wiklefiſtą czy kimkolwiek-
bądź, byleście w Zbawiciela wierzyli i ufali Mu, pozdrowię was
zawsze tym wyrazem: brat w Chrystusie.

Gospodarz, który miał twarz surową i brwi ściągnięte
dziwnie a zrosłe, co mu wyraz nadawało ostry, jęknął:

— Dajcie pokój marzeniom, hrabio, plewy od ziarna od-
leciéć powinny, choć na jednéj wyrosły łodydze...

Brühl milczał.

— Cóż na dworze słyſzać?—spytał gospodarz—myślę że
nie innego jak z rana litanią a wieczorem operę; ale zmilczę.
Siądźcie mój gościu.

Posiadali wszyscy, Brühlowi widocznie przytomność ob-
cych zamykała usta. Zinzendorf długo i z zajęciem mu się
przypatrywał, niby w duszy jego czytał pragnąco, lecz te okna,
któremi zajrzeć mógł do wnętrza, oczy piękne Brühla zamykały
się przed nim: zdawał się unikać spojrzeń i lękać się ich przenik-
liwości.

— Prawdaż to że kościół katolicki budować myślał? — za-
pytał gospodarz.

— Nie słyſzałem o tém, tylko jak o projekcie dalekim —
odpowiedział Brühl — a wątpię bardzo ażeby król pan nasz,
który tyle pozaczynał gmachów, mógł nam o nowym pomysléć.

— Zgrozaby była! — wyjąknął pastor.

— Dlaczego? czcigodny panie — przerwał mu Zinzendorf.
Zarzucamy im nietolerancyę, a mielibyśmy się nią sami po-
sługiwać. Niech się mnoży we wszelkich językach i na wszelki
sposób chwala Zbawiciela, czyli ją katolicy śpiewać będą,
czy my.

Brühl żywo skłonił głowę potakując, ale w chwili gdy to
czynił, spotkał surowe wejrzenie pastora i ruch ten jakby nagle
powściągniony, dwuznaczny się zmienił uśmiejchem: rumie-
niec wystąpił mu na twarz.

— Hrabio—odezwał się pastor obracając ku niemu—to
są myśli młodzieńcze bardzo piękne w ustach waszych, ale
w życiu nie możliwe. Na dwu ramionach płaszcza nosić nie
można, ani dwóm Bogom służyć, ani dwu wiar kochać, boby się

zadnej nie miało, jak... jak to się dziś wielu i najwyżej położonym zdarza.

Westchnął pastor, zrozumieli wszyscy do kogo pił. Brühl udał że nie słyszy, żałował nawet może iż wszedł w towarzystwo tak drażliwemi zajmujące się zagadnieniami. Przeciwnie Zinzendorf zdawał się uszczęśliwiony i z poszanowaniem chwycił rękę pastora.

— Czcigodny panie—zawołał—a jakżebyśmy nawracali i prawdę krzewić mogli, gdybyśmy się nie zbliżyli i nie zbratali z innowiercami? Chrystus nie stronił od Faryzeuszów i niewiernych, a łagodnością i miłością ich nawracał.

— Młody jesteś i marzysz — westchnął pastor — hrabio, a gdy ci przyjdzie walczyć i z poezyi twych przejść do czynu...

— A! za tém gonię, tego pragnę — odezwał się młody entuzyasta, podnosząc ręce do góry — gdybym siebie tylko miłował poszedłbym Zbawiciela szukać na pustyni i w rozmyślanii; ale kocham braci, kocham wszystkich i zbłąkanych nawet, dla tego rzucam się pośród tych fal, choćby mnie poźrzć miały.

Pastor, Brühl i młody towarzysz słuchali każdy z inném usposobieniem mówiącego. Pierwszy stał chmurny i rozdrażniony, drugi zafrasowany choć się uśmiechał, trzeci z uwielbieniem chwycił słowa.

— Myślę że ta gorącość wasza, miły panie — odezwał się nieco żartobliwie pastor — ostygnie na dworze.

— Na dworze?—zapytał Brühl cicho — na dworze hrabio, będziemy mieli szczęście posiadać go!

— A! nie, nie, nigdy w świecie—odstępując krok zawołał Zinzendorf! — ja na dworze? Żadna siła w świecie nie potrafi mnie tam zapędzić. Mój dwór to ubogie na duchu i na ciele dziatki Boże, moja przyszłość to zastosowanie nauki Chrystusa do życia, i wlanie miłości Zbawiciela w społeczność naszą strupieszającą.

Chrystus raz umarłych wskrzeszał, dwa razy umierających nikt nie potrafi do życia przywrócić, a takimi są ci, co na chrzcie życie otrzymali i dobrowolnie je zabili w sobie. Ja pójdę do tych w których żyje duch, aby go rozdmuchać i rozplomić; na dworze byłbym wyśmianym: tam spełnię do czego powołanym się czuję.

— Rodzina jednak wasza, panie hrabio—dodał pastor.

— Ojciec mój w niebiesiech—prędko dokończył Zinzendorf—temu winien posłuszeństwo.

Brühl po krótkiej chwili przekonał się że tu nie miał co czynić dłużej, Zinzendorf ze swą mową dziwną napełniał go strachem; odwiódł na stronę pastora ku oknu i szybko rozmowę z nim cicho poprowadziwszy, pożegnał go uprzejmie, spiesząc z powrotem. Młodemu apostołowi skłonił się tylko z daleka, z prawdziwie dworską grzecznością, i zniknął. Czy u ojca Jezuity czy u pastora był szerszym przyjacielem i gościem, o tem wyrokować nie umiemy i to pewna że obu odwiedzał gorliwie i o łaski ich się starał, nadskakując więcej Guariniemu niż Knöflowi, choć publicznie ani ojciec Jezuita jego, ani on Włocha nie zdał się znać wcale.

W ulicy namyślił się Brühl znowu. Tuż był pałac królewicza. Przed bramą jego dwóch gwardzistów straż trzymało. Po chwili młody paź wsunął się w podwórze i na prawo pobiegł do oficyny. Otwarte jeszcze drzwi i oświecone okna dozwalały spróbować szczęścia na młodym dworze. Tu mieszkała wielka ochmistrzyni dworu królewiczowej hrabina Kolowrath-Krakowska, osoba wielce poważna, lat średnich, ulubiona królewiczowej Józefie, a łaskawém spoglądająca okiem na młodego paza, który jój wszystkie plotki z zamku przynosił, za co wszelkiego rodzaju łakociami był karmiony.

Miał on tu dozwolone wniknięcie o wszelkiej dnia godzinie, a korzystał z niego rozumnie, tak aby ludzie ani go widzieli zbytnio, ani nadto się mogli stosunków domyślać.

W przedpokoju w wielkiej liberyi dworu, stał w peruce kamerdyner W. ochmistrzyni, który kłaniając się i nie mówiąc nic drzwi mu otworzył: Brühl wszedł na palcach. Salon był prawie ciemny, kilka świec woskowych z długimi knotami paliły się same sobie na stoliku i w młkém świetle ich wiszące na ścianach, poczerniałe obrazy, dziwną mieszaniną światła i cieni jak widma jakie majaczały. Cicho było i w dalszych pokojach.

W prawo tylko przez półotwarte podwoje struga żywszego światła przelewała się do sali i ztamtąd dał się słyszeć jakby szmer życia, gdy na posadzce skrzywienie trzewików

Brühla słysząc się dało, z za drzwi pokazała się nizko główka dziecięca.

Brühl zbliżał się ostrożnie.

— A! to wy, panie Henryku—ozwał się głosik dziecięcy i świeży—a to wy: czekaj pan.

Znikła główka, ale wkrótce potem podwoje się otwały szeroko i weszła dziewczynka ośmioletnia. Możnaż ją było tak nazwać albo raczej ośmioletnią hrabiną, czy lalką? W atłasowej sukience z koronkami, w jedwabnych *à jour* pończoszkach, w trzewiczkach na korkach wysokich, z główką ufryzowaną i wypudrowaną wystąpiła zachwycająca panienka, już nie dziecko, niestety, już dama, i uśmieszkiem witając Brühla dygnęła mu tak jak na dworze było we zwyczaju i jak ją *Maitre des ballets*, sam p. Favier wyuczył; tak jak dygała rozpoczynając menueta przed królem Augustem. A minkę miała tak śmiesznie poważną, tak niewysłowienie surową, jak owe figurynki porcelanowe, aniołków we frakach, które w Meisen wyrabiano.

Dygnęła Brühlowi, Brühl oddał jój ukłon jakby staruszce. Wielkiemi oczyma czarnemi spojrzała nań dziecina jakby szukając należnej czci i hołdu za swój cudowny ukłonik; ale w tej chwili powaga jój nie wystarczyła i parsknęła śmiechem. Komedia była skończona.

— A, to wy! panie Henryku?

— A jój Excelencya?

— Mamina Excelencya na pacierzach u królewiczowej, Padre Guarini czyta litanią, i rozmyślanie... a ja, ja się nudzę! tylko piesek Filiderek, pani Braun została i ja sierotka.

Słuchaj Brühl, ty mógłbyś się pójść ze mną we dwór zabawić: ja będę grała królowę, a ty wielkiego ochmistrza, a Filiderek kogo?

— Panno Franciszko, bawiłbym się z wami w cobyście kazali, ale ja do króla muszę, nie bawić się, ale służyć.

— Toś nie grzeczny dla dam!—odpowiedziała hrabianka z minką starój jójmości, która ją niezrównanie uczyniła śmieszną—ja waćpana kochać nie będę, i jeśli się kiedy we mnie zakochasz...

— A! pewnie! to bardzo prędko—zawołał Brühl śmiejąc się.

— Zobaczysz wówczas jakie będą robiła miny i jaka będzie okrutna—dodała Frania.

To mówiąc zwróciła się do niego prawie plecami, chwyciła z krzesła leżący na nim wachlarzyk. Główkę pochyliła w tył, usta podniosła do góry i spojrzała na Brühla z niewysłowioną pogardą. W oczach ośmioletniej dziewczynki odbijał się już niestety cały dwór, cały świat, całe zepsucie i lekkomyślność wieku!

Brühl stał zachwycony, a scena ta byłaby może trwała długo, gdybyszelestafasowej sukni nie dał się słyszeć i śmiech.

— Francesca! Brühl, córkę mi bałamucisz..

Osoba która to wymówiła, była słusznego wzrostu, majestatycznej postawy, piękna jeszcze bardzo, a nadewszystko arystokratycznie i pańsko wyglądająca. Była to matka Frani, hrabina Kolowrath-Krakowska W. ochmistrzyni dworu królewiczowej. Zobaczywszy matkę niezmiészana Frania odnowiła ceremonialne dygnięcie według p. Favier i dopiero przybiegła do jój ręki. Brühl napół zgięty naprzód, odprostowawszy się, patrzył z zachwytem w czarne oczy hrabinój.

Pierwsza, może nawet druga jój młodość już była odbiegła, ale obie zostawiły po sobie rysy nie tknięte, jakby wyrzeźbione z białego alabastru, które pożyczany żywy krasień rumieniec. Białość tę płci podnosił kruczony włos, tego dnia bez pudru, ale ze staraniem związany. Postać zdawała się mimo pełnych form kształtu, zarazem i silną. Zmrużonemi nieco oczyma popatrywała na pazia.

— Franiu!—rzekła—idź do pani Braun, ja mam coś do mówienia z panem Henrykiem.

Figlarnie spojrzało dziewczę na matkę, pokiwało główką i znikło. W. ochmistrzyni poruszając żywo wachlarzem zaczęła chodzić po sali i pochyliwszy się ku Brühlowi rozmawiać z nim poufale.

Brühl z rękami w tył założonemi szedł za nią raczej niż obok niój, okazując wielkie uszanowanie, chociaż parę razy przybliżył się aż nadto może blisko. Téj rozmowy tajemnej, nawet obrazy wiszące na ścianach słyszeć nie mogły. W pół godziny po niój paź siedział w przedpokoju króla na krzesle i drze mać się zdawał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TY, WY, PAN.

CZYLI

O OZNACZANIU OSOBISTOŚCI W JEZYKU POLSKIM.

(Uwaga do psycho-lingwistyki).

Od czasu, jak zjawiona niegdyś na ziemi jednostka ludzka rozpadła się i rozrodziła następnie w jednostek miliony, ukazał się téż i równolegle rozwijał objaw, który wskazuje, że celem lub raczej warunkiem téj rozpadtéj fizycznie jedności, jest téż łączenie się w nową jedność, jedność duchową. Tym objawem jest wzajemne przemawianie do siebie jednostek, czyli ich *język*. Milionowe są fakta, które ten język stworzył i milionowe są drogi, przez które na stopniowe łączenie się rozpieczętych i zbyt rozróżnionych jednostek postępnie wpływa; tu mamy uczynić krótką uwagę o jednéj tylko z najpierwotniejszych i najprostszycch form tego łączenia się, choć zarazem i ów cel najbezpośredniéj osiągnąjącej, t. j. o formie językowej przemawiania jednostki jednéj do drugiéj, czyli oznaczania jéj osobistości.

Naturalną i prostą formą zwrotu naszego do osoby drugiéj, jest używanie zaimka osobistego (ty) i drugiéj osoby pojedynczéj w czasownikach przez wszystkie czasy (ty masz, ty miałeś). Jest to forma najloicniejsza i przez cały ciąg wieków starożytnych była wyłączniz przy zwrotach do pojedynczych osób używaną. Z początkiem epoki nowéj, a nawet już wieków średnich, widzimy jednak, iż forma ta zaczęła się przyoblekać w odcienia różne, a ta jedna, napozór drobna wskazówka za dowód staje, iż społeczeństwo nowe objawiło już w sobie i niejaką psychiczną różność w porównaniu z dawném, iż pragnęło oznaczać pewne odcienia pojęć i uczuć, przy samym zwrocie prostym jednostki do jednostki.

Jest to przedmiot, który nie zwracał prawie dotąd na siebie uwagi lingwistyków i trzebaby chyba czynić studia nad szczegółami literatury każdego ludu, iżby ujrzeć, jaka w nim była historia rozwicia téj formy; dosyć tu będzie wspomnieć, iż jest to faktem, że we wszystkich dziś prawie znanych nam językach, forma zwrotu

w mówieniu do osoby drugiej, nie jest naturalną i prostą, iż w jednych, w miejscu osoby drugiej pojedynczej, używa się osoba trzecia, jak np. w języku włoskim, w miejsce: „jak się ty masz?” „jak się ma on” (come staella?), w innych, osoba trzecia liczby mnogiej, jak np. w języku niemieckim, w miejsce „co to masz”. „co to oni mają” (*was haben sie?*), lub wreszcie, co jest najpowszechniejszą formą w językach i zachodnich, i wschodnich, w miejsce zaimka pojedynczego *ty*, używa się tenże zaimek w liczbie mnogiej *wy* i odpowiedni czasownik, jak np. w języku francuzkim: kto ty jesteś? *qui est ce qui vous êtes?* w angielskim chcesz ty tego posłuchać? *will you it hear?* toż (ile wiemy od orientalistów) w języku tureckim, arabskim, perskim, gdy np. zamiast, jak się *ty* masz, mówi się, „jak się *wy* macie” (*turec: „nasyłsi- Sultanym”* „zamiast nasyłsen; arabski: Kiejf. *kiejfakum* „zamiast kiejf; tak perski: kiejfi *szuma* choszeszt, zamiast tuchosz est); toż we wszystkich prawie słowiańskich. W języku japońskim nie tylko w osobie drugiej pojedynczej, lecz téż przez wszystkie trzy osoby rodzajem dodanego zaimka, stopnie stosunku osoby mówiącej do osoby 2-jej odznaczone bywają (*Silvestre de Sacy: w Grammaire universelle* I IV).

Kiedy mianowicie w różnych językach te różne formy użyte zostały? Nie wiemy i tyle tylko wiemy, iż różnocześnie w języku rosyjskim, np. zwyczaj mówienia *wy* za *ty*, począł się dopiero od czasów Piotra Wielkiego; w języku włoskim już w wieku XIII, był starym. W *Bozkiej komedji* Danta, poemacie z wieku XIII, a mianowicie w pieśni XVI *nieba*, czytamy, iż Dante spostrzegłszy tam swego prapradziada, przemówił do niego przez *wy* (*voi*), lecz Beatrice ostrzegła z uśmiechem, iż tak się w niebie nie mówi, a z okoliczności téj komentatorowie włoscy Danta wzmiankują, iż forma mówienia przez *wy* zamiast *ty*, użytą była najprzód do papieży i cesarzów, że potem przeszła i do niższych stanów, lecz, że za czasów Danta zaczęto ją już zmieniać na osobę trzecią.

Jakaz obaczmy teraz jest? i jaka była historycznie? forma zwrotu do osoby drugiej w języku naszym?

Iż w języku polskim zwyczaj mówienia do osoby pojedynczej *wy* zamiast *ty*, był znanym i używanym, tego jawnym dowodem jest najprzód, zwyczaj istniejący i dzisiaj powszechnie w klasie wiejskiej; powtóre, świadectwo lexicografów, np. Knapskiego, gdy pod wyrazem *wy* mówi „Polacy używają tego zaimka *wy*, gdy mówią do osoby pojedynczej *honoris causa* i podobnie mówią, dajcie, słuchajcie zamiast daj, słuchaj (dodaje jednak, iż dziś mówimy tak tylko do włóścian, „sed hodie, nisi rusticanos sic compellamus (*Thesaurus* 1634, str. 103); potrzecie używanie tego zaimka *przymiotne* przez wszystkie klasy w mówieniu do siebie, do ostatnich czasów, jak np. *Wasza* Królewska Mość, *Wasza* Książęca Mość, *Wasza* Mość, waszmość i wreszcie świadectwa przechowane w dawnych listach, pamiętnikach, poezyach i innych piśmiennych źródłach; że jednak obok téj formy zrodziły się

téż, przemogły i istną, dotąd inne oryginalne, tego nas uczy i obecność, i dawna przeszłość i o tém kilka tu właśnie uwag uczynić chcemy. Jak mówiono i pisano u nas do siebie za Piastów, a nawet i Jagiello-nów do wieku XV nie wiemy; w agendach kościelnych z XIII wieku, gdzie znajdujemy formy zapytań przy ślubach w języku polskim; formy te są proste i naturalne. Źródła zaczynają się mnożyć dopiero z wiekiem XVI-ym. Mamy odtąd w języku krajowym: kroniki, pamiętniki, powieści, listy i t. p., a ze źródeł tych najobfitszém do przedmiotu, o którym mowa są właśnie listy, a mianowicie listy królów po polsku pisane, tych bowiem mamy kilka zbiorów. W listach tych znajdujemy wprawdzie formy tylko przemawiania monarchów do swych podwładnych, zawsze jednak były one odbiciem i panu-jących ogólnie form.

Najdawniejsze ze znanych nam polskich listów, są listy Zygmunta Augusta. Przytoczył ich kilka Niemcewicz w Pamiętnikach o dawnéj Polsce, Baliński w Pamiętnikach o Królowéj Barbarze, a najliczniejszy i chronologiczny zbiór wydał Lachowicz z autentyków znajdujących się w Ces. Publ. Bibliotece, a pochodzących z Biblioteki Radziwiłłowskiéj Nieświeskiej. Znajdujemy tu listy pisywane do trzech Radziwiłłów i księżnéj Beaty Ostrogskiej od r. 1549 do 1571. Formy używane w tych listach, chronologicznie są różne, ale spółyześnie sobie do wszystkich równe. W listach wszystkich od roku 1549 do 1551, jest stale forma przez *wy*. Tak np. w liście najpierwszym z dnia 14 maja 1549 r., (pisanym do Mikołaja Radziwiłły Czarnego) czytamy: „Są nam teraz prawie pod jednym czasem dwa listy *wasze* oddane, gdzie w jednym swym liście do nas *jesteście pisali* około województwa Wileńskiego, tedy *wam* tak na to odpisujemy;“ zaś w końcu „a zatém *was* dobrze być zdrowym żądamy.“ Od roku 1551 do 1561, okazuje się stale T. M. (Twoja Miłość); zaś od roku 1561 do 1571 W. M. (Wasza Miłość), tylko o liście do Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła (syna Czarnego) w miejsce W. M., znajdujemy W. T. (zapewne wierność twoja). W listach polskich Wazów (Zygmunta, Władysława i Jana Kazimierza), znajdujemy stale W. U. i T. W. (Wasza Uprzejmość i Twoja Wierność); w bogatym zbiorze *Listów Władysława 1V*, wydanym przez Ambrożego Grabowskiego, ta ostatnia forma jest prawie wyłączną; Sobieski pisał już W. U. już W. M. Ć., już wreszcie używał formy p. Wy na wzór Zygmunta Augusta, jak np. w liście z pod Wiednia do wojewody wileńskiego (10 octob. 1683) „przychodzi nam ubolewać na to, *żeście się* uprzejmość Wasza dotąd przebrać do nas *nie mogli* z wojskiem, które uprzejmość Wasza przy sobie *macie*“ (*Bibl. Staroz.* 11. 289). W listach wreszcie króla Stanisława Augusta, stale znajdujemy tę jednę formę *wacpan*, *wacpani*.

Takie były formy piśmienne, używane przez królów, jakież były ustne? Formy ustne mogły być tylko odbiciem piśmiennych lub raczéj te drugie pierwszych. W jednym z poufałych listów Zygmunta

Augusta do Radziwiłły Czarnej (1552, stycznia 20), wspomniawszy ten król o rozmowie, jaką miał z matką, co do postanowienia sióstr, a mianowicie, iż nie życzyła pretendenta do Katarzyny księcia pruskiego, jako niebogatego, a wołała liczyć na świeże owdowienie króla szwedzkiego, dodaje, iż musiał jej wyrzucić usuwanie pretendentów i robiąc alluzją do starań elektora bawarskiego rzekł: „Teraz *Wasza Miłość* nalegasz, abyśmy się o to starali, a *Wasza Miłość* naonczas *nie chciała*, gdy czas po temu dobrze pogodniejszy był.” Ta forma *Wasza Miłość*, jak widzieliśmy, używaną następnie była przez króla w listach do Radziwiłły; a że w skröceniu swém (*waszmość*) weszła już była w tym czasie w powszechny użytek w zwracaniu się równych do równych, to widzimy z dyalogów w *Dworzaninie* Górnickiego, z listów ówczesnych, (np. Jana Kochanowskiego) i t. p. J. Modrzewski w ówczesném dziele swöjém: *De reformanda republica* mówi, iż dziś wszyscy, mówiąc do osoby jednćj, mówimy jakby do wielu, mówiąc *Waszmość*.” Kraj nasz mianował siebie rzezcpospolitą i w istocie w mieszkańcach jego tkwiło zawsze uczucie republikańskie, uczucie ogólne równości, lecz to uczucie równości przez naturalne następstwo pociągało za sobą uczucie inne, t. j. konieczność wysokiego ceniienia i przeceniiania wartości każdćj jednostki; samo *wy*, gdzieindziej uważane za dostateczne do oznaki szacunku, tu zamało znaczącém się zdało, każdy pragnął przyznawania sobie nietylko pewnego szacunku, ale też pewnćj potćgi i pewnćj cnoty; oznaczanie osobistości w zwrotach wzajemnych do siebie stopniowie się więc wzrastało i rozszerzało: gdy bowiem *wasza miłość* zamieniła się na zdawkowe *waszmość*, dla przypomnienia pierwotnego znaczenia, dodawano powtórnie *waszmość*, „mój miłościwy pan;” tym sposobem znalazł się w tytule *pan*; gdy i to przez skröcenie zamieniło się w *waszmośćpan*, musiano znowu przypominać wymagane oznaki, ztąd powstały wielmożny pan, wielmożny, waćpan i wreszcie wielmożny *waszmośćpan* i dobrodziej (dobroczyńca). Formy te oznaczania osobistości, spotykamy najczęściej do końca XVIII-go wieku w korespondencyach (przetrwały one w części i do czasów naszych), i w *dyalogach*; w dyalogach jednak, (jak widzimy to z pamiętników, powieści, dramatów), używały się one króćj i mówiono najpowszechniej do siebie *waszmość*, *waćpan* *dobrodziej*, *waćpan*, a przez skröcenie *waść*, *aść* i t. p. Co do formy przez *wy*, ta stanowczo nie była używaną do osób godności wyższćj i równćj, a tylko do niższćj, w tym kształcie jednak spotykamy jćj używanie i w wieku XVII; tak w listach ogłoszanych z archiwum Radziwiłłowskiego, widzimy, iż Radziwiłłowie listy do swoich dworzan pisali przez *wy* (*Życie Janusza Radziwiłła* przez G. Kotłubaję w *Dodatkach*), tak pisywać musieli i inni; przez *wy*, jak to dopiero widzieliśmy, pisywał Jan III-ci, w tak pełnych ożywienia dramatycznego Pamiętnikach Paska, z których wyłącznie prawie poznajemy ówczesne formy dyalogowe, jakkolwiek znajdujemy w nich najczęściej *waść*, *waćpan*, widzimy tu jednak, iż królowie i wojewodowie mawiali

wtedy przez *wy*. Tak np. czytamy tu pod rokiem 1660: „Skorośmy go (Drozdowskiego) wynieśli aż mówi wojewoda:” „*Macie* szczęście panie bracie, bo są tu wielkie ryby i połknęłyby *was*.” Pod rokiem 1662: „Powiadam mu tedy (województwie) dobra noc, a on rzecze: *nie jedliście* panie bracie, bo po *wieczeryście przyszli*,” odpowiadam: „Będę jadł u siebie.” Pod rokiem 1663: „I nie miałem natenczas szczęścia do *upatrzonego* (wakansu), lubo król mówił mi kilka razy: „*Upatrzcie* sobie.” Pod rokiem 1664 po opisie burzy sejmowej, w której przywodził Lubomirski, król expostulował z nim mówiąc: „Panie marszałku, dochodzi nas wieść, *jakobycie* sobie życzyli korony,” ten odpowiedział „etc. Pod rokiem 1665.” „Król ukontentowawszy ją (panią Sułkowską) jakimś tam datkiem, mówi do niej: „Przebaczenie pani, tak to wojna umie,” „a otóż ja *wam* dam, moja pani, przywilój taki” etc.

Przy końcu wieku zeszłego, a początku naszego, kiedy odległości jednostek znacznie się porównały, a życie towarzyskie już nie w nominalnej, ale w rzeczywistej równości coraz dobitniej rozwijać się zaczęło, kiedy nadto z jednej strony wznoszona racjonalność, w brzmieniach *waszność* i *wacpan*, kazała tylko widzieli karykatury ich pierwotnych znaczeń, a z drugiej strony, chęć cieniowań w mówieniu i oznaczaniu osobistości tworzyła nowe, dziwaczne z tych wyrazów warianty i mówić zaczęto. np. do siebie *asindziej*, *waspandziej*, *asandziej*, *asan*, *acan*, *asińdzka*, *acani*, *aścka* i t. p., zaczęto żałować zatraconej formy przez *wy* i myśleć o jej powrocie. Tak Ad. Czartoryski G. Z. P. w liście pisanym do Autora słownika Lindego pod d. 27 marca 1809 r. między innymi wyraził: „Pomyślcieńco o tém, mój rektorze kochany, jakby to można u nas wyprowadzić *omni meliori modo* ze zwyczaju ów przesąd i *zawadę okrutną w różnych gatunkach pisania* tego ustawicznego powtarzania owój formuły *wpan*, *wpana*, *wpanu*, i czy nie możnaby, zmówiwszy się i porywając się na zniesienie przesądu upowszechnić wygodne *wam* i *wy* we wszystkich dyalektach słowiańskich, używanych krom naszego, mówiąc *do* i mówiąc *o*, tak najpierwszego rzędu osobach, jak i o niższych (słów. VI. XXXXIII). Z tegoż zapewne natchnienia przemawiał następnie gorliwie za tą formą Niemcewicz, a przemawiał nietylko teoretycznie, ale praktycznie, używając jej do dyalogów w swych powieściach, dramatach i t. p. Użycie nowych form w dyalogu, zależało jednak naturalnie nie od lexicografa, którego zadaniem jest zapisywać tylko szczegóły danego języka, nie zaś je tworzyć, zależało to w owym czasie najwięcej podobno od samego autora listu i jego salonu, być może czynione były w tym celu próby, lecz nie powiodły się. Kraj nasz (wtrąćmy tu uwagę nawiasem), którego losem była we wszystkiem oryginalność, oryginalność w *formacie*, oryginalność w *życiu*, oryginalność w *śmierci*, oryginalność *po śmierci* i w tym gramatycznym czyli lingwistycznym szczególe, o którym mówimy, odrębność wyrazik; odrzucił on wprawdzie w ostatnich czasach *waszność* i *wacpan*, lecz w miejscu *oni* lub *wy*,

ukazało się nagle we wszystkich ustach krajowych krótkie znaczące *pan* i używane dziś jest powszechnie we wszystkich stronach kraju i przez wszystkie klasy, w zwrocie słowa do wyższych, do równych i nawet do niższych.

Ta jest forma najświeższa, jako świeża nie wiemy czyli ma być trwałą? czy też i na jaką się zmieni? wszakże gdy jest dziś stałą, obaczmy jak się uważać może pod względem psychicznym? czyli i jakie tkwią w niej strony dodatnie? oraz czyli i jakie ujemne?

Wyraz *pan* krótki i grzeczny, jakkolwiek w codzienném użyciu, używanym jest dziś przez wielu za rodzaj liczmaną, właściwie jak wiadomo oznacza zwierzchnika, rządcę (zład *panować*), a jak wnosił nasz kronikarz z wieku XIII Baszko, pochodzi od wyrazu greckiego *παν* (wszystko), zład oznacza jakby *wszechmożnego* (*Pan* enim juxta graecam et sclavorum interpretationem dicitur *totum habens*), używany więc dziś zarówno do wszystkich nietylko jest jakby wyznawaniem powszechnej jednostkowej równości, ale też razem i czczeniem ludzkiej jednostkowości, jest to jakby przypominanie co chwila metafizycznej prawdy, iż każdy z ludzi jest panem, chociażby tylko swój duszy i swoich kroków. Forma ta zatem jest nadto i jakby rodzajem ekspiacji wśród społeczności, pośród której istniała tak długo, a tak niesłusznie pogarda przez klasy klas (miejskiej, przemysłowej i t. p.), a które dziś wszystkie nawzajem tym jednym wyrazem *pan* przemawiać do siebie muszą.

Dodajmy nadto iż jakkolwiek przez tę dziś powszechnie przyjętą formę, oznaczanie osoby drugiej czynimy przez uosabianie jej w osobę trzecią, a tę osobowość zwiemy *panem*, ¹⁾ to jednak zwyczaj krajowy unikając monotoności i lubując się zawsze w odcieniach zwrotów, w miejscu pan używa też nader często uosobienia tytułu, urzędu, charakteru i t. p. np. gdy się mówi: czy ma pan sędzia? pan generał, senator i t. p., albo wuj? stryj? kuzyn? kuzynka? i t. p. lub też uosabiając imię albo nazwisko, czy ma pan Stanisław? pan Karol? pan Karpiński? ²⁾ panna Anna? panna Helena? Staś? Jaś? Salcia? Emcia? i t. p.

¹⁾ Mówimy naturalną formą: „czy masz panie?“ „nadeszł mi panie“ lub też przez uosobienie w osobę trzecią: „czy ma pan?“ zechce pan nadesłać“ i t. p., kiedy się jednak pisze czy masz pan? nadeszł pan i t. p. jestto gramatyczny barbaryzm; a jednak wyznać trzeba iż to jest barbaryzm, który się stał już powszechnym; traktują nim np. wszystkie dzienniki swych abonentów i abonentki w odpowiedziach publicznych.

²⁾ Korzeniowski w powieści *Tadeusz Bezimienny* uoczył uwagę, iż zwrot ten (uosabianie nazwiska) wynalezionym jest u nas przez arystokratki chcące przypominać swym interlokutorom, iż nie są świetnego herbu; uwaga zupełnie mylna, używanie to jest tylko jednym z wynalazków dowcipu i potrzeby towarzyskiej wyszukującej form dogodniejszych; uosobianie nazwiska jest owszem

Forma ta daje więc nadto szczególną, rozmaitość i w zwrocie do osób wyższych np. dzieci do rodziców i starszych, podwładnych do zwierzchników i t. p., tworzy formy, które są dogodniejsze niż w innych językach.

Jeżeli jednak ta forma loiczną jest i dogodną przy zwrocie do osób wyższych, jestże taką przy zwrocie do równych i niższych? Jakkolwiek bezwzględnie sądząc każdy jest panem siebie i mówiąc do każdego „pan,“ przypominamy tę prawdę; rozmowa jednak jest raczej załatwieniem potrzeb towarzyskich jak nauką moralną, a jeżeli ostatecznie żądanym i spodziewanym celem jest kiedyś towarzyska równość jednostek, to zarazem prawdą też jest, iż nie jesteśmy jeszcze u celu, ale dopiero w drodze do celu; ztąd płynie że jeżeli w zwrotach naszych do osoby drugiej musimy z jednej strony stosować się do warunków tej drogi, tedy z drugiej te środki pośród tej drogi są psychicznie więcej zaletne, które są więc w harmonii z ostatnim celem. Z obu tych względów zwracanie się do osób równych i towarzysko niższych z wyrazem pan nie może być pochwalaném.

Mianowanie przez daną jednostkę drugiej tegoż położenia towarzyskiego jednostki wyrazem *pan*, jest pewnym jej przyznawaniem nad sobą wyższości, a tém samym zamiast stopniowego zbliżania się i równania sprawnia oddalenie. Osoby jednego zawodu, jednego wieku, członkowie jednego urzędu, jednych spólnych zajęć, powinowate i t. p., wyrażają się niewłaściwie mówiąc do siebie pan, pani, a mianowanie siebie wzajemne samym zaimkiem (*wy* lub *oni*) musi się uznać w tych razach za formę więcej dodatnią, jako mającą właśnie na celu raczej porównanie jak oddalenie.

Zwracanie się zaś do osób towarzysko niższych z tém mianownikiem *pan* jest już wprost bezloiką, kiedy więc dziś słyszemy jak np. urzędnik w biurze do swych podwładnych, nauczyciel do uczniów, majster do czeladników mówi co chwila *pan*, jestto karykaturą loiczną. A jednak używanie podobne wyrazu *pan* we wszystkich klassach i stanach tak się dziś stało powszechne, tak jest nieraz mechaniczne, bezmyślne, iż znaczenie tego wyrazu twierdzące zmienia się na przeczące i frazesa z jego użytkiem dają nam galimatyas wrażenia. Komuż się nie zdarzyło np. w przechadzkach miejskich, na targach lub na ulicy stać się świadkiem wzajemnego lżenia się czy to zaperzonych przekuppek, czy też zażartych młodych uliczników, a nawzajem mówiących

z jednej strony formą loiczną, a przy właściwej każdemu miłości własnej, t. j. miłości swego rodu, nie mogące być dla nikogo nie miłém. Inny autor powieści uważa za ubliżającą formę: „czy jadł?“ „czy pił?“ zamiast „czy jadłeś?“ „czy piłeś?“ (Pamiętniki włóczęgi), jest to forma która się jednak nie uważa wcale za obelżywą we Włoszech. Ci, którzy lubią ścigać formy ogólne, jakież stawiają na to miejsce formy ogólne?

jednak do siebie *pan, pani* („jesteś pani indyczka“, „a pani małpa“, „jesteś pan łgarz i oszust“, „a pan złodziej“).

Konieczność mówienia lub pisania do równych i niższych przez *pan* i *pani* sprawia nadto ten skutek, iż dogodność krajowa musi się uciekać do używania języków mających dogodniejsze formy; zauważała to już kiedyś trafnie pani Hofmanowa, że potrzeba ta upowszechniła w wielu familiach lub salonach język francuzki.

W zwrocie słowa do pojedynczej osoby nieużyjemy zapewne nigdy na wzór Niemców zaimka *oni* (Sie), ale używanie w zwrocie do równych i towarzysko niższych na wzór np. Francuzów zaimka *wy*, byłoby to tylko rozszerzeniem istnącego dawniej i istnącego dzisiaj zwyczaju narodowego, a ztąd pożądaném. Prócz wyżej przytoczonych przykładów dawnych nie mieliśmy i nie mamy prawie znakomitego pisarza, któryby nawet formy tej kiedykolwiek nieużył; używali jej np. z poetów dawnych: Kochanowski, Rej, Wackł. Potocki (w Figlikach, Fraszkach i t. p.), z nowych Malczeski (w dedykacji Maryi), Mickiewicz (w Walenrodzie) i t. p.

Jeżeli jednak używamy takiej lub innej formy w mówieniu lub pisaniu językiem własnym, w każdym razie jest zależném od dobrej woli pisarza lub interlokutora i w każdym razie jest prawdą, tedy znowu w przekładach z języków, które mają owe ogólne zaimkowe formy, skoro je przekładamy formą odmienną, przekład jest mylnym jawnie; mniej jeszcze to być może rażącym w przekładach dramatów lub powieści, ale się staje fałszem historycznym, w przekładaniu kart historycznych. Jakże np. jestto dziejowie potworném, kiedy w kreśleniu dziejów Napoleona I, tego umysłu tak despotycznego i jego stosunku do swych podwładnych czytamy jak mówi lub pisze do ministrów, posłów, prefektów: „donieś pan, przybądź pan“, albo do biskupów, arcybiskupów: „rozważ pan, nakaż pan“ i t. p. A dodajmy nawiasem że z potwornością podobną w przekładzie pism lub rozmów monarchów, parlamentarnych i t. p., spotykamy się dzisiaj ledwo nie codnia w części politycznej wszystkich pism naszych.

Z uwag tych i tego wywodu całego jakiz jest wniosek?

Oto najprzód, iż forma oznaczania osobistości przy zwrocie do osoby drugiej w języku naszym jest różną od wszystkich innych, iż w zwrocie do osób wyższych jest rozmaitszą i dogodniejszą niż w innych; lecz że w zwrocie do osób równych i niższych jest przeceniającą osobistość, nie logiczną, a ztąd niedogodną, i że pożądaném być musi iżby zwyczaj krajowy na piśmie i ustnie rozszerzał pogardzoną formę przez wy.

Mamy właśnie przed sobą wydaną w roku zeszłym korespondencję dwóch naszych powag naukowych, Lelewela z Karolem Sienkiewiczem. W korespondencji tej Sienkiewicz do męża szczególniej powagi i niegdyś być może swego szkolnego mistrza używa wszędzie tylko krótkiego *pan*, Lelewel do Sienkiewicza, którego považał także, pisze wszędzie przez *wy*. Te dwie formy równo więc, powtórzmy raz jeszcze, zasługują i na przechowywanie i popieranie.

A. Tyszyński.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Studia literackie Edmunda Scherera. — Biblioteka Sainte Beuva. — Prelekoya profesora Büchnera w Caen: literatury w krajach drugorzędnych. — Goethe: studyum p. Meziereś członka akademii. — Dzieło Emila Oliwiera o Lamartinie. — Chybiona uroczystość akademicka. — Państwo brezylijskie: dzieło cesarza don Pedra, ofiarowane Towarzystwu Jeograficznemu w Paryżu. — Współdziałanie Towarzystwa Jeograficznego z izbą handlową. — Reformy pod względem prawa w Japonii. — Piérwsze cywilizacye: dzieło Franciszka Lenormant. — Nowo utworzona szkoła archeologiczna w Rzymie: mowa dyrektora Alberta Dumont. — Podróż po Hiszpanii barona Davillier z drzeworytami Gustawa Doré. — Sfinks: dramat Oktawa Feuillet.

„Prawdziwa zasługa pisarza przeszkadza jego powodzeniu. Pamiętajmy, że tak wady, jak zalety jednakowo popłacają w świecie: właściwa proporcya jednych do drugich zapewnia autorowi rozgłos. Trzeba niewątpliwie siły, aby pociągnąć i ujarzmić uwagę współczesnych; ale potrzeba domieszać trochę podrzędnego kruszcu: przesady, szarlatanizmu, maniery, i sam nie wiem czego jeszcze, by uczynić złoto płynniejszém.“

Paradoks ten wzięliśmy z nowój książki Edmunda Scherera p. t. *Studia nad literaturą współczesną*, która znalazła nie mały rozgłos w literackim świecie paryzkim. Autor stosuje te słowa do jednego z delikwentów swoich, my jednak śmiało stosujemy je do niego; od pierwszój bowiem do ostatniej stronnicy trzymał się najwierniej tego programu.

Scherer to prawdziwy typ dziennikarskiego kronikarza nowój szkoły. Jego literackie artykuły z dziennika *Temps* zebrane razem w książce o której mowa, są to krytyczne rakiety zrazu jasne, hałaśliwe, polyskujące, po których przecież pozostanie trochę dymu, nic więcj. Zawołany to szermierz słowa; chłoszcze niém na lewo i na prawo. W arsenale jego nigdy nie zbraknie broni, a broń to ostra zaprawiona jadem sarkazmu. Biada temu, w czyją pierś ugodzą te pociski; a jestże choćby

jedna w którejby nie utkwily? Scherer nie oszczędza nikogo, tych nawet, których się mieni prawdziwym przyjacielem. Całą różnicę stanowi rozmaitość oręża. Szczęśliwy, komu się tylko dostała szczypta soli atykiej, ale nie często używa jej kronikarz; hojniej za to szafuje pieprzem albo blekotem. Ten ostatni narkotyk tak przeniknął na wskrós stronnice jego książki, że odurzony czytelnik nie łatwo zdaje sobie z nich sprawę.

Walka dla walki, oto hasło Scherera. Nie walczy on w obronie własnych zasad, bo wyznaje z całym cynizmem, że ich nie ma. Kondotier dziennikarski, występuje do zapasów w imieniu dzienika na którego jest żołdzie. Gotów w każdej chwili zmienić chorągiew. Oczytany w różnych gałęziach wiedzy, obdarzony do tego niepospolitym darem słowa, uderza na wszystkich z niesłychaną śmiałością. Przeciw argumentom teologów, stawia zdania Ojców kościoła, przeciw teoryjom filozofów, cytuje Platona, Kartezjusza, Pascala, Spinozę, Lessinga, Hegla a nawet Straussa; przeciw moralistom stawia aksjomat sztuka dla sztuki, przeciw artystom bije w bęben utylitaryzmu. Ta to pobudka najgłośnieją obrzmiewa w ostatnich rozumowaniach publicysty. Zobaczymy naprzykład jak ocenia pracę Taina: *Filozofia Sztuki Greckiej*.

„Wróżki otoczyły kolébkę Taina—mówi Scherer—jedna dała mu bystrą intelligencją, druga uczucie piękności, trzecia malownicze słowo i t. p. Nieszczęściem przyszła ostatnia, a nie wiedząc już co dać więcej uczyniła go filozofem; zaszczerpiła mu smak definicyi, formuł, metod. I cóż ztąd wypłynęło? Oto nastąpił dualizm w jednéj osobistości, filozof kłóci się tu z artystą, artysta zaś wprowadza w zasadzki filozofa. Nie wiemy nigdy, kogo podziwiać w Tainie: myśliciela czy tész poetę“.

Tu dowcipnie wprowadza krytyk rozmowę Molierowskiego skąpca ze sługą Jakóbem, który pełni obowiązki kucharza i woźnicy.

Harpagon. Jakóbie, chodź tu!

Jakób! Czy pan potrzebuje woźnicy, czy kucharza?

Harpagon. Obudwóch razem.

Jakób. Ale którego naprzód?

Różnica polega w tém—dodaje krytyk—że Jakób kładzie liberyą, podejmuje bicz w rękę, lub przypasuje fartuch; gdy tymczasem Taine przywdziewa razem oba stroje, a przez to nikogo nie zadowolni: artystów zmęczy erudycją, uczonych niewczesnym artyzmem.

Zręczne to określenie. Taine w rzeczy samój zbyt często odbiega od założonego przedmiotu. Ale na co zgodzić się niepodobna, to na stanowcze potępienie zasady, że „aby poznać sztukę, potrzeba koniecznie poznać obyczaje ludu, który ją stworzył i miejscowość, która była jej kolébką“. Przeciw tész zasadzie protestuje krytyk pozytywista; wyznaje on, że Taine skreślił świetny rys historyczny, ale pyta: „Wartoż na to poświęcać tyle erudycyi, tyle talentu? I cóż nam z tego przyjdzie, gdy się dowiemy, że sztuka grecka ściśle złączona z geniuszem

greckim? że geniusz grecki rozwijał się na prawach geografii, klimatu i plemienia? I cóż nam z tego przyjdzie? jak odpowiedzieć na taki argument, chyba że są jeszcze ludzie, którzy nie samym żyją chlebem.

Jeśli Taine, realista, estetyk ściągnął na siebie zarzut zbytniego idealizmu, łatwo zgadnąć, jak p. Scherer obchodzi się z drugimi. Jakaż to arogancją widziny w oceniu *Rozmyślań religijnych* Guizota! Przytaczamy konkluzją; ta dość wymowna sama przez się, nie potrzebuje komentarzy: „Walka pomiędzy ortodoksyą a jej przeciwnikami, mówi krytyk, nie jest czém innym w gruncie rzeczy, jak walka wiedzy z niewiedzą. Nie dziwimy się, że p. Guizot staje między stronnikami tradycyi. P. Guizot nie tylko, że obcy jest pracom krytyki nowoczesnej, ale nie wie nawet o ich istnieniu. Napisał dwa tomy o chrześcijaństwie, nie domyślając się w jaki sposób stawione dziś są pytania religijne“.

Gdzie i przez kogo? zapytamy. Kryterjum p. Scherera maż być miarą sądu dla wszystkich? Dziwna zarozumiałość.

Nic znów pociesniejszego jak obszerna pochwała św. Pawła przeciwko Renanowi. Pan Scherer staje w obronie apostoła, utrzymuje, że był filozofem i poetą; co więcj, takie połączenie dwóch przeciwnych kierunków, nie razi go w uczniu Chrystusa, jak go raziło w profesorze estetyki. Poeta nie kłóci się tu z filozofem! Jaka tajemnica tej harmonii? nie pytajmy o to krytyka!

Ale zostawmy na boku teologia, a przejdźmy na pole literatury. Zobaczmy najprzód, jak p. Scherer określa dzisiejszy stan umysłów w kraju swoim. „Nikt dziś nie czyta; przeglądy nawet zaniedbane. Ogół karmi się tylko dziennikiem, tj. plotkami dziennikarskimi, zostawiając na boku stronę poważną. Kiedy się skarżę na jałowość czasów dzisiejszych, nie zapominam, że mamy *trzech* lub *czterech* pisarzy nie ustępujących dawniejszym, ale ci pozostali samotni, oderwani od ogólnego prądu. Są to błędne ogniki unoszące się nad zgniłem topieliskiem“.

„Patrzmy dziś na skon literatury i w ogólności sztuki. Nie mamy już ani artysty, ani amatora, ani publiczności, ani pisarza, ani też czytelnika“.

„Dziś każdy trzyma pióro, ale nikt nie pisze. Literatura umarła, bo do niej potrzeba smaku, instrukcyi, przygotowania właściwego, a społeczeństwo nasze nie rodzi tych słodkich owoców. Idee nikogo nie obchodzą. Bez ruchu intelektualnego, sztuka się nie osto. Kto chce pisać, musi mieć coś do powiedzenia, inaczejj wystarcza styl korespondencyj handlowych. Giełda tworzy dzisiejszy słownik, telegraf uprościł naszą składnię. Ci którzy nie zapomnieli jeszcze pisać, kładą pióro dla braku czytelników.

„Duch czasu inną otworzył sobie drogę. On nakazuje opanować świat materyalny, rozwijać przemysł, skupiać złoto. Życie stało się trudnem; walka o byt powołuje wszystkich do zapasu. Każdy szuka miejsca pod słońcem, nikt nie ma wolnej chwili. Dorobkowiec bez wykształcenia, bez smaku, przewodzą w społeczeństwie. Wychowanie literackie jest już osobliwością, wkrótce literat stanie się białym kru-

kiem, jak jest nim dziś uczony filolog. Demokracja rośnie w górę i niebawem sprowadzi niwelacją powszechną, bo demokracja to mierność, to panowanie tłumów. Ludzkość zyska coś na tém, lecz duch ludzki musi kopiecznie upaść.

„Świat dzisiejszy ma czas na dwie rzeczy: na pracę, gdyż ta daje chleb; na zabawę, gdyż ta rozrywa w pracy. Ależ zabawa musi być łatwa i energiczna; pędzimy na przód po amerykańsku.

„Nie skarżę się wcale, określam tylko stan obecny. Co straci literatura, zyska ludzkość. Ale pytam, i ludzkość sama nicze na tém nie straci? Potrafił się obejść społeczeństwo bez geniuszu, literatury i sztuk pięknych? Podniesienie mass, ażełiż nam zastąpi brak tych ludzi, którzy dawali popęd wielkim epokom, których imiona żyły w ustach, dzieła w pamięci wszystkich? Których wpływ ożywia społeczeństwo i wydobywa z niego nowe siły“?

Któż zaprzeczy loiczności tych wywodów? Pan Scherer wykazał najloiczniej, że Francya intelektualna już umarła i pogrzebana. Przez patryotyzm zapewne używa takich palących środków, aby zbudzić iszkierkę życia w trupie! Nie o brak loiki posądzimy téż autora. Gdyby Francya stała w rzeczy saméj na takiej pochyłości, na gruncie tak grubo materyalnym, na jakim okazuje ją krytyk, upadek jéj byłby niechybny. Ale błąd leży w samém założeniu. Dość spojrzeć na olbrzymie prace ducha francuzkiego, na tę siłę twórczą objawiającą się w tylu instytucjach, w tylu prelekcjach i konkursach, w tém mnóstwie dzieł naukowych i literackich, w tém rozgałęzioném dziennikarstwie, któremu nikt nie zaprzeczy żywotności, w téj nakoniec przewadze spiritualizmu, który oddziaływa tak potężnie przeciw realistycznym prądom i w książkach i w dziennikach i z professorskiej katedry. Pan Scherer nie należyż sam poniekąd do falangi obrońców ideału? alboż nie świadczy o tém gorycz, z jaką głosi swoje pesymistyczne przypuszczenia?

W ustępie poświęconym poezyi, autor zaintonował jéj *requiescat in pace* i to w stanowczy i nieodwołalny sposób. „Poezya—mówi on—jest wpływem życia naiwnego, życia zbratanego z przyrodą, dziecięcego życia ludzkości; warunki jéj znikają z każdym dniem w miarę naukowego i przemysłowego postępu w społeczeństwach. Będą jeszcze poeci, gdyż pojawiają się tu i owdzie jednostki obdarzone twórczą wyobraźnią. Ale owi poeci coraz to bardziej będą osamotnieni. Dawniej tworzyło całe społeczeństwo, z niego to wyszły owe pieśni ludu i poemata narodowe, zazwyczaj bezimienne. Później tłumy przestały tworzyć, ale przyjmowały poetów, jakby zesłańców niebios, żyły ich myślą, powtarzały ich pieśni. Nakoniec poezya stała się literaturą. Ale ta literatura miała swoich miłośników, miała ich jeszcze przed dwudziestoma laty; dziś zupełnie ich brakło. Najpiękniejsze wiersze w świecie, żadnego już nie poruszają serca! Przeczyta je może jakiś literat, przesiądkły zastarzałemi pojęciami, lecz tłum zostanie obojętny“!

Obok tych pseudoproroczych paradoksów, znajdujemy w książce Scherera nie jedno zdrowe określenie, nie jeden sąd cechujący wytraw-

nego krytyka. Weźmy na przykład obraz romantyzmu od pierwszej chwili jego istnienia, aż do obecnych czasów, kiedy się przerodził w potworny materyalizm. Wyborny to ustęp.

„Granica pomiędzy idealizmem a realizmem w sztukach fałszywą jest, gdy chcemy ją stawiać w absolutny sposób. Najzagorzalszy miłośnik ideału musi bądź co bądź potrącić o rzeczywistość. Najpocząwszy znów realista, choćby najbardziej niewolniczo naśladował przyrodę, przedstawia ją zawsze z efektem. Rzeczywistość i ideał są to dwa krawcowo przeciwne bieguny: sztuka toczy się między niemi przechylając się to w jedną to w drugą stronę, stosownie do panującego prądu. Takie prawo powszechne. W życiu człowieka jak ludzkości za każdym krokiem naprzód idzie w ślad reakcyja. Im dalej kula rzucona, tém silniej w tył odskakuje. Sztuka na przykład zaczyna się od naśladowania przedmiotów! Wkrótce nie wystarcza jój wierne powtórzenie prawdy, chce okazać ją w pięknym świetle. Tym sposobem zwier grubo wykuty przez ludzi epoki kamiennój, zmienił się powoli w konia Partenonu. W końcu następuje przesada, to jest przewaga ideału nad formą—konwencyonalizm. Sztuka zamiast czerpać prosto z przyrody, trzyma się wzorów i tradycyj szkolnych. Ubożeje więc, niknie, potrzebuje koniecznie odrodzenia; wówczas to kapie się w rzeczywistości.

„Takim był początek romantyzmu. Sztuka uduchowiona nad miarę, pozbawiona sił żywotnych, ujęta w ciasne pęta stylu, wyszlachetniała wprawdzie, ale stała się zarazem anemiczną. Aby odzyskać krzepkość, musiała dotknąć ziemi i zaczerpnąć sił w wiekiustym zdroju przyrody. Musiała wyłamać się ze sztucznych karbów i przemówić językiem ludzkim. Musiała w miejsce konwencyonalnego realizmu spotkać się oko w oko z żywą rzeczywistością, badać jój wybryki, jój niespodzianki, jój niesłychaną rozmaitość. Było to powołanie romantyzmu. Jakiegokolwiek mogły być jego zboczenia, wyrobił sobie miejsce w literaturze. Wypowiedział rzeczy nowym językiem, wyraził myśli i namiętności.

„Pierwsi przedstawiciele szkoły romantycznój, odpowiedzieli wybornie tym warunkom. Wiktor Hugo znał ludzkie namiętności, umiał je wypowiedzieć. Następcy jego przekroczyli właściwy obręb. Pod ich kierunkiem romantyzm opanował ów szeroki świat rzeczywistości, którym poezya niegdyś pogardzała i prawem reakcyi, przeciw ubóstwu barw i form w sztuce klassycznój, rzucił się w materyalizm. Tam sztuka nadto była duchową, brakło jój ciała; romantyzm zanadto ją ucieleśnił. Forma u klassyków była lekką i przezroczystą ledwie zasłonną; romantycy zmienili ją w pyszny strój, pod którym nikła niekiedy ludzka postać.

„Wady wzrastały z wiekiem. Naśladowcy czepiają się zwykle ujemnej strony mistrzów swoich. Nadeszła druga epoka romantyzmu; po artystach nastąpili *ornamentyści*. Uczczono formę dla formy, postawiono ją na pierwszym miejscu, poświęcono wszystko dla jój urozmaicenia. Przemawiano nie do rozumu, lecz do oczów. Pokonanie

trudności stało się głównym celem, główną chwałą. Rym wzbogacił się kosztem myśli; klasyfikowano poetów według trudnego doboru końcówek.

„Ciężko było zatrzymać się na takiej pochyłości. Z drugiej szkoły wyrosła trzecia. Sprawić wrażenie stało się jedynym celem poetów. Bądź co bądź trzeba je było sprawić, jeśli nie pięknem, to brzydota, jeśli nie formą, to potwornością! „Skoro, mówiono, nie możemy czarować was, jak dawniej, a więc dreszczem śmiertelnym przenikniemy wasze kości. Nie zdołamy was ujarzmić, chcemy was torturować.” Groza doprowadziła do obrzydliwości, malują dziś rzeczy niestworzone, tarzają się w bagnisku, zgnilizna rodzi zgniliznę!”

Przeprowadziwszy cały bieg od wspaniałych wyżyn, na których zbierał plony Wiktor Hugo, od kwiecistych smugów, na których Musset zaplatał wieńce, do brudnych topielisk, w jakie się nakoniec potoczył dziś romantyzm, ukazuje krytyk jednego z ostatnich przedstawicieli upadłej szkoły. Był nim Baudelaire, zmarły przed trzema laty. Baudelaire pod względem formy, był świetnym i wytwornym stylistą; pod względem pomysłów utonął w najgrubszym realizmie. Porównywiają go słusznie z Courbetem, naczelnikiem realistycznej szkoły malarskiej.

O Ryczywole zamilczcież wołę! Nie myślimy też zatrzymywać się nad takimi poematami, jak *Charogue* i t. p. mimo całej piękności języka, której nikt poecie nie przeczy. Wspomnimy tylko, jak Scherer określa te utwory. Baudelaire powiedział w jednym z swych poematów:

Czar grozy w sercach dzielnych niech siły podeprze!

Scherer sparafrazował wiersz w taki sposób:

Czar cuchnących gnojowisk niech napoi wieprze!

Powyższe ustępy ukazują nam w Schererze zaciętego wroga realizmu. Byłże nim w rzeczy samój? Kto odgadnie tych gladyatorów dziennikarskich gotowych zawsze do szermierki g'woli zabawie tłumów, wołających *panem et circenses!* Inni poważni pracownicy, dają tym głodnym chleb podsycony długoletnim potem czoła, gdy tymczasem podobni zapaśnicy areny, jak p. Scherer dźwiękiem słów brzmiających, co dnia rzucanych na pastwę tym złąknionym, tumania umysły i w sumieniach zacierają zdrowe pojęcia prawdy.

Zobaczmy oto, jak Scherer dopieroco zwolennik ideału w sztuce, ocenia najbrzydliwsze powieści Flauberta. Zrazu czyni zarzut cynicznemu autorowi, nie z tego, że zaraza społeczeństwo trucizną, ale z tego tylko, że okazuje prawdę bez delikatnej osłony. „Sztuka polega na tém, mówi krytyk, aby więcej dać się domyśleć, niżeli wypowiedzieć. Pan Flaubert nazbyt wiernie oddaje prawdę: kiedy mówi o błocie, bluzga niemi karty książki swojej.”

Na to zgadzamy się zupełnie, ale patrzmy, co będzie dalej.

„Te błędy—mówi Scherer—niepojęte pod piórem tak utalentowanego autora, nie odbierają wartości jego dziełom. Powieść p. t.:

Edukacja sentymentalna, przerasta głową wszystkie razem dzisiejsze powieści. Czuć tu prawdziwego artystę. Oddałbym całego Balzaka i całego Dumasa, za jedną kartę nakreśloną tym wytwornym stylem francuzkim. Słowo tu przezroczyście, jak szkło. Autor nadużywa może opisów, ależ te opisy drgające życiem, a tak pełne barwy! Pan Flaubert zna wybornie swoje rzemiosło, nie pisze na chybił trafił, nie czerpie języka z zabloconych, dziennikarskich rynsztoków, rozsiewa umiejętnie światło, rozprowadza zręcznie koloryt. To przecież coś znaczy, to znaczy bardzo wiele. Strzeżcie się, niech mnie kto naciśnie, a powiem: na tém polega wszystko!”

Dziwna nieloiczność. Jeżeli forma wszystkiém jest w powieści, dlaczego nie ma być wszystkiém w poezyi? Czemuż p. Scherer tak chłoczszcze Baudelaira, mimo że go zowie mistrzem słowa i formy? Podobnych sprzeczności napotkać tysiącami w *Studjach literackich*.

Jeśli tak długo zatrzymaliśmy się nad tém dziełem, to nie dla względnej jego wartości, nie dla kilkunastu kartek, skreślonych wytworném piórem, ale dlatego, że widzimy w utworze jeden z typów dzisiejszej literatury krytycznej we Francyi. Szczęściem, że obok takich szermierzy, uganiających się wyłącznie za efektem, nie brak tam w dziennikarstwie nawet poważnych myślicieli, którzy rozumieją ważność słowa i krytyczne wywody opierają na sumienném przekonaniu. Takiemi są Caraguel, Sarcey, Claretie, Francis Charmes i wielu innych. a na ich czele czcigodny starzec, który im wskazał prawdziwą drogę, patriarchy krytyków francuzkich, zasłużony Jules Janin.

To téż, rozwijając w studyach długą galeryą osobistości współczesnych, krytyk dziennikarz Scherer, nie znalazł w niej miejsca dla Janina pracownika na témże samém polu! Za to Sainte Beuve jest w jego oczach *alfą* i *omegą*, ostatnim reprezentantem trzydziestoletniej literatury. W śmierci jego widzi, jakby zaćmienie słońca na literackim widnokręgu.

Do najciekawszych ustępów w książce zaliczamy opis biblioteki Sainte Beuve, złożonej z dzieł wielkich klasyków greckich i rzymskich, jak nieminiej z najznakomitszych płodów geniuszu francuzkiego. Szczególną ważność tej bibliotece nadają notaty, kreślone ręką uczonogo właściciela, na białych kartkach wprawionych z umysłu w ulubione mu księgi. Przejrzyjmy pobieżnie te zapiski.

Najwięcej notat widzimy na czterech tomach Homera, zwłaszcza na Iliadzie. Oto z nich jedna: „Poezye Homera to prądy wielkiego oceanu, który jest ojcem wszystkich rzek.” Pod Odyseą zapisane słowa: „Skończyłem odczytanie Odysei po raz trzeci 30 lipca 1856 r.”

W ostatnich latach życia Sainte Beuve wziął nauczyciela greckiego języka, uczonogo helenistę, z którym odczytywał ulubionych poetów. „Panie Pantassides—mówił do niego, gdy będę zbyt stary, abym mógł pisać, odczytamy znów razem Iliadę.” Tymczasem czytali ją dorywkami. Pantassides utrzymuje, że lubo znał dokładniej grecki język,

nizeli jego uczeń, ten mu dopiero dał poznać główne piękności arcydzieła.

Zamiłowany w starożytną poezji, Sainte Beuve nielitościwie obchodził się z młodymi poetami. Znaleziono w bibliotece dwie związane paczki broszur i książek. Na jednej skreślone były słowa: „Napisać artykuł o poezji chińskiej.” Na drugiej: „Wyprawić pogrzeb współczesnym poetom.” Na książce o *Nasładowaniu Chrystusa Tomasza à Kempis*, Sainte-Beuve nakreślił: *ama nesciri!* Scherer czyni zastrzeżenie, że słowa te napisane były przed rokiem 1830, w czasach niedojrzałości umysłowej!

Na niektórych książkach Sainte-Beuve powtarzał po kilkakroć uwagi. W dwudziestym roku życia taki sąd wydał o Telemaku:

„Mówią, że Fenelon napisał Telemaka dla księcia Burgundyi, że rękopism kreślony odrazu, żadnych nie ma poprawek. Łatwo to zgadnąć z tego zaniebanego stylu, z tych pospolitych maksym, z tych charakterów przesadzonych bez najmniejszej prawdy. Nie okupią tych błędów harmonijno i bogate czasami obrazy. Gdyby ta książka była dziś napisana, razilaby ekliwą i napsuzystą deklamacją (1825).”

W siedmnaście lat potem Sainte-Beuve dodaje niżej: „Wszystko to pisałem w czasach wściekłości młodzieńczej *ferox juvenis* (1842).”

Nie dosyć na tém, później dopisał jeszcze:

„Odwołuję dziś te pyszne i zarozumiałe sądy i dodaje: młodość zbyt jest żartką, aby miała smak wyrobiony. Aby mieć prawdziwy smak nie dosyć jest czuć w sobie wrodzoną zdolność do ocenienia pięknych utworów umysłowych. Potrzeba jeszcze spokoju, duszy wolnej, przywróconej, jakoby do dawnej niewinności, niepograżonej w namiętnościach lub w sprawach dziennych, duszy bezstronnej, niepożeranaj pisarskim szałem; potrzeba spoczynku, zapomnienia, milczenia, przestrzeni wkoło siebie. Ileż to warunków, aby przy wrodzonym nawet smaku karmić się delikatnymi odcieniami rzeczywistego piękna.”

Wielka to przestroga dla młodzieży, tak skorzej do głoszenia wyroków, zaczynającej zwykle zawód literacki od krytykowania drugich, nim czas ostudzi ową *ferocitas juvenilis*, o której mówi Sainte-Beuve. Gdyby przynajmniej, jak on, przyszła kiedyś do uznania własnej rozumiałości!

Z pomiędzy francuzkich fakultetów literatury wewnątrz Paryża, najwięcej daje objawów życia fakultet w mieście normandzkiem Caen. Katedrę literatur zagranicznych zajmuje tam od lat kilku znakomity filolog Büchner. Ostatnie półrocze otworzył prelekcją o drugorzędnych literaturach w Europie (*les littératures secondaires de l'Europe*); taki tytuł nadał jej professor. Tytuł wprawdzie zdaje nam się niewłaściwy. Zresztą czuł to i sam p. Büchner, kiedy rozpoczął rzecz oświadczeniem, że długoletnie studia nad literaturą porównawczą przekonały go, iż

obszar kraju nie zawsze jest w harmonii z jego znaczeniem na polu literatury.

Professor stawia jako przykład Grecyą nowożytną. Wiadomo, że rozbudzony u Helenów ruch narodowy, objawił się nasamprzód w ich literaturze. Już w roku 1638 Leo Allakios przemawia do kardynała Richelieu pełnym zapału poematem, w którym wspomina starożytną wielkość kraju swego i wyraża nadzieję, że oręż francuzki rozstrzygnie losy Grecyi. W sto kilkadziesiąt lat potem Rhigas, jeden z czynnych promotorów walki o niepodległość, wyśpiewał sławny hymn francuzki, zwany *Marsyliantką grecką*. Duch poetyczny zapaśników oddziałł silnie na zewnątrz; ztądto zapewne najsłynniejsi poeci i literaci europejscy, wzięli tak gorąco do serca sprawę Hellenów, wprzód jeszcze zanim podjęły ją państwa chrześcijańskie, przeczuli bowiem instynktem poetycznym, że ci, co porwali za oręż, nie byli prostymi bandytami!

Przez długie wieki uprawa literatury, jedyną była tarczą Greków przeciwko cisnącym ich Otomanom. Poszukiwania erudytów francuzkich i angielskich, wykazały zdziwionej Europie, że stary duch helleński, wytrwał mimo klęsk, jakie sypały się na Grecyą od XVI-go, do początku XIX-go wieku. Oprócz wydobytych z ziemi posągów i szczątków architektury, odkryto mnóstwo utworów poetycznych z różnych czasów, a mianowicie pieśni ludu. Te literackie zabytki świadczą, jak silnie Hellenowie trzymali się swych dawnych tradycyi, których nie rozbiły tarany, nie strawiły płomienie pożarne, co pochłonęły Korynt. Słowo trwalszem było od spiżu. Literaci też nowo-grecy umieją czerpać w tym zdroju nieprzebranym. Jeden z głównych przedstawicieli poezyi helleńskiej, Spiridion Trikupis, zmarły przed rokiem, przelał własnego ducha w utworzoną przez siebie szkołę.

Professor przechodzi z kolei do ludów słowiańskich. Najprzód, mówi o poetach i erudytach naszych, z dokładną rzeczy świadomością. Jednym rzutem oka ogarnia naród czeski, który ściągnął na siebie powszechną uwagę, niezamordowaną pracą swych uczonych i skarbami literackimi, jakie przechował w paśmie wieków. Zatrzymuje się potem wśród plemion, rozsiadłych po obu stronach Dunaju. Wszystkie te ludy—mówi—Słoweńcy, Kroaci, Serbowie i Bułgarzy, mało niegdyś cenione z powodu barbarzyństwa, dziś wykryły światu bogate źródła swęj rodzimęj literatury.

Od Słowian zwraca się profesor do Madiarów; ukazuje wiekowe ich walki przeciw Turkom i Niemcom. „Lud ten—mówi—z plemienia obcy Europie, wystawiony na najstraszniejsze najazdy, utworzył jednak piękną literaturę. Badając ją, podziwiamy nietylko język krzepki i energiczny, ale co więcej niesłychaną giętkość geniuszu poetycznego, który umiał przyswoić sobie formy literackie ludów południowęj Europy i zastosować je do swych dziejowych podań. Ostatnie zapasy Madiarów, dały nowy polot ich poezyi. W tychto zapasach poległ sławny Aleksander Petöfi, twórca szkoły, która godnie wstępuje w ślady mistrza.”

Przechodząc następnie do Szwecyi, p. Büchner słuszną czyni uwagę, że czasy politycznego rozkwitu tego państwa, nie zasłonyły bynajmniej w literaturze; za panowania jeszcze królowej Krystyny i jej następców, literatura szwedzka świeci pożyczanym tylko blaskiem. Język wykształcał się podówczas, smak wyrabiał powoli i dopiero kiedy Szwecya obcięta w granicach, ochłonęła z krwawych kłesk i chwilowego zażyła spokoju, wówczas dopiero wydobyła z własnego łona złoty posiew nowój poezyi. „Pamiętajmy—dodał professor—że północ skandynawska przechowała w pasmie wieków tradycje starożytnej mytologii i teogonii pogańskiej, tradycje dawniejsze od owych wędrówek, które przywiodły Gotów północnych w ich dzisiejsze siedziby. Ta mytologia jest ściśle połączona z mytologią Greków i Hindów, węzłem wspólnego, aryjskiego pochodzenia. Podania kosmogoniczne i wspomnienia dziejowe, ukryte w tych fikcyach, zwróciły uwagę erudyty: zasłynął między niemi uczony Normandczyk p. Edelstan Dumeril. Owego podania i pieśni dały wzrost nowój szkole poetycznej, nie dla samej już Szwecyi, lecz dla całej Skandynawii. Twórca jej i najznakomitszy przedstawiciel Elias Tegner, autor bohaterskiego poematu: *Frühiof-Saga*, pozyskał oddawna chwałę europejską.

Po Szwecyi ukazuje professor Danią, kraik ściśniony dziś do małych rozmiarów, lecz wielki przeszłością historyczną i literacką, wielki niemniej zadziwiającą siłą twórczego ducha. Z Danią to wybiegały na świat drużyny zdobywców normandzkich; Dania dziś jeszcze posiada Islandyę, gniazdo odwiecznych sag i pieśni: Danią przed dwustu laty, wydała Holberga jedyne współzawodnika, jakiego Moliere znalazł w świecie; w sto lat potem wydała wielkiego rzeźbiarza Thorwaldsena i Öhlenschlegera jednego z pierwszych dramaturgów współczesnych: dziś jeszcze chlubi się Andersonem.

Ztąd professor przechodzi do Niderlandów rozpadłych na Holandya i Belgią. Przypomina wielką przewagę tych zjednoczonych krajów w średnich wiekach, kiedy wpływ Niemiec i Francyi oddziaływając razem wzbudził w nich iskrę samodzielnego geniuszu. „Dowcip galski połączony z realizmem Flamandów, wydał tu jedyne w swoim rodzaju zjawisko, początek literatury w tym samym kierunku, w jakim rozwinęła się szkoła malarzy flamandzkich.“

Walki religijne XVI wieku pod panowaniem Hiszpanów powstrzymały rozwój literatury. Później, kiedy oręż Ludwika XIV zagroził uorganizowanym ledwie stanom, kiedy mieszczanie amsterdamscy siadłszy na okręta szukali za morzami swobody, jakiej kraj własny dać im nie mógł, wówczas smak francuzki zapanował w literaturze holenderskiej; poeci naśladowali Rasyne i Moliere. Prąd ten powiewał na całą Europę, mógłże nie uleść mu kraj sąsiedni?

Odtąd Holandya w rozwoju literatury ulegała na przemian wpływom Anglików i Niemców, a nakoniec romantyków francuzkich. Wpływy te jednak nie zażyły w Holendrach samodzielnej twórczości. Geniusz narodowy polyska jasno w ich poetycznych utworach. *Lucyfer*,

mysteryum biblijne holenderskiego poety Wandela dał natchnienie Miltonowi do Raju Zatraconego.

Mówiąc o Belgii, gdzie jak wiadomo przeważa język i literatura francuzka, professor zwraca uwagę na żywioł flamandzki. Język Flamandów belgijskich jest małą tylko odmianą holenderskiego, a przecież onito przyczynili się najsilniej do rozdziału zjednoczonego królestwa w roku 1830. Jako żarliwi katolicy odłączyli się od protestanckich Holendrów, przechowali jednak język i uprawiają go z wielkiem zamiłowaniem. Od pięćdziesięciu lat język ten stał się literackim: dość tu przytoczyć Henryka Conscience, którego powieści obiegly całą Europę.

Obszerniejszy ustęp poświęca professor Szwajcaryi: zna ją do gruntu, gdyż wykładał literaturę z katedry zurychskiej wszechnicy. Zobaczymy co mówi o tym kraju tak szczupłym co do geograficznych rozmiarów, a tak wysoko posuniętym w instytucjach politycznych i w umysłowym rozwoju:

„Od początków XIV wieku, cztery kantony środkowe zmołyły potęgę austryacką; w końcu XV wieku oręż Karola Zuchwałego skruszył się o zacięty opór niezwalczonych góralów. A przecież Szwajcaryja okupiwszy niepodległość kosztem krwi własnej, nie oderwała się od południowych Niemiec ani językiem, ani literaturą. Przeciwnie, uprawa umysłowa tych dwóch krajów rozwijała się solidarnie, szczególniej w chwili odrodzenia literackiego w Niemczech w końcu zeszłego wieku. Szkoła, która wydała z siebie wielki prąd romantyczny, zowie się nawet szkołą szwajcarską; klasyczna zaś otrzymała nazwę szkoły lipskiej. Piérwsza przemogła nad drugą, gdyż wielcy pisarze téj epoki Klopstock z północy, Wieland z południa, Lessing ze środka Niemiec, zaciągnęli się pod chorągiew literatów zurychskich Bodmera i Breitingera. Niemcy ze swéj strony załączają do literatury własnej wielkich pisarzy szwajcarskich: historyka Jana Müllera, estetyka Sulzera, sławnego teozofa i fizyognomistę Lavatera, pedagoga Pestalozzi'ego i Gesnera sławnego idylistę. Pod względem literatury Niemcy i Szwajcaryja tworzą jedno nierozdzielne państwo; dlategogo Szyller, poeta ściśle narodowy obrał bohatera szwajcarskiego Wilhelma Tella za przedmiot do najpiękniejszego z dramatów swoich i tym sposobem spopularyzował w Niemczech najzaciętszego wroga przewagi cesarzów germańskich w Szwajcaryi.“

„Stosunki literackie między Szwajcaryją a Niemcami wzmocniły się jeszcze w czasach reakcyi politycznej po traktatach wiedeńskich. Góry szwajcarskie dały wówczas gościnny przytułek niezliczonym erudytom, literatom i poetom niemieckim, ci zaś wyplacając się za gościnność zajmowali katedry po szkołach i wszechnicach. Wpływ ten zaczął być niebezpiecznym; spostrzegli to w porę Szwajcarzy i poczęli skrzętnie oddziaływać przeciw ideom pangermańskim, rozbudzając iskrę domowych tradycyj. Na czele nowego ruchu stanął w Bernie pastor Bilzius znany pod pseudonymem Jeremiasza Gotte, w Zurychu zaś młody i pełen życia pisarz Gottfried Keller. Obaj w formie powieści wiejskich podnoszą najżywotniejsze pytania, obchodzące dziś społeczeństwo szwajcarskie.“

O ruchu literackim w Szwajcaryi francuzkiej nie wspomina wcale p. Büchner; wątpimy jednak, żeby go pominął w następnych prelekcjach. Gdyby uważał języki za jedyny objaw narodowości, nie byłby odłączył literatury północno-szwajcarskiej od niemieckiej.

Po takim ogólnym poglądzie na literatury ludów, zajmujących drugorzędne stanowisko, mówca przychodzi wreszcie do konkluzji. „Cóżemy—pyta—dostrzegli obliczając prace literackie tych małych krajów? Oto, że rozwój ich umysłowy nierównie wyższy nad znaczenie ich polityczne. Nigdzie postęp nie zaszedł tak daleko, jak w owych państwach drugorzędnych. W rozwoju handlu, rolnictwa i przemysłu korzystały one z wielkich współczesnych odkryć; pod względem zaś wychowania publicznego stanęły w pierwszym rzędzie.“

Zakończa p. Büchner protestacją przeciw pangermanistycznemu zachciankom Bismarkowskim.

„Prawo grawitacyi, które zda się pociągać małych ku wielkim, nie przeważa bynajmniej w świecie rozumu, wyobraźni i smaku. Znaczenie i wzrastający dobrobyt drugorzędnych państw Europy, jest w oczach naszych protestacją milczącą ale energiczną, przeciwko nowym doktrynom politycznym, które pod pozorem jedności plemienia, języka lub interesu, usiłują pochłonać ich indywidualizm.“

Z pomiędzy pisarzy niemieckich żaden nie używa we Francyi tak wielkiej popularności jak Goethe. Na okładkach nowych książek widzimy powtarzające się bez ustanku to imię. Wszyscy professorowie literatury powszechniej badali do gruntu dzieła genialnego poety, rozbięrali je w specjalnych kursach, pisali nad niemi studia i komentarze. Panowie Marmier, Caro, St. René, Taillandier, nakoniec Mézières, zawdzięczają w wielkiej części tym studjom krzesła swoje w akademii.

Zkądże—pytamy—taki pociąg Francuzów do Goethego? Dlaczego Szyller, któremu Francya winna cudną apoteozę bohaterki narodowej, nie był tu przedmiotem tylu krytycznych badań? Łatwa na to odpowiedź: Goethe był szczerym i wiernym przyjacielem Francyi od pierwszjej młodości, do najpóźniejszego wieku; nie przestał nim być wówczas nawet, kiedy potoki krwi ściekające do Renu i Dunaju, budziły w sercach Niemców nienawiść i pragnienie zemsty. Te uczucia wielkiego poety, z którymi nigdy się nie tał, budziły przeciwko niemu żal i niechęć w ziomkach; okazywali to Niemcy w owacych wyprawianych Szyllerowi dla upokorzenia Goethego. Czas uspokoił umysł: zresztą autor Fausta za wielkim był, geniusz poety zanadto pochlebiał miłości własnej narodu, aby Niemcy nie mieli pokryć się jego blaskiem. Uczcili więc Goethego tak samo, jak Francuzi mimo słusznego żalu, uczcili apolożgiskę Niemiec autorkę „Korynny.“

Goethe o tyle zadrażnił uczucia Niemców, o ile pani Stael zadrażniła uczucia Francuzów; wchodząc jednak w pobudki tych dwóch genialnych osobistości, musimy bądź co bądź przyznać wyższość Goethe-

mu. Podczas kiedy nienawiści ku Napoleonowi i upokorzona miłość własna, oprowadzały autorkę francuzką po wszystkich dworach nienawistnych Francyi i powiększały w jej oczach zaletę obcych ludów, z poniżeniem własnego; inne wyższe pobudki działały na umysł niemieckiego poety. Wykarmiony od młodu literaturą francuzką uległ silnie wpływowi encyklopedystów XVIII wieku, podzielał humaitarne ich idee. Pragnął on na wzór J. J. Rousseau i Monteskiusza utworzyć pomiędzy ludami, bez względu na ich jeograficzne granice, ścisłą solidarność intelektualną i moralną. „Mógłżebym ja nienawidzić Francuzów—mówił w późnej starości do Erkmana—ja, który pojmuję znaczenie barbarzyństwa i cywilizacyi? Miałżebym gardzić jednym z najucywilizowańszych narodów na ziemi, ja, który mu zawdzięczam w wielkiej części rozwinięcie umysłu mego? W miarę jak się wzbija duch człowieka nad poziom, musi natrafić w końcu na te sfery, kędy milkną niechęci wzajemne, kędy człowiek widzi w człowieku brata. Wysoka ta sfera odpowiada memu usposobieniu.“

I cóż dziwnego że przy takich usposobieniach Goethe sympatyzował z dziełem encyklopedystów, rewolucją francuzką 89 roku, mimo że potępiał jej zbrocenia i gwałty!

Genialny poeta, czciciel prawdziwej wielkości, gdziekolwiek ją spotykał, nie mógł oprzeć się także wpływowi wielkiego bohatera. Napoleon był w jego oczach nieporównanym geniuszem, istnym podziwem świata, chlubą czasów jakie go wydały. Pociąg to był wzajemny. Napoleon ze swęj strony wysoko cenił niemieckiego poetę. Spotkanie w Erfurcie 1808 roku wzmocniło jeszcze węzły jednoczące ich ducha. Goethe do końca życia zostawał pod urokiem tęg chwili. Powtarzał on z wdzięcznością, że cesarz zatrzymał go całą godzinę w gabinecie swoim, w czasach kiedy panujący książęta niemieccy błagali o minutę audyencyi! Najdrobniejsze szczegóły tego spotkania odrysowały się w pamięci Goethego. Napoleon unosił się nad Werterem, mówił że siedm razy czytał ów sławny romans, że go wziął z sobą do Egiptu, zapraszał poetę uprzejmie do Tuilleries, przypiął mu na piersi krzyż Legii honorowej, skłaniał do przedstawienia w teatrze śmierci Juliusza Cezara. Wszystko to ujęło za serce poetę. Widział on w Napoleonie wielkiego założyciela konfederacyi europejskiej, zapewniającej światu wieczny pokój. Myśl tęg wyraził w wierszu do Maryi Ludwiki, który napisał podczas pobytu cesarzowej w Karlsbadzie w r. 1812.

Pamiętny odwrót wojsk francuzkich nie zniszczył bynajmniej tęg uludy. Ufny w gwiazdę Napoleońską, Goethe widząc ją nawet przyćmioną na chwilę, nie przypuszczał nigdy aby mogła zagasnąć. Niechętném tęg okiem patrzył na przygotowania Prusaków do wojny; nie dzielił zapalu młodzi niemieckiej, mimo nalegań nie napisał ani jednej strofki, w celu rozbudzenia patryotycznych uczuć. Przepowiadał klęskę niechybna. Spotkawszy w Dreźnie dwóch promotorów ruchu niemieckiego: Arndta i Steina, nie ukrywał im swęj obawy. Kiedy młody Körner zaciągnął się do ochotników pruskich, wymawiał ojcu że nie powstrzy-

mał syna: „Napoleon za wielkim dla nas—mówił Goethe—nie skruszycie łańcucha, ale uczynicie go tém dotkliwszym.“ Syna własnego zatrzymał gwałtem w domu. Stein był w jego oczach geniuszem szatańskim, co popycha kraj w odmęt.

Uczucia te głoszone bez ogródki, oburzyły Niemców. Obwiniano Goethego o przeniecierstwo idei narodowej; wyrzucano mu z goryczą że w chwilach kiedy rozstrzygały się losy narodu, on badał spokojnie literaturę chińską i obyczaje wschodnich ludów. Nie tańł poeta w gronie bliższych osób, że pragnąłby opuścić kraj, gdyby okoliczności pozwalały na to. Zazdrościł malarzowi Mejerowi, że odjeżdża do rodzinnej Szwajcaryi: „Kto może—pisał—niech ucieka, trzeba tu doprawdy oszaleć.“ Takie słowa przebiegając z ust do ust, budziły niesłychany gniew w całych Niemczech.

Serce Goethego zadrgnęło jednak w obec wielkich wypadków, z których Niemcy wypłynęły zwycięzko. Po skończonej wojnie napisał poemat p. t. *Zbudzenie Epimenida*. Poeta wyraża w nim osobiste uczucia, jest to jakoby spowiedź własnej duszy. „Okuty byłem w łańcuchy—mówi on—i nie czułem ich nawet; bezwładność stała się miła dla mnie. Ostatni promyk nadziei zagasił przed okiem mojem. Upodobałem sobie w tém poniżeniu!“

Daléj poeta przeprosza ziomków za odstępstwo. „Wstyd rumieni mi czoło, na myśl o czasach spoczynku mego: cierpieć z wami byłoby dla mnie szczęściem. Wasza boleść podniosła was wyżej nademnie!“

Postać Napoleona przyświecała jednak Goetemu do końca życia, otoczona niezgasłą aureolą chwały. W rozmowach z Erckmannem, wyrażał on w późnym już wieku, uwielbienie swoje dla bohatera. Dnia jednego, kiedy Erckmann widział Wellingtona w jednym z hotelów wejmarskich, rozmowa wszczęła się o Napoleonie pomiędzy poetami.

— Żałuj żeś go nie poznał—rzekł Goete—warto było widzieć ten świat streszczony w jednej osobistości!

— Musiał wspaniale się przedstawiać?—zagađnął Erckmann.

— Był to on!—odparł poeta—patrzano na niego, bo to był on... dość na tém!

— Napoleon—mówił Goete—był to człowiek w całym znaczeniu słowa: zawsze promienisty, zawsze jasny, zawsze pewien siebie, gotów z całą energią spełnić to, co było dobrém i pożyteczném w jego oczach. Istny bóg wojny, stąpał szerokim krokiem od bitwy do bitwy, od tryumfu do nowego tryumfu. Iskra geniuszu jego nie ścimiła się na chwilę: świat nie widział takiego blasku i nigdy go może nie zobaczy... Mówiono słusznie że Napoleon wykuty był z granitu: wielka to prawda! czegoż on nie dokonał. Od spalonych piasków pustyń syryjskich, po śnieżne płaszczyzny Moskwy w ilużto widzimy go obozowiskach? Ileżto znośił trudów, ile niewygód! w chłodzie i głodzie, bez snu i bez posiłku, wiecznie działał i działał! Kiedy położymy na szali te trudy, możnaby sądzić że w czterdziestym roku życia zużyty był do szcztetu!..

przeciwnie! w czterdziestym roku szedł naprzód, jak przystało prawdziwemu bohaterowi!“

Tęż samą cześć jaką zachował Goete dla geniuszu Napoleona, zachował ją również dla geniuszu narodu francuzkiego. Oceniał on wysoko prace Francuzów na polu nauk ścisłych: nie go tak żywo nie zajmowało, jak badania członków Instytutu, w wydziale ściśle naukowym; wiadomo zaś, że wielki poeta równie był wielkim badaczem przyrody. Specyalność jego w tym przedmiocie, uczyniła go jednym z najznakomitszych prawodawców nauki. Ampiere opowiada, że kiedy w kilka miesięcy po rewolucyi lipcowej 1830 roku, odwiedził w Wejnarze starca stojącego nad grobem, ten zapytał go żywo:—Co słychać we Francyi?

Ampiere ją opowiadać polityczne zdarzenia.

— Ależ mnie to nie obchodzi—zawoła Goete—ja pytam o rezultata ostatnich badań przyrodników francuzkich?

Jakże wymowne świadectwo mistrza tak wytrawnego, przeciw zrozumiałym opiniom dzisiejszych professorów niemieckich, za którymi i u nas powtarzają ich wychowawcy, że Francya błyszcząca tylko lekką literaturą!

Pan Mezières w obszerném dwutomowém studyum, ocenia jednocześnie Goetego jako człowieka i pisarza, odkrywa jego strony tak dodatnie jak i ujemne; wykazuje owo niesłychane samolubstwo, to najwyższe ubóstwienie siebie, które było dla poety bodźcem do artystycznego postępu, a które mimo całej potęgi twórczej, powiewa chłodem z najgenialniejszych jego utworów.

Goete poświęcał wszystkich dla siebie: w miłości i przyjaźni szukał tylko chwilowych wrażeń, wydobywał niemi jakby krzesiwem skry z własnego ducha. Nie pozwalał nigdy uczuciu zapanować nad sobą, lecz sam panował nad niem: deptał po ludzkich sercach, jak zapaśnik, który po stosach trupów, kroczy do tryumfu i chwały. Nieprześlągany dla drugich, niemniej twardym był i dla siebie; gotów zawsze poświęcić własne upodobania i skłonności, by podnieść ducha swego. Dzieckiem jeszcze, żądał od towarzyszków, by różgami chłotali go po nogach, i bez syknięcia znosił bolesne razy. Później wdierał się na wierzchołek wieży strassburskiej, i przechadzał po gzymsach, aby pokonać w sobie wstręt i spokojnem okiem patrzeć w niezmierną próżnię pod stopami. Nocą zwiędzał cmentarz, przesiadywał wśród grobów. Przyglądał się pilnie chirurgicznym operacyom po szpitalach, śledził okiem konwulsyjne drgania konających, słowem co chwila zadawał gwałt własnej naturze, by opanować ducha.

Przebiega Mezières bogate pasmo genialnych utworów, któremi Goete otworzył nowy widnokrąg poezyi i rozwikłał dramat z klassycznych pęt, ciężących mu zbyt długo. W każdym utworze widzi on jakoby ustęp z autobiografii poety, wykazuje rodowód każdego z tych arcydzieł, wydobywa na jaw pobudki twórczych natchnień. Ztąd w ślad za krytykiem, widzimy jak Fryderyka Bron, uroczą córkę pastora z Sesenheim, przybiera cudną postać Maryi w dramacie *Goete z Berlichingen*;

jak Karolina Ruff z Wetzlar, pozytywna, praktyczna, gospodarna, staje się sławną kochanką Wetera; jak piękna Lili Schrenemann, promieniując w postaci Stelli, jak pani Stein przedmiot platonicznych uczuć, które miały przetrwać lat dziesięć, wśród blasków dworu wejmarskiego, przeistacza się w zimno-klassyczną Ifigenią, jak pospołu z piękną Milezyanką, tworzy typ Eleonory d'Este; jak Mina Hertzlieb przybiera powiewny kształt Otylii: *W powinowactwach duchowych*; jak nareszcie na postać uroczej Gretchen, składają się wszystkie żywe ideały, które poruszały struny lutni wieszczów w pasmie półwiekowem, zaczawszy od kwaciarki Margarety, do której wzdychał piętnastoletni student, do panny Lewesow co wydobyła ostatnie drgnięcie z serca ośmdziesięcioletniego blisko poety.

W długim pasmie życia Goetego, był jednakże czas, kiedy samotne to serce uderzyło głębokim uczuciem. Biograf nie przepominał tego ustępu, który przynosi poecie prawdziwy zaszczyt: mówimy tu o ścisłej przyjaźni z Szyllerem, jedynym współzawodnikiem jakiego miał podówczas, nie tylko w Niemczech, ale śmiało powiedzieć można w świecie całym.

Goete w pięćdziesięciu latach życia, otoczony pełnym blaskiem chwały, obsypyany dostatkami na dworze wejmarskim, uczuł jednak w duszy niesłychaną posuchę. Geniusz jego zwinął chwilowo skrzydła. Zagrzebany w badaniu przyrody, zerwał prawie zupełnie z poezją. Aby wydobyć żywy źródło ze skamieniałej piersi, potrzeba było cudownej różeczki czarodzieja: tym czarodziejem był dla Goetego Szyller.

Cała przepaść rozdzielała dwóch wielkich poetów; myśli ich krążyły w całkiem odrębnych kołach. Pierwsze dramata Szyllera sprzeciwiały się zupełnie pojęciom zachowawczym Goetego. Autor *Ifigenii* surowo sądził *Rozbójników*, *Fieska*, *Intrygę i miłość*. Widział w tych utworach walkę wypowiedzianą sztuce i cywilizacji. Za powrotem z Włoch, gorszył się niewymownie, słysząc z jakim zapałem *dzika* młodzież uniwersytetu, podnosi te utwory; z jaką lekkomyślnością wyższe społeczeństwo a nawet światowe panie, przywytwarzają chórem tym pochwałom. Autor Wetera wytrzeźwiony z młodzieńczych uniesień, przepominał, że on sam rzucił niegdyś rękawicę światu, zwalając nań winy jednostek. W nowem usposobieniu ducha, nie mógł z zimną krwią słuchać kłątwy, jaką Karol Moor miota na wyższe warstwy społeczne. Wstrętną mu była myśl, że poeta przyznaje najszlachetniejsze uczucia, najwznioślejsze cnoty, ludziom zbuntowanym przeciw istniejącemu porządkowi, a tarza w błocie przedstawicieli prawa.

Patrząc z tego stanowiska, Goete uważał *Intrygę i Miłość*, jako najszkodliwszy utwór, jako hasło wojny domowej. W tej systematycznej apoteozie ludu z poniżeniem szlachty, widział rewolucyjną dążność. Wszystko raz było go w pierwszych utworach Szyllera, tak szorstka forma, jak i zuchwałe pomysły. Koloryt był w oczach jego zbyt jaskrawy, obrazy potworne. Jakże ten styl rozhuwany różnił się od potocznego stylu, do jakiego przyszedł ochłonięty z szarów młodzieńczych autor *Ifi-*

genii i Tassa. Z jakąż boleścią patrzył on na tę powódź paradoksów, grożącą zalewem pięknej literaturze! W co się obróci posiane przezeń i hodowane tak pilnie ziarno idealnego piękna, w obec popularności szalonych dramatów Szyllerowskich?

Don Carlos, lubo pisany pod wpływem umiarkowańszych idei, nie zadowalał bynajmniej Goetego. Teorye miłości i braterstwa ludów, które Szyller wygłasza przez usta szlachetnego Pozy, były w jego oczach niebezpieczne a nawet zgubne. Nie pojmował on poświęcenia w oderwaném znaczeniu; rozumiał że człowiek może poświęcić się dla krewnych i przyjaciół, ale ofiara dla ludzkości, dla przyszłych pokoleń, słowem dla idei, wydawała się w oczach jego mrzonką przeciwną wszelkim prawom rozumu.

Mimo więc nalegania wspólnych przyjaciół, Goete unikał poznania się z Szyllerem. Ten ze swęj strony, jak świadczą listy jego do Körnera, wielbił Goetego; lecz go nie lubił i nie pragnął go poznać. Widział go jedyny raz w roku 1779, kiedy Goete z księciem wejmarskim, obecny był w Sztutgardzie, podczas rozdawania nagród w Akademii wojskowej. Młody Szyller obsypany wieńcami, zawistném patrzył okiem na szczęśliwego poetę, którego imię brzmiało wtedy we wszystkich ustach. W kilka lat potem, Szyller przybył na krótko do Wejmaru, Goete bawił wówczas we Włoszech. Spotkali się nakoniec w Rudolstadt, za pośrednictwem pani Stein, lecz to spotkanie wcale ich nie zbliżyło.

„Wątpię abyśmy mogli porozumić się kiedykolwiek — pisał Szyller do Körnera. To co mnie żywo zajmuje, dla niego przeżyło swój czas. Wyprzedził mnie o tyle, że nie potrafię go doścignąć. Życie jego od początku w innych toczy się warunkach niż moje, jego świat nie jest moim światem; odmiennie patrzymy na rzeczy. Z chwilowego spotkania, trudno mi coś wnosić: czas to najlepiej pokaże.“

Goete ze swęj strony pragnął otoczyć księstwo wejmarskie najwyższym blaskiem: żąda więc od księcia, aby katedrę historyi w Jena powierzył Szyllerowi. Mimo to jednak Szyller trzyma się na baczności. „Stosunki częste z Goetem, pisał do przyjaciela, uczyniłyby mnie prawdziwie nieszczęśliwym. Serce jego zamknięte dla wszystkich; niczem go nie zniewolisz. To największy w świecie samolub! Ma dar pociągania ludzi, jednac ich sobie drobnemi grzecznościami, lecz sam umie pozostać wolnym. W postępowaniu jego widzę jakiś plan wyrachowany, chęć zadowolenia miłości własnej. Nie cierpię go téż, lubo całém sercem kocham tę wzniosłą inteligencyą. Obudził we mnie miłość i nienawiść zarazem: uczucie podobne do tego, jakie miał Brutus dla Cezara!“

Wkrótce jednakże pękły lody. Dwaj wielcy poeci spotkali się na posiedzeniu naukowém w Jena. Wyszli razem. Pociągnięci zajmującą rozmową, stanęli u drzwi domu Szyllera. Goete przestąpił progi. „W tym dniu — zapisał on w notatach — stanęło przymierze, które miało przetrwać do końca dni, przymierze równie pomyslnie dla nas jak i dla drugich.

Dla mnie przynajmniej była to nowa jakoby wiosna; wszystko we mnie zakielkowało, bujnym rozkwitło życiem!“

Odtąd zawiązał się stosunek przyjacielski między nimi, i wzajemne oddziaływanie na siebie dwóch potężnych geniuszów wieku. Pomału Goete odciągnął Szyllera od zbyt drobiazgowego zagłębiania się w historię, a zwłaszcza w metafizykę; zwrócił go na drogę poezyi, zaniedbaną nieco od lat kilku. Szyller znów oderwał Goetego od nauk ścisłych, i od badań nad przyrodą, pochłaniających go zbytecznie; rozbudził wyobraźnię poety przygasałą w życiu samotnym, ożywił jego umysł potężnym czarem swęj młodości. Obaj uczyli zbawienny wpływ, i wyrazili to w pierwszych listach. „Poruszyłeś we mnie tłum nowych myśli, pisze Szyller.“ I dla mnie także, odpowiada Goete, dni spędzone z tobą, rozpoczynają epokę.“ Każdy z nich potrzebował nowego bodźca, do rozwinięcia twórczego polotu w dziedzinie sztuki. Wzajemna podnieca, chęć usprawiedliwienia przyjacielskich nadziei, zbudziły w nich szlachetne współzawodnictwo, tak pożyteczne dla literatury niemieckiej.

Pod tymto wpływem Goete wykończył Wilhelma Majstra, powieść oddawna rozpoczętą. Posłał natychmiast pierwszy tom do Jeny. Szyller odczytał go z uniesieniem, podziwiał ów dar potęgowania rzeczywistości, właściwy geniuszowi Goetego. „Odczytałem, mówi on, a raczej pochłonąłem księgę pierwszą i czułem niewymowne szczęście. Uczucie jakiego doświadczam, można porównać tylko do radości jakiej doznajemy, czując się w zupełnym stanie zdrowia na ciele i na duszy. Jakież dobroczynny wpływ sprawia ta jasność, ta osłoda, ten spokój rozlany na każdej karcie twego dzieła.“ Zachwycił szczególnie Szyllera ustępy, w których Goete odżywia wspomnienie lat dziecięcych i młodości, w których maluje dom rodzicielski w Frankfurcie, i surową postać ojca, i łagodne oblicze matki, i niewinne uciechy, i pierwsze jasełka jakie widział. Tu poeta zespolił się z Wilhelmem, przez jego usta wypowiada wszystko co czuł, co uderzało jego młodzieńczą wyobraźnię.

Silniej jeszcze odbił się wpływ Szyllera, w własnej epopei z życia ludu, w *Hermame i Dorocie!* Goete utworzył cały poemat w Jena, przy boku przyjaciela, ogrzany ciepłą atmosferą jego domu. Arcydzieło to, w którym krytyczny sąd wytrawnego artysty łączy się tak szczęśliwie z młodzieńczym polotem myśli twórczej, w którym poeta podjął najżywotniejsze zagadnienia swego czasu, i uczynił idealną postać Dorotei żywem uosobieniem Niemiec, arcydzieło to potężnie oddziało na Szyllera. Dzięki doznanemu wrażeniu, wielki dramaturg powziął myśl tragedyi z życia Wallenstajna, bohatera wojny trzydziestoletniej. Goete tymczasem zasiliał zbiorowe pismo *Godziny*, wydawane pod kierunkiem przyjaciela, długim szeregiem Ballad: sławny *król Olek* należy do ich liczby! Te maleńkie poemaciki cudne prostotą swoją nieporównaną harmonią rytmu, wybiegały z pod pióra poety, jak kwiaty na łące pod wpływem słońca i rosy majowej

W tych właśnie czasach Goete zajmował się urządzeniem teatru wejmarskiego. Teatr ten miał być wzorem dla całych Niemiec. Widząc

że Szyller pracuje nad Wallensteinem, że gubi się w zbyt wielkim nawale wypadków historycznych, Goete przychodzi mu w pomoc; skłania go do rozdzielenia utworu, układa z nim plan trylogii. Nagli przyjaciele do pracy, zachęca go, budzi w nim energią, pragnie koniecznie rozpocząć szereg przedstawień, *Obozem Wallensteiną*. Wydiera gwałtem rękopism autorowi, uspokaja go co do małych niedokładności, radzi wstawić poprawki na potem, gdy poemat pójdzie do druku. Jakoż w końcu 1798 r. *Obóz Wallensteiną* odegrano w Wejmarze, niby preludium do wielkiej trylogii.

Goete pospiesza znów do Jena, z równą natarczywością woła o Piccolominich. Publiczność zaciekawiona prologiem, domaga się ciągu dalszego. Szyller ma już rękopism, ale wydać go nie chce; poprawia go jeszcze, przerabia. Zniecierpliwiony Goete wysłał gońca z listem: „Oddawca tej kartki—pisze on—reprezentuje oddział huzarów, który odebrał rozkaz, ując dwóch Piccolominich, ojca i syna, choćby rozszarpanych na kęsy, jeżeli się dobrowolnie nie poddadzą“.

W styczniu *Dwaj Piccolomini* występują na scenie, ale nie dosyć na tęg. Dzieło nie dokończzone, koroną jego ma być *Śmierć Wallensteiną*. Goete nalega znów, nie daje odetchnąć Szyllerowi, aż nakoniec w miesiącu kwietniu, *potwór wallensteinowski* jak go zwali dwaj przyjaciele, ukazuje się cały na deskach teatru wejmarskiego.

Przedstawienie to stanowi epokę w rozwoju sceny niemieckiej. Te obrazy żywcem wzięte z historii narodu, to mistrzowskie wyświetlenie buntów obozowych i tajemnic żołnierskiego życia, wprzód nim wodzowie przystępują do rady; ta poezya tryskająca żywym strumieniem z dziejów, ożywiona fikcyjną postacią Tekli: wszystko to oczarowało wyobraźnię i porwało serca widzów. „Wallenstein Szyllera wielki jest, mówił Goete do Erkmanna—świat nie prędko ujrzy podobne arcydzieło“.

Utwór takiej doniosłości, odpowiadał widokom Goetego. Chciał on uczynić teatr wejmarski, szkołą dramatyczną dla całych Niemiec. Z pomocą Szyllera umyślił zebrać najlepsze utwory dawnych pisarzy niemieckich, i przerobić je stosownie do potrzeb nowej sceny. Wyrobienie smaku estetycznego w narodzie, było głównym celem dla nich obu. Z korespondencyi dwóch poetów, widać jasno, że powzięli myśl utworzenia eklektycznego repertoryum, łączącego w sobie wszystkie rodzaje sztuki, gdzie Szekspir miał się spotykać z Wolterem, Racinem i Kaldernem, gdzie Cyd i Mityrydat, miał znaleźć miejsce obok Romea i Julietty. W tym to celu Goete wziął się do przekładu Mahometa i Tankreda z Woltera, Szyller tłumaczył Fedrę.

Teatr wejmarski rozwijał się, i coraz żywszym blaskiem świecił na całe Niemcy. Zwiększyły ten blask oryginalne utwory dwóch wielkich poetów: Goete ułożył dramat: *Córka uboczna* z przygód księżniczki Bourbon-Conti; Szyller utworzył *Narzeczoną z Messyny* a następnie *Wilhelma Tella*. W układzie tego ostatniego dramatu, uważanego słusznie za najdroższy klejnot w koronie Szyllera, Goete pomagał czynnie przyjacielowi. Onto nasunął mu przedmiot, kiedy przed kilko-

ma lata podróżował po Szwajcaryi, umyślił z legendy o Wilhelmie Tellu ułożyć epopeę i wsnuć w jej wątek osobiste wrażenia. Materiały zebrane w tym celu oddał Szyllerowi, a co więcéj, w długich pogadankach kreślił przed nim czary krajobrazów alpejskich. Szyller nie był nigdy w Szwajcaryi, widział ją tylko przez oczy przyjaciela. Widział ją doskonale: świadczy o tém lokalny koloryt dramatu. Zobaczmy jak Goete wyjaśniał przed Erkmannem udział własny w utworzeniu Wilhelma Tella.

„Zwiedziłem po raz drugi w roku 1797 jezioro czterech kantonów. Ta zachwycająca, przepyszna przyroda, sprawiła na mnie tak głębokie wrażenie, że pragnąłem odmalować w poemacie bogactwo tego cudnego krajobrazu. Aby ożywić mój utwór, sądziłem, że na téj pięknej ziemi wypada ukazać postacie ludzkie odpowiedniej wielkości. Legenda o Tellu uderzyła myśl moją. Porwany przedmiotem, układałem już w głowie hexametry. Wpatrywałem się w jezioro przy świetle księżycy, kiedy srebrna mgła spowijała gór szczyty, wpatrywałem się porankiem przy złotym blasku wschodzącego słońca. W lasach, na łąkach wszystko żyło, wszystko oddychało szczęściem. Widziałem nieraz podczas burzy, jak wichur napędzał tumany chmur parowem i pchał je na jezioro. Opowiadałem moje plany Szyllerowi, a że miałem na myśli inną pracę, oddałem mu wszystkie materiały. On ułożył z nich najcudniejszy poemat.”

Nigdy jeszcze Szyller nie wzbił się tak wysoko: wpływ Goetego nadał nowy kierunek jego twórczemu geniuszowi. Dotąd zwykł on być sprowadzać na ziemię ideał i przybierać go w szatę rzeczywistości, jak to widzimy w Don Karlosie. Tworzył postacie *a priori* i siłą wyobraźni przyoblekał je w ciało: w *Wallensteinie* i w *Wilhelmie Tellu* zidealizował rzeczywistość, biorąc za punkt wyjścia dane historyczne lub legendę.

Najściślejszy węzeł jednoczył uczucia tych dwóch olbrzymów poezyi. Stała ta przyjaźń czyni prawdziwy zaszczyt Goetemu i uwalnia pamięć jego z zarzutu bezwarunkowego samolubstwa. Próżno zawiść ludzka usiłowała stargać ten węzeł; próżno wielbiciele Szyllera głosili jego popularność i składali mu hołdy, uznając w nim jawnie pierwszego poetę wieku swego; Goete patrzył na te objawy spokojnym okiem i nigdy najdrobniejsza chmurka nie sięgnęła w te wyżyny, na których spotkały się serca i myśli dwóch przyjaciół. Kiedy w roku 1802, Kotzebue przygotował w Wejmarze uroczystość dramatyczną na cześć Szyllera z widocznym zamiarem upokorzenia Goetego, ten nie okazał najmniejszój niechęci. Szyller przeciwnie, czuł się zakłopotany ową niewczesną owacyą. Spokojnie téż znosił Goethe, kiedy mu zarzucano niechęć dla ludu i obojętność na sprawę powszechną, a wystawiano patryotyzm i demokratyczne idee Szyllera. Autor *Hermana i Dorotei*, czuł o ile niesłuszne były te pociski i milczał w przekonaniu, że czas wyświecił prawdę.

Szyller zamieszkał w Wejmarze: zbliżenie to wzmocniło jeszcze przyjaźń wielkich poetów. Myśl ich pod wpływem wzajemnego oddziaływania, dostrajała się do coraz pełniejszej harmonii. Przybycie pani Stael do Wejmaru w końcu roku 1803, jednako zamąciło ich spokój. Szyller zanadto sprzyjał rewolucyi francuzkiej; Goete zanadto czeił geniusz Napoleona, aby mogli chętném okiem patrzeć na genialną kobietę nienawistną zarówno ideom rewolucyjnym, jak cesarstwu.

Wspominając przed dwoma laty pracę profesora Caro (Nos-Revers), mówiliśmy już, jakiego przyjęcia doznała sławna apologetka Niemiec od pierwszych reprezentantów germańskiego geniuszu. Dziś dodamy tylko zapisane w notatach słowa Goetego, które przytacza pan Meziers. „Filozofowanie w towarzystwie—mówi on—nie zdola nigdy rozwiązać zawitych problemów. Pani de Stael miała szczególne upodobanie w podobnych rozprawach, po szezeblach rozmowy dochodziła ona zwykle do tych najwyższych zagadnień uczucia i rozumu, które powinny zostać tajemnicą pomiędzy człowiekiem a Bogiem. Do tego jeszcze, jako francuzka i kobieta, zajęta własném powodzeniem, puszczała mimo ucha słowa drugich. Ztąd obudziła we mnie złośliwą chęć sprzeciwieństwa: uporczywą moją opozycją, doprowadzałem ją nieraz do rozpaczny.”

Jakże się różnią te zimne i szydercze słowa, od gorących uniesień pani Stael, „Goete—mówi ona—łączy w sobie wszystkie główne rysy geniuszu niemieckiego, wielką głębokość myśli, wdzięk wyobraźni, nacechowany twórczą samodzielnością, nakoniec, tkliwość niekiedy fantastyczną, ale przez to samo tём ponętniejszą dla czytelników zamilowanych w prawdziwej poezyi.”

Meziers zarówno, jak Caro i tylu innych, wymawia sławnęj autorce Korynny, zaślepienie, w jakie wtrąciła ją nienawiść ku Napoleonowi. „Pani de Stael—mówi on—tak umiłowiała Niemców, że stanęła w ich obronie, przeciw dumnym roszczeniom rządu francuzkiego. Nie dosyć, że nam skreśliła najpochlebniejszy obraz ich charakteru, że podniosła u zareńskich sąsiadów naszych miłość domowego ogniska, enoty rodzinne, zamilowanie w życiu poważném i pracowitém, solidarność w uczuciach religijnych; nie dosyć, że nam ukazała obraz idealnych Niemiec, któremu niestety wierzyliśmy zbyt długo: ale co więcej, posunęła wspaniałomyślność swoją tak daleko, że w roku 1813, życzyła Niemcom tryumfu w walkach z Napoleonem! Z jakążto miłością autorka mówi w przedmowie do wydanego wówczas dzieła: „Obraz literatury i filozofii, dziwnym się wyda w chwili obecnej, a jednak słodko będzie zapewne tym *biednym i szlachentym Niemcom*, gdy przypomną sobie intelektualne swe bogactwa, wśród najśroźszych klęsk wojennych.”

„I któryżto niemiec—dodaje Mezières—przemawiał do nas podobnie w roku 1870. Któryżto z pomiędzy zwycięzców naszych przypomniął nam dawną chwałę, aby pocieszyć nas w niedoli. Kto się poważył wystąpić w imię wiekowej nietykalności praw naszych, wbrew

zachciankom niesłychanego zaboru. Jest cnota, której tryumf wojenny dać nie może, która nie uchroni zapewne od klęsk i nieszczęść, ale bez której nie ma prawdziwej wielkości: jest nią wspaniałomyślność. Geniusz francuzki, dając przykład tej cnoty, więcej zaszczyca Francją, niż wygrana bitwa, lub zdobyty kęs kraju!"

W rok po odwiedzinach pani de Stael, Szyller śmiertelną dotknięty chorobą dogorywał w Wejmarze. Goete ciężko chory nie opuszczał pokoju. Pisywali obaj do siebie krótkie, pełne uczucia listy. Z wiosną Szyller powstał na chwilę z łoża, pospieszył do Goetego.

Uścisnęli się w milczeniu: słowa zamarły im na ustach.

W ciągu kwietnia widzieli się jeszcze kilkakrotnie; w pierwszych dniach maja, Szyller ciężiej zaniemógł, w kilka dni potem skonał. Goete, przyciśnięty chorobą, nie mógł przestąpić za próg domu. Uwiadomiony o stanie Szyllera, trawił dni w najsroźszej boleści; nocą słyszano nieraz jego łkanie! Śmierć przyjaciela uderzyła go, jak grom. „Straciłem w nim—mówił—połowę duszy mojej.” Przyjaźń ta przetrwała lat dziesięć, nieprzyciniona najłżejszą skazą. Goete do końca życia wyrażał się z miłością o zmarłym: „On—mówił—rozbudzał mnie, podnosił ducha, wydobywał z niego nowe siły!"

W trzy miesiące po skonie Szyllera, Goete, ochłonawszy z pierwszego żalu, oddał poetyczny hołd jego pamięci. Przedstawił w Lachstaedt sławny *Dzwon*. Grupy robotników, dzieci, starców, powtarzały kolejno zwrotki sławnego poematu. Dzwon brzmiał uwieniczony kwiatami, muza nakoniec powtórzyła wiersze utworu Goetego, na cześć zgasłego przyjaciela.

Ośmielamy się przytoczyć ten wiersz w słabym przekładzie.

Słyszę, dzwon głucho zajęknął w przestrzeni,
 Coraz to wzbiera w żałośniejszy ton;
 Żaliż to prawda? pytamy strwożeni,
 Bratuz naszemu ten uderza dzwon?
 Godnego życia chwytaż śmierć w swe szpony?
 Ludzie do takich nie nawykli strat!
 Naszeto burza pcha w odmęt szalony?
 Namże nie płakać skoro płacze świat?

Ach! on był naszym! w towarzyszy kole,
 Co dnia przebywał ten dostojny mąż
 Z jasném obliczem, z powagą na czole,
 Do wspólnych rozmów, rad skłaniał się wciąż;
 Bratnią, on duszę wnet przeniknął do dna,
 Współczuciem odgadł dręczący ją głód,
 Z téj krzepkiej piersi rada z czynem zgodna,
 Jak zdrój przeczystych toczyła się wód.

Tak! *on był naszym!* Gdy ból serca rani,
 Dumne te słowo niech ukrzepia nas,
 On byłby w naszej bezpiecznej przystani
 Po wścieklej burzy znalazł trwały wczas;
 Lecz duch ten dzielny kroczył naprzód śmiało
 W dobra i w piękna, w prawdy jasny szlak!
 W mglistym pomroku poza nim leżało
 To, co do życia nas przykuwa tak!

On na wyżynach usił ciche gniazdo,
 Wzrok i słuch wlepił w nocy ciemne tło;
 Badał, co gwiazda pogwarza tam z gwiazdą,
 Z łona ich światło wprost ku niemu szło.
 Tam z krynic zdroje tryskały mu świeże,
 Tam badał czasy wieszczyczych natchnień syt;
 W nocy pomroku, co siły nam bierze,
 On darł się duchem na sam góry szczyt!

Przed jego wzrokiem, jak fala po fali,
 Bieży prąd dziejów, to się cofa wstecz;
 Chwała tryumfu wzrok zwycięzców pali:
 W rękę ich szczeka z krwi nieoschły miecz.
 On ściga myślą w otchłaniach bez końca
 Jasny i krwawy kroków ludzkich tór,
 Wtém zaszedł księżyc i ranny świt słońca
 Zbudzonej ziemi błysnął z poza chmur.

Coraz to jaśniej świeci postać męża,
 Czarem młodości tryskającym z lic,
 Tą krzepką wolą, która świat zwycięża,
 Nie liczy ofiar, ma trudy za nie!
 Wiarą, co w górę wzbija polot śmiały,
 To rwie się naprzód, to ukrywa w cień;
 By jój posiewy tém pewniej dojrzały,
 I rychléj zacnym wszedł tryumfu dzień!

Pelen nauki, nie gardził on wcale
 Tém rusztowaniem z deszczek zbitych współ,
 Tu losy ludów rozwijał wspaniale,
 Tu wątek dziejów biegłą ręką snuł.
 Zabłysła cudnie ona tkanka złota,
 Czoło przed mistrzem zgiął pokornie świat;
 Ach! na te szczytne obrazy żywota,
 Własnego życia on potargał kwiat!

Wiecie, jak stąpał olbrzymiemi kroki,
 Jak w czyn przemieniał pasmo chęci swych;
 Jak myśl zapuszczał w prad wieków głęboki,
 Jak promień światła wydobywał z nich;
 Jak gaś i wędniał w milém druhów kole,
 Gdy w młodej piersi zbrakło tchu i sił:
 My z nim przedśmiertne cierpielismy bóle,
 My z nim konali, bo on *naszym był!*

Kiedy myśl jego na chwilę nam jeszcze
 Błysła zwolniona z gorączkowych burz,
 My odganiaли to widmo złowieszcze,
 Co skrzydła nad nim rozpostarło już!
 Grono go wiernych otaczało bratnie,
 By ciężki grobu zakryć przed nim głąz;
 W wieczór nim słońce zgasło mu ostatnie,
 Słodkim uśmiechem jeszcze darzył nas!

W poranku wyrok czytał już tajemny,
 Z bólem, ze śmiercią oswojon był on!
 Skończone wszystko! grób schłonał go ciemny,
 O cośmy drżeli wygłosił nam dzwon!
 Dziś z promienistych błękitu przestrzeni
 O! niechże spojrzy na ten nędzny świat,
 Ujrzy swą postać w odblasku promieni:
 Śmierć na nią starła ziemskich pyłów ślad.

Dziś duch nie jeden, co w walce zaciętój
 Pyszny zapaśnik śmiał urągać mu,
 Niech jego siłą cały wskrós przejęty,
 Podąży za nim, ile starczy tchu.
 On nam przyświeca na chwały zenicie,
 Kędy się zdołał siłą twórczą wznieść;
 Połowę długu spłaciło mu życie:
 Przyszłość mu winna nieśmiertelną cześć!

Działania akademii francuzkiéj zanadto nas żywo zajmują, abys-
 my mieli w kronice naszej przemilczéć o chybionéj uroczystości, z tytu-
 łu przyjęcia Emila Olivier'a. Niektórzy z czytelników zapytają może
 dlaczego ta wiadomość, którą podały już wszystkie pisma codzienne
 i tygodniowe, nie znalazła miejsca w kwietniowém naszym sprawozdaniu?
 Przyczyna bardzo prosta. Wyprawiliśmy kronikę do Warszawy, na
 kilka dni przed zapowiedzianą uroczystością. Aby uprzedzić wszelkie
 zarzuty jakieby nas spotkać mogły, czujemy się w obowiązku powiedzieć

raz na zawsze, iż kronika pod względem pośpiechu w udzielaniu bieżących wiadomości, niema najmniejszej pretensyi współubiegać się z przeglądami tygodniowemi, témbardziej z codziennymi pismami, które ją koniecznie ubiedz muszą. Oddalenie od wielkiego ogniska nie jest bynajmniej powodem tej zwłoki, bo komuż nie wiadomo że drogi żelazne opanowały przestrzeń. Zresztą przebywamy obecnie w Paryżu: a przecie nie mogliśmy dotąd mówić o tak ważnym wypadku w dziejach akademii, jak walka nieśmiertelnych z ministrem napoleońskim.

Niema złego któreby na dobre nie wyszło. Nie straciliśmy nic na tém opóźnieniu, gdyż w tej chwili oto ukazała się książka pana Olivier, p. t. *Lamartine*, wyjaśniająca rzecz z całą dokładnością. Oprócz mowy akademickiej znajdujemy w przedmowie żywy opis wstępnego posiedzenia, na którym według zwyczaju, nowy członek poddał mowę swoją pod sąd wybranej komisyi. Znajdujemy niemniej wiele innych ciekawych szczegółów, o których nie mogły wiedzieć pisma chwytające rzecz na gorąco. Publikacyom takiej powagi jak Biblioteka, idzie raczej o dokładność aniżeli o pośpiech. Pod tym względem tylko chcemy i powinniśmy współzawodniczyć z kronikami gazet i pism tygodniowych.

W obszernym wstępie książki swojej, były minister cesarski opowiada jak akademia w dniu 7 kwietnia 1870 r. ofiarowała mu krzesło wakujące po Lamartinie. Wybór ten był jak wiadomo manifestacją akademii dla cesarstwa, wchodzącego na drogę reform parlamentarnych. Scisle stosunki łączący Oliviera z wielkim poprzednikiem: on jako członek ciała prawodawczego, wniósł projekt subskrypcyi narodowej, na rzecz osmdziesięcioletniego poety; on jako reprezentant narodu, przyjmował zwłoki jego w Macon: on wreszcie okazywał się w każdej chwili gorącym czcicielem Lamartina, wielbiąc w nim zarówno poetę, historyka i męża stanu.

Kłęski wojenne nastąpiły wkrótce po obiorze Oliviera i zatrzymały uroczystość akademicką. Minister napoleoński czując o ile imię jego stało się niepopularném, żądał sam odroczenia dopóki nieprzyjaciel depać będzie francuzką ziemię. Po ewakuacji, w końcu roku zeszłego, dopomniął się dopiero o swoje prawa. Akademia udecydowała że przyjęcie nastąpi w dniu piątego marca; na tydzień wprzód nowy członek miał odczytać mowę w obec komisyi. Prezesem jej mianowany był najstarszy z akademików Guizot.

Po odczytaniu mowy, prezes zaprotestował przeciwko zbytelnym pochwałom: według niego ani Mirabeu (wspomniony mimochodem), ani Lamartine, nie zasługiwali na tytuł mężów stanu. Silniej jeszcze oburzył się starzec na zarzut jaki Olivier czyni izbie z r. 1830, zowiąc rozszczenia jej zamachem (*coup d'etat*) przeciwko władzy królewskiej; *zamachem*, który wywołał inny *zamach* ze strony Karola X, a tém samém sprowadził rewolucyą i utorował nieprawnie drogę do tronu Orleanom. Tu Guizot uczuł się dotkniętym osobiście, on bowiem duszą był ówczesnych działań izby i promotorem sławnego adresu, który wstrząsał podwalinami państwa, zmieniając rząd monarchiczny w parla-

mentarny. Trzeci zarzut Guizota przeciw mowie, tyczył się słów poświęconych Napoleonowi III. Olivier przytoczył własne wyrazy Lamartina, zapisane w jego pamiętnikach:

„Poznałem w cesarzu Napoleonie—mówi poeta—najdzielniejszego i najpoważniejszego męża stanu, z pomiędzy wszystkich jakich spotykałem w długim moim zawodzie.“ Gdyby żył więcéj zbliżony do niego—dodaje Olivier—gdyby poznał do gruntu to wielkie serce, ten umysł pełen wdzięku i zdrowego sądu o rzeczach, tę słodycz tak majestatycznie poważną, gdyby się stał powiernikiem jego myśli skierowanych wyłącznie ku powszechnemu dobru, ku niesieniu ulgi cierpiącym; gdyby był świadkiem téj wysokiéj prawości, z którą ustanowił i wprowadził w czyn najliberalniejsze instytucje jakie kraj nasz znał kiedykolwiek; gdyby go widział skromnym w pomyślności, wielkim w nieszczęściu: nie poprzestałby na sprawiedliwém tylko ocenieniu, on byłby go ukochał.“

Guizot powstał silnie przeciwko tym pochwałom. Odpowiedział na nie przypomnieniem wielkich nieszczęść, w jakie cesarstwo pogrążyło Francją. Zapalając się coraz bardziej, stary akademik przekroczył nakoniec wszystkie granice przyzwoitości. Powtórzył z urąganiem wyrzeczone w izbie słowo Oliviera: wspomniął owo nieszczęsne *lekkie serce*, które od czasu klęsk stało się smutnym przydomkiem ministra napoleońskiego.

Któż nie pamięta jak na posiedzeniu izby w dniu 15 lipca r. 1870, kiedy wojna zatwierdzoną została, zagadniony minister czy przyjmuje na siebie odpowiedzialność za wszystko co może nastąpić: „Przyjmuję ją—odrzekł—przyjmuję z *lekkiem sercem*.“

— Jakto—zawołał Esquiros—pan masz *lekkie serce*, a krew ludów potoczy się niebawem!

— Nie zmieniaj pan znaczenia słów moich—odparł minister—nie sądz abym mówił, że przyjmuję z radością tę wielką odpowiedzialność. Przyjmuję ją z sercem wolnym od wyrzutu, z sercem ufném, gdyż czyniliśmy wszystko co bez ubliżenia czci narodowej uczynić było można, by uniknąć téj wojny.

Grzmot oklasków odpowiedział na te słowa, ale kiedy klęski sypnęły się gradem, naród przypomniiał je z goryczą i tysiące głosów powtórzyło: *Olivier au coeur léger!*

Krew zakipiiała w piersi nowego akademika, kiedy Guizot wspomniął o *lekkiem sercu*, w obec zebranej komisyyi. Co tu czynić z dziewięćdziesięcioletnim blisko starcem? jak odeprzeć zniewagę? Olivier drżący od gniewu podniósł głos, dyrektor akademii Duvergier de Hauranne zmusił go do milczenia.

Kilka dni trwały narady akademickie: rezultat ich wiadomy. Uroczystość przyjęcia odroczoną została na czas nieograniczony. Mowa Oliviera ukazała się w dziennikach, równie jak odpowiedź p. Augier.

Zarzut *lekkiego serca* mocno zaciężył na sercu Olivierowi. Poświęca on długi ustęp w przedmowie na odparcie tego zarzutu. Odwołuje się do słownika Littrego, powtarza za sławnym lingwistą cały szereg

zdań określających wyraz *léger*. Nieszczęściem słownikarz mówi tylko o *lekkiem jarzmie Chrystusa*, lecz o *lekkiem sercu* nie czyni żadnej wzmianki. Nowy akademik, nie poprzestając na świadectwie Littrego, przytacza listy Fenelona, Maryi Teresy, ustępy z pamiętników Lamartina i t. p., gdzie *lekkie serce* gra rolę i to w dodatniem znaczeniu.

Pan Guizot wie dobrze o tórn, dodaje Olivier, wszak on wie tyle rzeczy! dlaczegoż więc rzucił mi w oczy to *lekkie serce*, jakby to uczynił grubiański i ograniczony demagog?

Po długim wstępie, idzie mowa akademicka. Olivier ocenia w niej Lamartina najprzód jako poetę, następnie jako historyka, mówcę i męża stanu. Przed Lamartinem—mówi on—kilku poetów zbliżyło się do czystego źródła, lecz żaden nie zaczerpnął w niem żywej wody. Autor *Medytacji* pierwszy przyłożył do niej usta. Rok 1820 stanowi równie ważną epokę w rozwoju naszego ducha narodowego, jak pojawienie się Cyda, Świętoszka albo Fedry. Odtąd wierszowanie przestało być prostym mechanizmem, lub zgrabną łamigłówką, lub też bolesnym jękiem serca, a stało się uprzywilejowanym narzędziem wyobraźni, właściwym wyrazem ideału. Lamartine łączy w sobie świeżość młodości i głębokość dojrzałego natchnienia. Wszystko płacze, wszystko płonie, modli się, wzlata w górę, w jego nieśmiertelnych pieniach, pełnych niewymownej słodyczy, co wytryskuje z głębi twórczego ducha, jak promień ze słońca zbudzonego porankiem. Wszystko jest wdziękiem i wonią, rozkoszą dla ucha, upojeniem dla serca, w tych strofach melodyjnych, podobnych do dalekiego szumu morskiej fali. Czarodziej znajduje właściwy ton na wyrażenie wszelkich uczuć. Miłość i tęsknota, boleść rozłączenia, widmo straconych ulud, wszystko to zléwa się u niego w pełny akord, równie harmonijnie jak tajemniczy urok nocy, jak promienisty blask dnia, jak przeczcucie Boga i nieskończoności. Podobnie do pierwotnych mistrzów, poeta nasz ściśle zbratany jest z przyrodą; dla niego źródło wody, góra, drzewo, łąka, chmura, przemawiają właściwem słowem; rozumie je, słyszy ich jęk, powtarza ich modlitwę i jakby nowy Franciszek z Assyżu, gotów powiedzieć do słońca: *mój bracie*, do jaskółek: *mój siostrzyczko!* Brzydota odpycha go od siebie, omija trzęsawiska, ściga tylko ślady gwiazd promienistych! Jego poeta szuka wrażeń w pięknie widzialnem. Nie znajdziemy w nim dowcipu miejskich poetów z rodziny Horacego i Beranżera; to genialny wieśniak jak Wirgili!

Z pomiędzy wszystkich utworów poety, Olivier najwyżej podnosi *Jocelina*. *Medytacje* i *Harmonie*, tak piękne same przez się, uważa on jakoby cudny przedsiomek do tój nieśmiertelnej eposy. Zobaczmy jak określa owo arcydzieło.

„Jocelin, to legenda życia złamanego na ziemi, a jakże to mało naliczymy istnień ziemskich, któreby choć częściowo nie zostały złamane, w ledwie rozkwitłym pączku. To też niewysławione współczucia jakie poeta rozléwa na nędze i cierpienia bohatera poematu, stają się w rzeczy samej jakoby rosą współczucia, rozlaną na nędze i niedole tych wszystkich, którzy cierpią. Ztąd ów poemat jest najwyższym wyrazem poezyi Lamartina: pociechą serc zbolalých. Można pocieszać w dwojaki sposób:

albo wprowadzając do serc myśli Boże, albo podnosząc smutne myśli ku niebu. Autor Jocelina ostatnią obrał drogę. Nie rozjątrza on boleści, nie potraça ją w gwałtowny sposób, ale pieści ją, kołysze słodko, a potem bierze ją na skrzydła i podnosi w górę i tém samém rozwiewa ją pomalū: Ukoil—ze kogo *René Chateaubrianda*, lub Bajronowski Child-Harold? Kto zaś odczytał Jocelina, uczuł się lepszym, a jeżeli cierpiał: spokojniejszym.

„Poeta w modlitwie do Boga wyśpiewał taką zwrotkę:

Ci, co chodzą po tój ziemi,
Radzi usta spragnionemi
Czerpnąć wody w świeżym zdroju!
Ach! dla piersi ich zgorzałej,
Spraw, niech tryśnie z głębi skały
Zdrój miłości i pokoju!

„Tyś nam wydobył o poeto! — woła mówca — tę kroplę miłości i pokoju, ukrytą w twardej opoce! Więcej nad urok natchnionych wierszy twoich, to dobrodziejstwo zachowa cię żywym w pośród ludzi! Ty żyć będziesz w ich pamięci, dopóki będzie miłość i wiosna, póki lzy płynąć będą!“

Oceniwszy Lamartina jako poetę, Olivier przebiega długi szereg prac jego historycznych, ukazuje go potem jako wielkiego mówcę, jako dostojnika piastującego najwyższą godność w rzeczypospolitej. Z głębokiém nakoniec uczuciem wspomina ostatnie lata ósmdziesięcioletniego starca, zaprawione goryczą i boleścią. Nieraz — mówi on — Lamartine zwierzał się przed światem ze swych cierpień! Wyrzuca mu to bardzo ostro! Jakaż niebacznosc! Byłzeby on poetą lirycznym, gdyby umiał powstrzymać w nieměj piersi nawał wstrząsających nią wrażeń? Wyrzucanoż mu jego cudne pieśni: *Jezioro*, *Krucyfiłks*, *Pierwszy żal*, a przecież były to takie skargi! Psalterz Dawida, ten ideał liryzmu, jestże czém inném, jeśli nie osobistém zwierzeniem? A ta sławna pieśń (Dzień on sądu: dzień straszliwy!) nie byłaż ona najszczytniejszym wybuchem osobistěj boleści, zaczęł kościół zamienić ją w hymn pogrzebowy?

W końcu poeta oniemiał, rzekłby kto, że rozwiązawszy z pęt własną duszę, czeka niby milczący świadek, rychło rozwinie skrzydła i uleci. Ale tak samo jak wierchołki wielkich gór odbijają światło choć u ich stóp niziny i wzgórza pogrążone już w grubym pomroku, tak geniusz jego przyświecał jeszcze, choć zgasły blaski jakimi świat otaczał go był niegdyś! Geniusz przetrwał z nim do ostatnich dni, wreszcie wszystko zagasło i ziemia rodzinna przyjęła zwłoki męża. „Tak Lamartine przemawiał do dzwonu *Saint Point*, rodzinnej wioski swojěj:

Gdy cię ręka pobożna ku czi mój poruszy,
Twojém spizowém łkaniem nie smuć bratniej duszy.

Żebraczej o łzę proźby nie ślać tobie w świat;
Lecz zadzwoń mi na grobie tym dźwiękiem otuchy,
Z jakim na barkach więźnia pękają łańcuchy,
Kiedy wolny wychodzi z za więziennych krat.

„Dzwon w Saint Point nie usłuchał wieszczą—dodaje Oliwier—załkał spiz i lud wieśniaczy tłumnie zbiegły z pagórków, odpowiedział mu łkaniem, i ksiądz ze łkaniem odmówił modlitwę nad trumną. Te tłumy oplakiwały w nim człowieka, przyjaciela, dobroczyńcę, inni oplakiwali poetę, historyka, i męża stanu“.

Przytaczamy dziwnie piękne zakończenie mowy. Autor usunął był to zakończenie, oddając mowę do druku dziennikom, po przykrém zajściu z akademią. Przy świeżo wydaném dziełku pomieścił ją we wstępie. Oto słowa Oliwiera;

„Jakże wielkim jest naród, który wydaje podobne geniusze?

„A kiedy spojrzę w około siebie, i spostrzegam świetnych jego współzawodników, kiedy poza obrębem tych ścian, widzę młode grono podążające śmiało w jego ślady, dziwię się że tylu z pomiędzy nas—dla tego że szczęście opuściło kraj na chwilę—powtarza bezmyślnie żeśmy już narodem upadłym! Rzućmy oto okiem po Europie: ażaliż odkąd nasze słońce zaćmiło się chwilowo, ażaliż pytam—nie ubyłó jój światła i ciepła? Kto służy dziś sprawiedliwości? kto powstrzymuje gwałty? kto stróżem prawa? kto pracuje na pożytek ludzkości?

„I kiedyż to przestaniemy zapoznawać się sami, lekceważyć się wzajem, tyrać naszą cześć, naszą godność? I kiedyż to zaniechamy tych pocisków, na wszystko co góruje i błyszczy, a przez to odbierzemy prawo potępiania nas obcym, którzy radzi sklaniają ucho na wzajemne oszczerstwa nasze? Miejsz litosć nad tą ukochaną i szlachetną ojczyzną! Ona żąda od nas trochę spokoju, trochę jedności! Nie dręczmyz jój wzajemnemi obelgami! Zamiast wylączania wstrętnych nam jednostek, czcijmy tych wszystkich, którzy są jój ozdoba, żywem świadectwem jój niewyczerpanej płodności, pociechą jój piedoli, zakładem na przyszłość! czcijmy tych wszystkich, którzy uświetniają się sami, otaczają blaskiem jój imię! Nie zniechęcajmy jój ostrą krytyką, ale podnośmy żarliwem uwielbieniem! Uczcijmy w niej wszystko: ten jój wytworny język, najcudniejszą szatą w jaką przyoblekło się kiedykolwiek ludzkie słowo, jój sztukę, godną współzawodniczkę ateńskiej i florenckiej, jój naukę, nie przebraną skarbnicę w której czerpią ludy; jój wojsko, w śród samychże klęsk pełne bohaterskiej odwagi; jój historie nakoniec utkaną zapewne z wielu błędów i nieszczęść, ale zarazem z mądrych czynów i cudownych poświęceń: onę wiekową epopeję, w której upadek bywał po wszystkie czasy, przygrywką do nowego tryumfu.“

Zdaje się że p. Oliwier usunął tę konkluzją jako zbyt polityczną, czyniąc zadosyć życzeniu komissyi. Po wszystkich co zaszło, słowa te tém większego nabierają znaczenia: są one gorzkim wyrzutem dla grona akademików. Z pomiędzy dwudziestu głosujących, Oliwier znalazł trzy-

nastu przeciw sobie, z wdzięcznością za to wspomina siedm przychylnych imion pp: Sacy, Nizard, Augier, Feuillet, Sandeau, Doucet i St. Marc Taillandier.

W końcu dziełka autor załącza dowody świadczące o stosunkach swoich z Lamartinem i o wielkiej czci jaką miał zawsze dla poety. Między niemi widzimy przemówienia w izbie prawodawczej z r. 1867 o subskrypcją narodową, dla zgrzybiałego starca, przytaczamy bardzo wymowny ustęp, o znaczeniu poezyi w narodzie. Zdanie to tém ważniejsze, że nie wypłynęło z ust poety, lecz chłodnego statysty i polityka.

„Z natchnienia geniuszu swego, mówi Oliwier, a co więcej z rządzenia Opatrzności, Lamartine był nasamprzód poetą. W skutek długich a krwawych zaporów rewolucyi i cesarstwa, serce przedewszystkiem ulaknęło pociechy: owóż poeci leczą zbolale serca! wówczas nie śpiewał jeszcze ani Hugo, ani de Vigny, ani Musset, ani Laprade, ani jeden z tych którzy potem byli nam otuchą i ukojeniem. Poezja sucha, oderwana od życia.

„Deklamatorska, lub pretensjonalna, stała się prostą igraszką wyrazów, łamigłówką. Trudno też dziś zrozumieć, jak utrzymują współczesni, powszechnego zdumienia, radości i zapału, uniesienia nawet. Kiedy się ukazały *Medytacje* a po nich inne poemata pełne słodyczy, prostoty i szczytnej wzniosłości, które pozostaną równie wieczne, jak wiosna i młodość, jak ból i radość, żal i nadzieja, a według słów poważnego Cuviera „jak pieśń słowika w dąbrowie“! Od tej chwili przypominano traicznych wspomnień, życie nabrało znów uroku!

„Ludzkość odplaca nieśmiertelnością wszelką chwałę; ale jaka chwała trwalsza nad inne, głębsza, mocniejsza, serdecniejsza, taką chwałą wypłaca się ludzkości tym, którzy pracowali nad podniesieniem i uzacnieniem ducha w jednostkach! Ile to naliczymy ksiąg, które poruszały ludzi, zajmowały żywo świat, a których pamięć przetrwała tylko w umysłach erudytów. Z drugiej strony, kiedyż przypomnimy księgi *O naśladowaniu drobnych kwiatków* Ś-go Franciszka, *Pawła i Wierginii*? Bo też zaprawdę, być uczonym, wymownym, potężnym, kierować losami narodów, staczać bitwy, ustanawiać prawa: wszystko to bywa udziałem małej liczby uprzywilejowanych; kiedy przeciwnie dano wszystkim, tak wielkim jak i małczkim, kochać, cierpieć, płakać i umierać! Zład przypatrzwszy się bliżej, musimy uznać koniecznie, że nie ci z pomiędzy ludzi najdrożsi ludzkości, którzy nią rządzą, prowadzili ją na zapasy, kierowali nią na obradach, ale raczy ci, którzy nauczali ich kochać, cierpieć, płakać, i umierać, którzy uczynili cokolwiek *pro remedio animae*, dla ulżenia ich duszy! Lamartine należy do nich niewątpliwie“!

Zakończmy rzecz strofką wielkiego poety, świadczącą z kąd mu płynęły wiecznie żywe i świeże źródła natchnień:

Nigdy ręka niczyja nie wiodła méj ręki
Po strunach, co wydają srebrnobrzmiące dźwięki;

Nauczyż tego człowiek co z niebios nam płynie?
Nauczyłże się potok biec pędem z góry?
Orzeł mknąć przez powietrze swobodnymi pióry?
Pszczola miód zbierać w dolinie?

Towarzystwo geograficzne paryżkie otrzymało w darze od cesarza Don Pedra II, ważne dzieło p. t. Państwo Brazylijskie na wystawie wiedeńskiej roku 1873. Jest to szczegółowy obraz miejscowości ze wszystkimi, co ją charakteryzuje. Obraz ten stawia nam przed oczy topografię, klimat, konstytucję i organizację polityczną, zarząd państwa, wojsko, marynarkę, środki komunikacji licząc w to drogi żelazne, których rozwój znakomity był w ostatnich latach instytucją publiczną, zakłady naukowe, literackie i przemysłowe, instytucje dobroczynne. Dołączona do dzieła mapa cesarstwa, godnym jest jego dopełnieniem. Oprócz głównych zarysów orograficznych oznaczone na niej bardzo szczegółowo nazwiska miejscowości, a nadto wskazano kopalnie węgla, złota i dyamentów. Ta mapa nierównie dokładniejsza od wszystkich jakie dotychczas były znane.

W przedmowie czytamy wyrażoną myśl, że wierny ten obraz państwa brazylijskiego stanie się może zachętą dla czynnych i przedsiębiorczych ludności przepelniających Europę, a dla których żywna ziemia brazylijska może być polem do rozwinięcia umysłowej działalności. Książka ta niemniej ciekawa dla każdego, kto patrzy nie obojętnym okiem na drogi, jakimi społeczeństwa dążą do postępu.

Nazwisko autora wcale nie wymienione; nie podpada jednak wątpliwości, że światły cesarz Don Pedro, najważniejszy przyjął udział w wykonaniu tej znakomitej publikacji.

Wyliczamy jeszcze trzy wielkiej wagi dzieła ofiarowane Towarzystwu geograficznemu. Same ich tytuły świadczą o niez mordowanej pracy erudyków angielskich.

Pierwsze z nich dzieło Markmana: *A Memoir on the Indian surveys*, przedstawia historię czynności geograficznych przy zdjęciu mapy Indyi angielskich od początku aż do dzisiejszych czasów. Kamień węgielny tego wielkiego przedsięwzięcia położył Makenzie w roku 1783. Olbrzymie to dzieło obejmuje topografię, geodozję, archeologię i meteorologię. Atlas Indyi składa się z 177 tablic, pozostaje do wykonania 80. Ten pomnik geograficzny jest dziełem stułetniej pracy kilku pokoleń.

Drugie dzieło Tomasza Fielda: *An Essay towards an Indian bibliographie*, obejmuje spis bibliograficzny ogromnego zbioru dzieł i broszur z bogatej biblioteki samego autora, dotyczących się wyłącznie geografii Indyi zachodnich. Erudyta amerykański opisał tu 2,500 dzieł i 1,200 mniej ważnych memoriałów, dodając do nich własne notaty i komentarze. W pracach nad geografią nowego świata autorowie francuzcy przeważny wzięli udział.

Trzecie nakoniec dzieło Edwarda Younga: *Rapport sur l'immigration*, wydane w Waszyngtonie 1872 roku, wykazuje wielki rozwój Stanów zachodnich Ameryki *Far-West* w skutek bezustannego napływu pracowników ze wszystkich stron kuli ziemskiej. Dzięki dokończonj właśnie linii drogi żelaznej *Pacific Railroad* przybysze znajdują tu rzeczywiste korzyści. Liczba ich od r. 1869 do 1870 wynosiła 7,553,865 jednostek; z tych połowa Anglików, następnie idą Niemcy. Ludy azjatyckie stanowią tylko czwarty procent w cyfrze ogólnej; plemie łaćińskie słabo nadzwyczaj reprezentowane.

Wyżej podana cyfra zdaje nam się bajeczną, taką jednakże podaje buletyn Towarzystwa geograficznego paryzkiego z miesiąca grudnia roku 1873 str. 68.

Donosiliśmy w swoim czasie, że Towarzystwo geograficzne paryzkie zamierza wejść w ścisłe stosunki z izbami handlowemi we Francyi w celu rozszerzania nauk geograficznych i zastosowania ich do praktyki. Dziś ostatni buletyn Towarzystwa donosi, że zamiary te uwieńczone zostały. Obok p. Levasseur, Cortamberta i innych uczonych, którzy biorą udział w centralnej komisyi postanowionej w tym celu, widzimy imię p. Herz mianowanego jeneralnym sekretarzem téjże komisyi. Pan Herz przebywał w Stambule w latach 1853 i 1854; tam jako współredaktor dziennika *Journal de Constantinople* zajmował się rzeczami słowiańskimi.

Francya liczy wiele na te połączone usiłowania uczonych teoretyków z ludźmi czynu, którzy realizować będą ich pomysły na polu praktycznym.

Z tego powodu p. Richard Cortambert, na posiedzeniu Towarzystwa wykazał wielkie korzyści, jakie podobna inicjatywa izb handlowych przynieść może w rozwoju różnych gałęzi nauk. Przypomniał jako przykład, zasługi prostego domu handlowego w Hamburgu pod firmą Godefroy. Dom ten rozporządza dwudziestu pięciu okrętami i utrzymuje stałe stosunki z Oceanią; każdy okręt powracający z ładunkiem przywozi zarazem ciekawe przedmioty z wydziału etnografii i nauk przyrodzonych, któremi wzbogaca miejscowe, tak już bogate muzeum. Wielu uczonych przyrodników odbywa podróże kosztem tego domu; nauka zawdzięcza mu niemniej publikacją dziennika geograficzno-etnograficznego i wielu ciekawych monografij.

Mówiliśmy niedawno o nadzwyczaj spiesznym reformach, jakie dopełniają się z każdym dniem w Japonii; dodamy dziś wiadomość, że p. Boissonade professor prawa w fakultecie paryzkim puścił się w podróż

powołany przez rząd Mikady do ważnej pracy nad zmodyfikowaniem kodeksu japońskiego. Pan Boissonade zamierza w ciągu kilkoletniego pobytu w tym kraju, zwiedzić dokładnie wszystkie prowincje i poznać do gruntu obyczaje mieszkańców. Rząd japoński zapewnił mu eskortę wojskową. Nie ma wątplenia, że uczony profesor wykryje wiele stron nowych i obznajomi Europę ze stanem społeczeństwa mało dotąd znanego.

Świeża publikacja orientalisty Franciszka Lenormant zwróciła powszechną uwagę. Mówimy tu o dwutomowym dziele p. t. *Premières Civilisations*. Uczony autor postanowił w nowej pracy zwulgaryzować wielkie odkrycie nowoczesnych erudytów. W oderwanych studiach rozbiera po kolei archeologią przedhistoryczną, sztukę i literaturę starożytnego Egiptu, epopeę babilońską, tradycje o potopie, poezją liryczną dawnych Chaldejczyków, osiedlenie się Fenicyan w Grecyi i inne przedmioty równej doniosłości. Pan Lenormant zyskał oddawna znakomite imię w świecie naukowym, ważnym dziełem: *Manuel d'Histoire Ancienne de l'Orient*.

Jeszcze słówko o archeologii. Przebaczą nam pozytywniejsi z pomiędzy czytelników, że ich zajmujemy tak *oderwanym* przedmiotem, ale według nas prawdziwy postęp polega nie na wyłącznym uprawianiu jednej gałęzi nauk, ale na rozszerzeniu kola myśli o tyle, aby to co się wydaje dziś oderwanem, przestało niemi być jutro, i weszło w ogólną harmonię ducha spragnionego wszechstronnej wiedzy.

Otóż więc przegląd archeologiczny paryzki powtórzył bardzo ciekawą prelekcją p. Alberta Dumont dyrektora szkoły starożytniczej w Rzymie. Instytucya ta świeżo założona w Villa Medicis ma przygotowywać młodych erudytów do słynnej oddawna szkoły francuzkiej w Atenach.

Szkola ateńska wydała już piękne owoce: dosyć powiedzieć, że Francya zawdzięcza jej wielkiego archeologa swego p. Beulé¹⁾. Pokazało się jednak, że tak jak wszędzie, liczba powołanych a raczej garnących się, zbyt wielką była w stosunku do wybranych. Młodzi literaci spieszyli tłumnie do Grecyi, poważny program nauk wcale ich nie ustraszal; sądzili że pięknym stylem potrafią zastąpić erudycyą. Akademia napisów z politowaniem patrzyła na konkursowe raporta, w których malowali błękitne niebo, różowe oleandry i odłamy białych marmurów: te poetyczne elukubracje przezwano na żart *trójkolorową archeologią*.

¹⁾ Dowiadujemy się w tej chwili o nagłym skonie sławnego archeologa. W przyszłej kronice poświęcimy mu osobny ustęp.

Edmund About uczeń także szkoły ateńskiej, w dowcipnej powiastce p. t. *Król Gór*, nakreślił humorystyczny obraz takiego dyletanta archeologa. Młody Hipolit nie posiada się z radości; znalazł kamienny odłam jakiegoś ołtarza starożytnego z napisem półzartartym. Upojony tryumfem buduje już zamki na lodzie, marzy o hołdach jakie go czekają, widzi się członkiem instytutu; wтім prosty chłopek wyjaśnia mu tajemnicę: ten kamień to słupek przydrożny, przed dziesiątkiem lat zatknięty w ziemię na gościńcu! About odtworzył żywą postać. Oprócz ludzi rzeczywistej zasługi, wielu podobnych Hipolitów liczyła szkoła archeologii w Atenach.

Aby zatrzymać podobny dyletantyzm, francuzkie ministerium oświecenia założyło przygotowawczą szkołę w Rzymie. Pan Dumont w lekcji wstępnej wykazał słuchaczom wielką ważność nauk starożytnych i ogłosił plan kursu. Z trzech lekcji na tydzień jedna poświęcona będzie archeologii powszechniej i historii sztuki, druga epigrafii, trzecia przysposabiać ma uczniów do wycieczek; tak przygotowany młody erudyta za pierwszym rzutem oka zrozumie ważność historycznego zabytku, nauczy się patrzeć i widzieć.

Professor nie przepomniał o poglądzie filozoficznym na archeologię. Wykazuje on o ile zbadanie pomników starożytnych wyjaśnia historią religii, obyczajów, idei i cywilizacji danego ludu, o ile metodyczna indukcja ułatwia nawet poznanie przedhistorycznych epok; uwydatnia nakoniec żywotną stronę nauki napozór oderwanej, daje poznać ściśle jej łączność z nauką literatury; w kamiennych bowiem pomnikach snadno dopatrzeć, jak smak artystyczny rozwijał się w pasmie wieków, nim przyszedł do prawdziwego rozkwitu.

Świetnie rozpoczęty kurs p. Dumont ma być podobno ogłoszony drukiem. Ktokolwiek zna poprzednie prace młodego profesora, oczekuje niecierpliwie tej nowej publikacji. Pan Dumont, dodajmy tu, należy do najmłodszej generacji erudytów francuzkich; dykcyonarz biograficzny z roku 1869 nie wspominał nawet jego imienia; dziś jednak imię to przyświeca żywym blaskiem. Samo stanowisko dyrektora szkoły archeologicznej w Rzymie, świadczy o wysokiej jego zdolności.

Do najokazalszych książek, jakie pojawiły się w początku tego roku, należy niewątpliwie *Podróż po Hiszpanii* barona Daviller, ozdobiona 309 drzeworytami Gustawa Doré'go, wydana u Hacheta. Autor i artysta przebiegali razem ten piękny kraj, kreślili każdy na swój sposób doznane wrażenia i utworzyli wielkie dzieło. Opisy płyną same z pod pióra z prostotą i wdziękiem bez najmniejszej przesady: czuła prawdę w każdym słowie. Autor radby, jak mówi, dla ożywienia wątku, opowiedzieć jakieś dramatyczne spotkanie z bandytami: nieszczęściem nigdzie ich nie napotkał. Wielką tu jednak widzimy różnorodność; charakter mieszkańców skreślony wiernie w zajmujący sposób. Baron

Davillier zna dobrze Hiszpanią, zwiedzał w różnych czasach wszystkie jej miasta, jej góry i wąwozy: określając różne miejscowości przedstawia podwójny ich obraz, jakimi były i jakimi są dzisiaj. Co zaś do rysunków Doré'go, samo imię artysty daje dostateczną rękojmię ich wartości. Odrębna postać kraju i mieszkańców wydobyla nową iskrę z twórczej wyobraźni mistrza. Widzimy tu zapasy byków, oddane z nieporównanem życiem; widzimy żebraków w malowniczych lachmanach, z głową dumnie podniesioną do góry, jakich w Hiszpanii spotykać można jeszcze, nietylko na obrazach Murilla, lecz i w rzeczywistości.

Chcielibyśmy zakończyć sprawozdanie nasze wiązką zebraną na polu dramatycznym; niestety, pole to bardzo wyjąłowało. Do najlepszych sztuk jakie przedstawiają dziś teatru paryzkie, należy wznowiona w Odeonie komedia Dumasa syna: *Młodość Ludwika XIV*. Postać Mazaryniego wybornie pojęta przez autora nabiera jeszcze znaczenia przez mistrzowską grę wielkiego artysty Lafontaine'a. Ale cóż tu nowego powiedzieć o komedii, którą poprzedniczka nasza rozbraiała zapewne z własnym sobie talentem, przed dwudziestoma laty?

Z nowych utworów pojawił się *Sfinks*, dramat Oktawa Feuillet, zawiódł on powszechne oczekiwanie. Ogół czegoś innego wyglądał z pod pióra autora Dalilli!

Tym Sfinksem jest kobieta. Podczas gdy mąż przebywa w Kochinchinie, czarodziejka ta zabawia się w zamku swoim na prowincyi, odgrywając rolę tajemniczego bożyszcza Hindów. Zadaje zagadki czterem zakochanym w niej Lowelasom. Długo trzyma ich na uwięzi, aż nakoniec wpada sama w sieci drugich zastawione. Doprowadzona do szału zakończy życie trucizną.

Nie wchodzimy w bliższe szczegóły. Podobne Sfinksy mało mają dla nas uroku. Ostatnie słowo zagadki łatwe zresztą do odgadnienia. Kto igra z ogniem, prędzej, później zbrudzi skrzydła lub spłonie. Dziwimy się że p. Feuillet zatytułował Sfinksem swój dramat: tytuł *Uma*, byłby według nas daleko odpowiedniejszy.

Artystka grająca rolę czarodziejki, przykre w ogólności sprawia wrażenie okropnem konaniem, doprowadzonem do ostatecznego realizmu. Sprawozdawcy pism zachodzą w głowę, jakim sposobem można nadać sobie cerę trupią, zmieniającą twarz w oka mgnieniu. Zgadli wreszcie i tę zagadkę Sfinksa. Dociekli jak mówią, że panna Croixette odkryła jakiś muszkuł, ściągając go wpada w rzeczywiste omdlenie. Godneż to sztuki w wielkiem znaczeniu słowa?

Przegląd prassy peryodycznej

W KRÓLESTWIE POLSKIM.

Rok 1873.

PRZEGLĄD KATOLICKI 1873 r.

Przegląd Katolicki jest obrońcą wiary świętej i kościoła katolickiego. Obowiązki te spadły na Przegląd po Pamiętniku religijno-moralnym, który przez lat kilkanaście wychodził w Warszawie. Prawie dziesięć już wieków upływa, jak wiara katolicka, przyniesiona do tej ziemi, ogarniała coraz silniej całą ludność, podnosząc jej moralność i oświatę. Zespółiła się z życiem ogółu i przez ciąg tylu wieków, była prawie jedyną zasadą myśli, uczuć i życia narodu. Z tego źródła snuły się wypadki historyczne i losy różnych warstw naszego społeczeństwa i przyprowadziły do obecnej chwili. Dalszego wątku tego życia duchowego Przegląd Katolicki jest strażnikiem. W ogłoszonym przed kilką miesiącami liście pasterskim, biskup lubelski przypomina duchowieństwu: „Chrystus Pan powiedział: *wy jesteście światłością świata*. Od was przeto, jak od ogniska, rozchodzić się winno światło Bożkiej nauki. Wyście powinni być tarczą przeciw wszelkiej anty-religijnej i anty-moralnej zarazie.”

Ta myśl była i jest ciągle jedynym kierownikiem Przeglądu Katolickiego, na który składają się prace przeważnie duchownych. Przegląd z największą gorliwością i zapałem przychodzi w pomoc moralności swoich czytelników wykładem zadań religijnych i odpięramiem zdań przeciwnych; zarazem gromadzi wiadomości o wszelkich wydarzeniach, dotyczących kościoła na całej kuli ziemskiej. Ztąd oddział pierwszy obejmuje rozumowania, rozprawy historyczne, polemikę i sprawozdania dzieł wychodzących; oddział drugi stanowi gazetę kościelną.

W roku zeszłym obadwa oddziały Przeglądu, stosownie i obficie zapełnione były. Wyróżniają się swoją ważnością i przeznaczeniem, następujące uważamy artykuły: Rok przeszły (1872), Posłannictwo

matki, Głos filologa i głos protestanta o nowoczesnej cywilizacji. Bogactwo w społeczeństwie chrześcijańskim, Lament pozytywistowski. Z historycznych: Kościół we Francji na początku XIX wieku, O kaplicy Pana Jezusa w kościele metropolitalnym warszawskim, Pamiętnik Ojca Morris, Papiież Aleksander VI, oraz mnóstwo artykułów polemicznych: jak Odpowiedź autora przeglądu dziejów przyrody, Hieronim Savanarola, Niefortunne pośredniczenie, O prawach kobiety i inne.

Artykuł pod napisem: Rok przeszły daje obraz kłęsk, jakie od roku 1872 spadają na kościół katolicki we wszystkich krajach Europy zachodniej, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, w Meksyku, w Azji, w Japonii i innych. Religia tam upada, moralność niknie, brak cnoty, brak silnych charakterów, a młodzież, osobliwie w Ameryce, w szkołach bezwyznaniowych wychowana, odznacza się w zastraszający sposób swoją niereligijnością, niemoralnością i dzikością. Kościół jednak nie traci sił, a chociaż na Zachodzie wywołane być mogą straszliwe katastrofy, to zawsze przyjdzie czas, ludzkość otworzy oczy zamknięte na prawdę i zjednoczy wszystkie żywioły życia, jakie w społeczeństwie tkwią jeszcze, jako materiał chrześcijańskiego odrodzenia świata. Na poparcie tej myśli, Przegląd przywodzi drugi artykuł: kościół we Francji na początku XIX-go wieku, wykazujący, jakim nieszcześciom kościół już ulegał, a przecież przetrwał burze i powstał w całej sile. Przyczynę tych chwilowych kłęsk, zadanych religii i kościołowi, Przegląd przypisuje najwięcej twórcom nowych systematów filozoficznych i przeciwko nim walczy z zaciętością, a obronę swoją tworzy na zasadzie dogmatów. Na tej jedynej zasadzie, wszystkie rozumowania i rozprawy w Przeglądzie są rozwijane. Co jest prawdą, utrzymać się musi, co jest fałszem, bez powrotu zniknie. Rozumowania na zasadzie dogmatów, są powszechnie znane i żadnemu zarzutowi nie ulegają. Wszelkie spory na tej drodze nie mogą doprowadzić do żadnych rezultatów, skoro w nich z góry liberalizm uważany jest za przeciwny chrześcijaństwu, a swoboda słowa ograniczona. Kierunek więc ten w zupełności pominać należy.

Kilka wyciągów z rozprawy ekonomicznej: Bogactwo w społeczeństwie chrześcijańskim, a mianowicie: wpływ chrystyanizmu na rozwinięcie stosunków handlowych: Powikłania powstające z wymiany i niebezpieczeństwa, jakie z nich wyniknąć mogą dla społeczeństwa. Kwestya przyrostu ludności i produkcyjnej siły pracy, przekonują, że Przegląd nie jest obojętnym na materialny dobrobyt ludzkości, lecz i tam pragnie być przewodnikiem chrześcijańskim. Uważa, że wymiana produktów pracy, ztąd handel, wiąże się ściśle z porządkiem moralnym. Zbliża i jednoczy ludy i odpowiada uczuciu braterstwa i solidarności wypływających z nauki chrześcijańskiej. Utrzymuje, że ludzie zbliżają się ku sobie nie tylko wspólnością zasad porządku moralnego, lecz nadto wspólnością obyczajów i rozmaitych stosunków w porządku materialnym, a to wszystko przygotowuje jedność serc i umysłów. Powstaje silnie przeciwko namiętności szybkiego boga-

cenia się z krzywdą bliźnich. Różniąc teorie ekonomiczne, odwołuje się do znakomitych ekonomistów, a pomiędzy innymi przytacza Milla zdanie o mieszkańcach Stanów Zjednoczonych. „Mają oni sześć artykułów, jakich domaga się chartyzm i nie mają nędzy, a jednak w rezultacie tych wszystkich dogodności widzimy to tylko, że życie całej płci jednej, schodzi na gonitwie za dolarami, a życie drugiej płci schodzi na wychowaniu łowców dolarowych. Nie jest to pewno doskonałość społeczna, której urzeczywistnienie mogłoby się stać celem przyszłych filantropów.” Z tych kilku ułamków, ogłoszonych w Przeglądzie, nie można ocenić wartości naukowej całego systematu ekonomicznego, jaki przedstawiać może bogactwo w społeczeństwie chrześcijańskim.

Polemika jest najwybitniejszym charakterem Przeglądu Katolickiego. Czuwa on nad każdą książką, nad każdym pismem, nad każdym zdaniem przeciwko Kościołowi i walczy gorliwie. Prawie we wszystkich numerach tego dziennika, toczy się walka bezustanna. Często namiętność unosi Przegląd zadaleko. Nieraz właśnie dla tej namiętności, polemika Przeglądu chybia swego celu.

Z pewnym rodzajem lekceważenia napisany rozbiór Savonaroli Kanteckiego, wcale nie robi zamierzonego wrażenia. Recenzent St. Str., wytyka autorowi tej książki błędy historyczne. Pan Kantecki na podstawie świadectw dwóch pisarzy przytacza, że „blizki zgonu Wawrzyniec Medici, zawezwał Savonarolę z prośbą, aby go wysłuchał spowiedzi: że Savonarola oznajmił gotowość oddania księciu tej postugi, pod tym atoli warunkiem, że będzie miał wiarę, i że zwróci wszystko, co nieuczciwie nabył. Wawrzyniec oświadczył, że ma wiarę; przyrzekł wszystkim pokrzywdzonym albo zwrócić własność, albo też spełnienie tego obowiązku zlecić spadkobiercom. Usłyszawszy jednak ostatni warunek, że ma ojczyźnie zwrócić wydartą wolność, odwrócił się do ściany i nic nie odpowiedział, a Savonarola opuścił książęce komnaty.” Recenzent dowodzi, że cała ta scena jest zmyśleniem i mnóstwo innych błędów p. Kanteckiemu wytyka. Cokolwiek bądź, choćby wszystkie dowody przez recenzenta przytoczone za niewzruszone przyjąć wypadło, to z kądże recenzent przyszedł do takiego zdania pełnego próżności, że p. Kantecki fałszuje swego bohatera w taki sposób, jaki zaledwieby uszedł w rozprawie jakiego studenta pisaną bez uwagi i zastanowienia.

Przegląd Katolicki, odpowiadając redakcyi Wędrowca o Koperniku na indexie, przyznaje, iż kongregacya indexu popełniła błąd, występując przeciwko nowój Kopernika nauce. Lecz dodaje, że nikt tego błędu nie przeczy, ale nikt, a témbardziej Wędrowiec, który chce uchodzić za lepszego od Jezuitów katolika, natrząsając się z niego nie powinien. Pomija Przegląd tę omyłkę trybunału rzymskiego, dodając, „bo któryż trybunał ludzki, na ludzkiej oparty roztropności, jest nieomylny i bezbłądny.“ Przytém Przegląd dowodzi, że takiego dekretu kongregacyi, papież nie zatwierdził.

O prawach kobiety E. Prądzyńskiego, Przegląd może mówić, co mu się tylko podoba, co się zgadza z jego przekonaniem, co mu z widzenia przypadnie i pod tym względem swobodę słowa przyznać mu w zupełności należy. Ale czyż się zadaleko nie zapędził, kiedy, wspominając o nagrodzie dam, za tę książkę autorowi ofiarowaną woła:

„Czyż te poważne wiekiem i stanowiskiem damy przeczytały książkę, za którą tak demonstracyjnie nagrodziły autora? Wątpić należy: w przeciwnym bowiem razie zwątpićby należało i o rozumie, i o *enocie* tych dam poważnych.”

Pomijamy resztę uniesień tego gatunku: przyjemności nam nie robią, a ilość ich jest niemała.

Życie w sferze kościelnej nie może być takie, aby się zupełnie od świata i ludzi oderwać, aby nie stosować się do przyjętej w towarzystwie przyzwyczajności i okazywania wzajemnego szacunku, aby unikać poznania rozmaitych usposobień osób; bo takie poznanie, służy do stosownego i skutecznego przemawiania i działania nawet na korzyść religii i Kościoła. Przegląd Katolicki musi przedewszystkiēm czuć miłość bliźniego, tę miłość, która nawet nieprzyjaciół kochać nakazuje, miłość, która jest pełną dobroci Chrystusowej i pokory. W jakimkolwiek nawet wyuzdanym napadzie, jeszcze ta cnota katolicka nie dozwala nigdy wybuchać gwałtownością i obrażą.

Zapominając o usterkach z braku taktu i namiętności pochodzących, niepodobna milczeniem pominąć obrazu pełnego obrzydliwości, który się dostał do ram Przeglądu Katolickiego. Jest nim artykuł pod tytułem: *Kopronim* (z Ludwika Veuillota). Obraz ten przypomina dzikiego Indyanina, który w błocie tańczy i hula i w tym tańcu szuka dla siebie samego przyjemności i pociechy. Artykuł ten musiał jakimś szczególnym wypadkiem przybłąkać się do tak poważnego dziennika, bo niepodobieństwem jest, aby jakiegokolwiek pismo polskie taki artykuł wydrukowało.

Pomimo wszelkich zbroceń, które na karb indywidualizmu autorów liczyć wypada, Przegląd Katolicki tyloletnią, znakomitą i nieustanną pracą, jedna sobie prawdziwą zasługę i poważanie. W dziennikarstwie naszym odznacza się wzorowym stylem, a utrzymując czystość katolicyzmu, staje się w obecnym czasie nadzwyczaj ważnym organem. Niech tylko przy obronie dogmatów, tych odwiecznych fundamentów naszego kościoła, odzywa się ciągle głosem miłości ewangelicznej, a przyciągnie do siebie coraz większą liczbę czytelników i przyczyni się do tak pożądanego jednoczenia serc i umysłów.

A. J. S.

IZRAELITA.

Organ poświęcony sprawom religii i oświaty.

„Gnębiony w Hiszpanii i Niemczech, stanął Izrael na polskiej ziemi w charakterze podróżnego, którego burze wieków zmusiły do szukania schronienia pod dachem gościnnego narodu. I nie zawiodł się w swą nadziei strudzony wędrowiec, nie pożałował swego czynu gościnnego gospodarz ¹⁾.“

Słusznie autor Historii żydów w Polsce oddaje sprawiedliwość tej gościnności, jakiej doznawali w dawniej Polsce wypędzani z kądinąd żydzi. Wprawdzie nie zawsze jednakowo zadowolone były z wzajemnego stosunku obie strony: zbyt szerokie to dzieje, żeby je tu po szcze-góle przechodzić. Cokolwiek jednakbądź, wcześniej niżeli inne zachodnie kraje dała Polska dowód, że nie tylko gościnna była, ale i ludzką zarazem. Na sejmie 1788 roku wypracowano projekt urządzenia stosunków międzywyznaniowych, z którego kilka ustępów w pamięci obecnego pokolenia odświeżyć nie zawadzi: jakkolwiek nie przyszło do skutku. Prawo uznaje żydów za ludzi wolnych (§ I). W społecznosciach, do których należą, mają głos czynny. Urzędnikami obranymi być mogą i obierają stosownie do praw powszechnych (§ II). Religii zachowanie nienaruszone zabezpiecza prawo żydom. Dziеляcy się w mniemaniach osobne mieć będą szkoły (§ XI). Żaden żyd do chrztu przyjętym nie będzie, chyba mężczyzna w roku 20 a kobieta w 18 i to po roku doświadczenia ²⁾.

Zabytki przeszłości, jako to: strój odmienny, mowa zepsuta, i wyłączne oddanie się piętnej spekulacji, różnią widocznie obywateli krajowych Mojżeszowego wyznania, a różne ze stron obu przewinienia i wyrzuty mącą jeszcze harmonię, do której powoli wracamy. Przdający wyznań obudwu współobywatele łączą się w usiłowaniach dojścia do tego celu.

Przed dwunastoma laty organem tych dążeń przewodników między obywatelami wyznania Mojżeszowego było pismo: Jutrzenka, redagowane przez Daniela Neufelda.

Tę po Jutrzenkę spuściznę wziął w pieczę wychodzący od lat ośmiu Izraelita, którego seryą za rok ubiegły 1873 przejrzymy.

*
*
*

¹⁾ Kraushar, Historia żydów w Polsce, tom I stronnica 18.

²⁾ Czałki, Rozprawa o żydach § IX.

„Czego chcemy i do czego dążymy?” pyta Izraelita we wstępnym artykule pod napisem: Rzut oka na rok ubiegły, i powołuje się w odpowiedzi na wynurzone niegdy życzenia. I oto treść tych dążeń i chęci: „Aby religijne życie ludu żydowskiego, oczyszczone z wiekowych narośli, stanęło kiedyś na wyżynie, duchem jego wielkich proroków wskazanę; aby lud ten stał się pożytecznym ogniwem w społeczeństwie, myślą i czynem, rozumem i działaniem; aby rozwojem swych darów umysłowych przykładał się dzielnie do rozrostu ogólnoludzkiej kultury”.

W istocie hasło to godne organu poświęconego sprawom religii i oświaty, a sprawy te tutaj bardziej jak gdziekolwiek wzajemnie się wspierają. Niegdy modlące się wybranego ludu państwo nie znało innych nad religijną księgę ustaw. Rozproszeni owej społeczności potomkowie z całej przodków spuścizny tę tylko księgę unieść zdołali. A kiedy, jak powiada Czacki, nieszczęścia których doświadczyli po zburzeniu Jerozolimy, nie dały im zaraz światła i środków poznania, jakie umiejętności w społeczeństwie ludzkim są potrzebnymi, mądrość cała żydów szczególnież zasadzała się na nauce religijnej. Wtedy to powstawały zbiory podań, objaśnienia i dodatków, stosownych ustaw pomnożonych wyrokami najwyższych władz i zdaniem uczonych, tak zwane: Mischna, Talmudy, Gemara i kodeks prawodawstwa Schulhan Aruck. Glossatorowie i komentatorowie zasieli ziarno religijnych rozterek między współwyznawcami. A że życie religijne przeważało, nieporozumienia na tém polu odbiły się w innych zakresach.

W Polsce w połowie zeszłego stulecia powstała najfanatyczniejsza sekta Chassydów. Fanatyzm wrogiem jest postępu i oświaty a w fanatyzmie Chassydów wystąpiły najciemniejsze ułomności ludzkiej natury.

Od takichto wiekowych narośli pragnie oczyścić religią swą Izraelita i na tém polu wytrwale walczy z przeciwnikami zarówno bronią poważnych rozumowań jak i pociskami szyderstwa, a także pilnym zbieraniem wiadomości o wypadkach cechujących zabobonność i ciemnotę Chassydów.

W roku bieżącym znajdujemy siedm dłuższych artykułów ¹⁾ przeważnie religijnej treści, gdzie starano się wypełnić część programu, o którym na czele była wzmianka. Najruchliwszą w tym dziale rubryką w Izraelicie są tak zwane pogadanki.

W tychto pogadankach obok wielu innych przedmiotów, na które niżej uwagę zwrócimy, napotykamy wiadomości ze świata fana-

¹⁾ N. 3, 5, 25, 26, 27, 38. Między nimi artykuły takie: O naszych katechizmach, Nasz rytuał, O reformie w prawodawstwie rabinicznem.

tego gmachu, w murach którego młode serca z wiarą i otuchą w wyższe cele ludzkości, biją żądzą nauki, umysły otrząsają się z uprzedzeń, zapominają o różnicach wyznań, zawierają stosunki, gdzie dłoń szukając bratniego uścisku, o ród przyjaciela nie pyta, a uczucia *honoru* i *godności* stanowią najwyższe do ogólnego szacunku tytuły, a już organ postępowy ostrzega, by młodzież praktyczne cele miała na względzie i odwraca ją od dążności wznioślejszych, które wielkich zysków materialnych nie zapewniają. Nie powinna się redakcyja lękać o los kantorów, fabryk, rękodzielnictwa i dla tych znajdzie się zastęp nieprzebrany. Owszem, niech młodzież wyznania Mojżeszowego tłumnie pnie się na uniwersyteckie wyżyny, tam zapomni o czterotysiącociu, a pozna nowe dla siebie, lecz najstarszytniejsze w człowieczeństwie uczucia honoru i godności szlachectwa. Artykuł, o którym mowa, napisanym został widocznie pod wpływem jakiegoś chwilowego podmuchu, bez dojrzałszej nad jego treścią rozwagi. Tym samym prawie duchem, choć bardzo zręcznie spowitym w liczne omówienia, tchnie artykuł: „Do naszej młodzieży“ przez M. St. (n-ra 16 i 17). Autor po przyznaniu, że młodzież żydowska wyłącznie prawie garnie się do handlu, zaniedbuje inne pola działalności jak rolnictwo, jedwabnictwo, gospodarstwo rybne, hodowlę bydła etc.; że przemysł pozostaje w smutnym stanie wegetacyi, reasumując swe wywody, zarzuca młodzieży, o której mówi, że wszyscy chcą zostać profesorami, adwokatami, doktorami, na podobieństwo partyzantki, gdzie każdy chce być oficerem, nikt żołnierzem. Wymawia się też zaraz, że nie szerzy obskurantyzmu, że niema nic przeciwko chęci wyższego kształcenia się, lecz radzi być przedewszystkiem rozsądnymi. Nie wierzy w zamiłowanie i wewnętrzny popęd do nauki, usiłuje nawet dowodzić, że takowe istnieć w młodzieńcu pnącym się do uniwersytetu nie mogą; że młodzież ta, ulegając konieczności (jakiéj?), bierze to, co wziąć musi: że z powodu zbytniego garnienia się na fakultety prawny i medyczny, karyera prawnika i lekarza coraz mniej przedstawia korzyści. Przyczynę tego anormalnego stanu widzi autor przedewszystkiem i głównie w zgubnej ambicyi.

Nie możemy podzielić obaw autora o los adwokatów i lekarzy. Prawdopodobnie przy wzmaganiu się konkurencyi, jedni i drudzy nie będą jeździć karetami, może niektórzy przerzucą się do innych zajęć, boć człowiekowi ukształconemu i u nas do tego wiele dróg stoi otworem, a przy ogólnem rozpowszechnieniu wykształcenia prędkiej zbraknąć może łaknących, aniżeli chleba. Przykład ościennych Niemców niech nam tu będzie wskazówką. Czuje Izraelita najsmutniejszy stan swych współwyznawców, pragnie oświaty, postępu, rozwoju życia obywatelskiego, a przecież od nauki odstręcza, wskazując praktyczne korzyści innych zajęć.

Wobec obudwu wyżej przytoczonych artykułów, tém jaskrawiej odbija wstęp pracy (n. 22) pod napisem: „Co nam niedaleka przyszłość przyniesie.“ Uznając fakt, że masa żydów żyje w warunkach nieprzy-

jaznych postępowi, Izraelita uważa przecież, że zostawić rozwój oświaty czasowi, jestto na długo odraczać chwilę równouprawnienia, że tu dla przyspieszenia dodatnich rezultatów potrzeba koniecznie doraźnych działaczy. Do takich zalicza wychowanie musowe, objawia życzenie, by środek ten był u nas zastosowany, a tymczasem nim to nastąpi, „mamy na myśli prawo o obowiązującej wszystkich powinności wojskowej“. Powiada Izraelita: „Cały nieład obecnego wychowania ustąpić musi koniecznie miejsca trzeźwiejszym poglądom, zdro. wszęd dążności udzielenia dzieciom praktycznego wykształcenia, któreby im przydać się mogło w późniejszym, nieuniknionym peryodzie służby wojskowej“. „Wobec téj pocieszającej perspektywy witać nam należy prawo o gólniej powinności wojskowej, jako nową erę w cywilizacyjnym rozwoju ludu naszego w tutejszym kraju.“

Na szczęście Izraelita nie grzeszy zbytnią ścisłością w przestrzeganiu jednostajności i barwy poglądów swych współpracowników, więc w jego własnych szpaltach znaleźliśmy odparcie zarzutów wymierzonych przeciwko pięciu się na naukowe wyżyny z ujmą dla materialnych korzyści. W numerze 37 p. Bernard Pełtyn, student wydziału hist. filol., zwolennikom kariery odpowiada: „Kto w nauce szuka materialnego jedynie pożytku, niech lepiej zostanie rzemieślnikiem, inaczej uniwersytet zamieni się na warsztat, gdzie profesorowie piastować będą godność majstrów, a my studenci czeladników.“ „Ogół wspiera studentów, jako ludzi zajmujących się nauką, szerzeniem oświaty, ludzi, których działalność stanowić będzie dźwignię postępu i pomyślności w społeczeństwie.“ Niechaj tłumy tak myślących jak autor artykułu: „Jeszcze słówko w kwestyi studentów“; zalegają uniwersyteckie ławy, a braknie cieszących się z widoków, jakie artykuł: „Co nam niedaleka przyszłość przyniesie“ wskazuje.

Do dział wewnętrznych spraw oświaty między wyznawcami Staro zakonu należy rubryka zamianowana: „Z dziedziny obyczajowo-społecznej.“ W tym roku znajdujemy w niej artykuły: 1) *Kwestya zaręczyn*; 2) *O wychowaniu naszych panien*; 3) *Słówko do młodzieży uniwersyteckiej*. Tu autor zachęca do sumiennej a rozumnej pracy, gani pańszczyzniany wyrobek dla egzaminów, radzi brać się do przekładów, zachęca nawet do oryginalnych prac literackich. W artykule tym razi użycie wyrazów: „nasi t. j. izraelscy studenci“, między „naszymi“ studentami łączenia się nie dostrzegamy. Jeżeli gdzie, to między studentami niema „naszych“ t. j. izraelskich. Uniwersytet niweluje różnice, które tak wiele przyniosły nam wszystkim szkody ¹⁾. Bez oświaty dzieło społecznego uobywatelenia żydów dokonaniem nigdy nie

¹⁾ Nr. 30.

będzie, tolerancja wyznaniowa ani na krok nie postąpi. Jeżeli dziś żyd postępowy wstydzi się miana „żyd“ to dla tego, że jego współwyznawcy tak nisko jeszcze stoją, że stanowią jakiś anormalny dysonans w harmonii społecznej. Podać rękę zakłętą sferze zastoju, jest obowiązkiem przede wszystkim ukształcenijszej ludności żydowskiej, jakkolwiek żaden szlachetny i poważnie myślący człowiek uchylać się od tego nie powinien. Każdego, kogo to obchodzi, Izraelita wzywa by się w jego redakcyi poinformował, czém służyć może ¹⁾.

Wszystkie artykuły działu tego pisane z wewnętrznym zamiłowaniem przedmiotu i, o ile ramy publikacyi dozwalały gruntowne, początkowo podznaczone literami: M. St., w następstwie podpisem: M. Studencki, są opatrzone.

Znajdujemy też obok tamtych pewną liczbę artykułów religijno-filozoficznej i religijno-historycznej treści. Do takich należą: Religia i filozofia. Głosi się tutaj, że jedynie taka tylko filozofia może się zwać prawdziwą, „która ocierając z religii muł naniesiony ślepotą, łączy się z nią (domyślamy się tylko, że nie ze ślepotą, ale prawdopodobnie z religią) w przeczuwaniu najwyższej prawdy, drogą intuicyi i natchnienia.“ Zaiste ciemne, nie filozoficzne i wcale nie religijne zadanie (nr. 4). Proroctwo i poezja. Dowiadujemy się ztąd, że prorok żyje dla całej ludzkości, poeta zaś sam tylko dla siebie; prorok jest człowiekiem czynu, poeta słowa. Dlatego z ustaniem proroctw i poezji zamilkła w Izraelu, bowiem Opatrzność przeznaczyła ten naród dla humanizmu i poświęcenia się dla bliźnich. Trudno zgodzić się na takie zapatrywanie. U jednych czyn jest słowem, dla drugich słowo czynem. Prorok bywa poetą, poeta zwykle prorokiem. Przywłaszczanie też sobie pośaunictwa tak szczytnego a wyłącznego, jest prosto deklamacją a w gruncie rzeczy pomyłką, której przeczą całe dzieje. Artykuł ten podług D-ra Adlera opracował Joachim Leinhaendler (u-ra: 5, 6, 7): *Do charakterystyki pozytywizmu i idealizmu*. Bardzo gruntownie jak na szczupłe rozmiary pisma, opracowana krytyka: „Filozofii zasady bezwiednej“ E. Hartmana (u-ra: 28, 29, 31). Z czasu. Myśli ulotne. Wśród wstrząśnięć naukowych i społecznych obecnej epoki, trzymajmy oburącz pochodnię wiary i obowiązku! Oto treść tych myśli (nr. 42). Żywot myśliciela jakim był. Podług D-ra Coronela opracował Bernard Pełtyn. Starannie i dobrym językiem napisane streszczenie główniejszych spraw życia i rysów charakteru wielkiego myśliciela, którego piszący zwie Izraelitą na holenderskiej zrodzonym ziemi, gdy właściwie należy mu miano Holendra urodzonego i początkowo wychowanego w zasadach Mojżeszowego wyznania. Rodzice bowiem jego, przeniosłszy się z Portugalii, osiedli

¹⁾ Nr. 36.

stale w Amsterdamie, gdzie się Baruch Spinoza urodził, gdzie żywot pędził i zkad go do innych miejsc téj saméj ziemi prześladowania współwyznawców wyparły.

Z artykułów historyczno-religijnéj treści zasługują na wspomnienie: Sabatyanie w Siedmiogrodzie (N-r 42 i 43), Z zarania dziejów, Ustępny z 1-go tomu Historji Żydów Graetza, spolszczył J. M., Nie-skończony (N-r 49 i 50), Żydzi w Anglii. Z dzieła Juliusza Rosenberga: Studienreisen in England.

Najżywiéj, z prawdziwym zapałem i nieuniknionemi z tego powodu błędami, traktowanym jest dział polemiczny sprawom zewnętrznym międzywyznaniowym poświęcony. Składa się on z oddzielnych artykułów i zajmuje wiele ustępów rubryki pod napisami: Pogadanki, Kronika, Rozmaitości. W pierwszym zaraz numerze Joachim Lein- haendler w artykule: „Stosunek judaizmu do innowierców, podług D-ra Adlera” broni prawodawstwo żydowskie od zarzutu antyspołecznych, niehumanitarnych tendencyj. Zbija zakorzenione mniemanie, jakoby żydzi wszystkich innowierców za pogan uważać mieli. Najślusznijéj uważa, iż same teoretyczne dowodzenia pozostają bez skutku, gdy ich nie wspiera praktyka życia. Wzywa do porzucenia uprzedzeń. W odpowiedzi Przeglądowi Tygodniowemu Izraelita w tonie poważnym i umiarkowanym, zaśnania swych współwyznawców przeciw niesłusznemu znieważaniu ich mianem: „Obcych.” Kraj nasz i społeczeństwo winny patrzeć na żydów, jak na długo zaniedbywanego, a przez to wyróżniającego się niekorzystnie członka rodziny. „Starajmy się zło naprawić dźwignieniem kulturalnego stanu żydów, a staną się oni z czasem swojskimi dla cywilizacji kraju, jak nie są mu dziś obcemi we względzie składowo społecznym.” (N-r 2). Na to zgadzamy się wszyscy, tego pragniemy. Tym samym duchem tchną żale postępowego żyda. (N-r 6). Opiekun Domowy uznał żydów nader pochopnemi do wykonywania lekkomyślnie przysięgi. Izraelita odpowiada artykułem: „Krzywoprzysięstwo u żydów,” w którym źródło oskarżenia w łamiącej szyki nienawiści wskazuje, twierdzi, że krzywoprzysięstwo zdarza się „daleko rzadziej u nich, (t. j. żydów), aniżeli u chrześcian.” Tu gniew zaślepił Izraelitę. Nie wypadało nieprawdą płacić za zelżywość. Raczej należałoby poważnie zastanowić się nad przyczyną faktu, który może nie w miejscu przez Opiekuna przytoczonym został, o którego przecież istnieniu codzienna praktyka przekonywa i statystyka kryminalna świadczy, jak to sprawdzić łatwo w N-rze 22 Izraelity, gdzie podane są cyfry wypadków krzywoprzysięstwa na 10,000 ludności, a mianowicie u chrześcian 0,45 u żydów 1,9. Złączonemi siłami zło wypleniamy, w tym celu docierajmy do jego źródeł i tamować je usiłujmy, to nasza obywatelska powinność (N-r 9). Większém jeszcze zaślepieniem grzeszą ustępy artykułu pod napisem: Co mamy czynić? Nieprędko domyślilibyśmy się, co jest istotną, najbliżej leżącą przyczyną uprzedzeń przeciwko żydom,

oto: „Zawiść, zawiść współzawodnicza, którą postęp żydów w inteligencji, w znaczeniu, w bogactwie materialném i umysłowém, wywołał i w miarę swego rozwoju coraz zażarlij wywołuje.” A wiecież wy dlaczego między tym wybranym rodem geniuszów, dostojników, bogaczy, wydarzają się niekiedy zboczenia z drogi obyczajowej? Ani mniej, ani więcej, tylko z powodu „naśladownictwa, wyrostego na drzewie zjednoczenia!” Poznać siebie trudno, bo miłość własna nas nieustannie uwodzi; tę prostą maxymę polecamy pamięci ści-ganego nienawiścią wybrańca wybranego rodu! (N-r 14, 15, 17). W umiarkowańszym i przywoitszym tonie, choć równie nie bez śmiałej arrogancyi napisane są trzy artykuły zatytułowane: Kwestya żydowska (N-r 32, 34, 35).

Kilka uwag nad rozprawą: „Żydzi” w Przeglądzie Tygodniowym, zawierają zdrowsze na rzeczy poglądy. Pominawszy ideę rzutu potężnego naprzód mającego się dokonać działaniem prawa o powszechniej służbie wojskowej, zgadzamy się na wiele wywodów i podzielamy z autorem to przekonanie, że „dla człowieka zdrowomyślącego, kwestya żydowska, jako odrębna, nie istnieje u nas zgoła, istnieje ogólna kwestya bytu mieszczańskiej ludności, która, jako w kraju przeważnie rolniczym i mało przemysłowo rozwiniętym, szczupły ma zakres produkcyjnego działania” (N-r 40 i 41).

Oprócz wymienionych, znajdują się jeszcze dłuższe lub krótsze, mniej lub więcej poważne artykuły, które, jako niezawierające wybitniejszych różnic w poglądach na kwestye przez innych rozbieżane, dla skrócenia rozmiarów naszego sprawozdania pominęliśmy.

Nadto drukowano w tym roku powiesci: „Lekarz i jego córka,” tłumaczone, jak powiedziano przynajmniej, z francuzkiego, bez wymienienia autora; najprawdopodobniej wziętą z przekładu rossyjskiego w Wiestniku ruskich Jewrejew; „Rozdroże” nowella Leona Herzberga i t. d.

Reklamy zdarzają się w Izraelicie nietylko na ostatniej stronnicy w tak zwanych inseratach, często spotkać je można w rubryce pogadank pod skromną postacią zbijania niesłusznych zarzutów. Do rzędu tego rodzaju reklam należy ustęp 3 „Pogadank” w N-rze 47. Izraelita przytacza rozmowę między fanatykiem zawistnym wielkości adwokatów Mojżeszowego wyznania, a rozsądnym tolerantem, sypiącym naturalnie szczodre pochwały dla niesłusznie spotwarzanych. Obecni przyklaskują drugiemu wtedy, gdy pierwszy, pomrukując, za drzwi się wysuwa.

Co do języka Izraelity, zauważyć musimy, że w ogóle nie jest wzorowym, w niektórych nawet ustępach grzeszy zaniedbaniem. Pilniejsza baczność redakcyi, winna była nie dopuścić wyrażeń, które zdaje się, iż, oprócz użycia liter wspólnych, nic wreszcie wspólnego z językiem polskim nie mają. Dla przykładu przytoczymy niektóre: „Różnice między człowiekiem mało pomadu zni-kać będą, człowiek stawać się będzie podobniejszym do bliżej mu

stojących zwierząt" (str. 16). „Gruba ćma zaległa horyzont religijny" (str. 26). „Posiadanie mowy warunkowuje myśl, strony względne wzajem się warunkujące" (str. 365) (str. 43). Nic nie zbija zarzutów dyktowanych uprzedzeniem." „Dwie motywy nim powodują" (str. 83). „Ameryka jest nietolerantną" (str. 123) „szło o motywę do krzywdzenia" (str. 133). „Podział społeczeństwa na sfery, klasy, słoje i sloiki" (str. 160), „Żydówko oświaty" (str. 164). „Bezkontrolność, „Bezkontrolne śluby" (str. 168). Dochód ogólny dalekim się okazał od nadziejnych założeń," a niepowodzenie takie przypisuje się: „Aurycznym warunkom" (str. 207), „Nie mogąc już powtórne zawrzeć związku" (str. 215), „Jeśli dostaniemy kiedy syna" w znaczeniu, jeśli mieć będziemy (str. 226).

Niepoprawność mowy stanowi jeden z zarzutów, a zarazem najczęściej przedmiot szykany i temat różnorodnych dowcipów, szerzących się kosztem naszych współobywateli Mojżeszowego wyznania. Izraelita najpilniej u siebie poprawności tej przestrzegać winien.

Zdając sobie sprawę z całości tegorocznej seryi Izraelity, przyznać musimy, że o ile zdołał, starał się zbliżyć do wysokości oznajmionego na początku zadania. Przeciw zacofanym współwyznawcom zwracał powagę opartych na przepisach religii dowodzeń, karciał występki przewodników chasydowskich towarzystw, wielokroć odstał nadużycia, gromił wyzyskiwanie. Postępownym nie zaniedbywał wytykać ich lekkomyślności i braku cnót obywatelskich. Wszystkich bronił z zaciętością, uciekając się nieraz do krzyżów w cięciach sztuki, a niejednokrotnie też broń składając, rzucał słowa pokoju, przebaczenia i miłości. Nawoływał wszystkich współwyznawców do pełnienia obywatelskich obowiązków, inowiercom dawał uczuć niesprawiedliwość ich postępowania.

W sprawach religii i oświaty zabierał głos, ilekroć potrzebę swoich miał na widoku. Nie pomijał ważniejszych u siebie i na obczyźnie postępów. Mało zajmował się sprawami ogólniejszemi, o ile te bezpośrednio współwyznawców nie dotyczyły, co wytłumaczyć się daje specjalnością jego zadań i istnieniem wielu organów, z których wiadomości ogólne czytelnicy jego czerpać mogli. Wszakże na uroczystość Kopernika wraz z wszystkimi uderzył w dzwony chwały.

Wady i usterki są każdej ludzkiej pracy udziałem: poznawanie ich i usuwanie drogą do doskonałości.

W ogólnym przecieży rezultacie, widzimy dodatnie korzyści Izraelity. Obywatele innych wyznań z ciekawością dowiadywali się o pokrywanych dotąd tajemnicą zasadach dzisiejszych wyznawców Starego zakonu; ci znowu w sprawach religii swojej i ogólnej oświaty z dobrego źródła czerpali objaśnienia.

Adolf Peplowski.

PRZYJACIEL DZIECI.

Pismo tygodniowe, redagowane przez Jana Kantego Gregorowicza.

Nie wiem, czy jakiegokolwiek pismo pochłubić się może tak gorącymi sympatjami swoich czytelników, jak „Przyjaciel dzieci”. Co sobota od godziny 3-ciej po południu młode pokolenie zaczyna się niecierpliwie i przy każdej zręczności uprasza służących, by nie zapomnieli wstąpić do kantoru po odbiór nowego numeru. Czekało się przecie cały tydzień na wiadomość, co pocnie dalej „Pożar Stepu”, jakie były dalsze przygody króla Ryszarda, czy trafnie odgadnięto znaczenie szarady!

Tak wielką władzę nad umysłami publiczności swojej zdobywa sobie Przyjaciel rozmaitością treści, trafnym doбором artykułów, a najbardziej może szczerą miłością dla dziatwy i serdecznym z nią stosunkiem. Uwydatnia się to szczególnie w korespondency. Mali prenumeratorowie zasięgają często rady co do książek szkolnych, opowiadają zajścia swoje z rówieśnikami, siostrzyczkami, braciszkami, nadsyłają często własne utwory prozą lub nawet wierszem, dowiadują się o zdrowie jakiejś niepospolicie mądrej kotki Zosi (znajdującej się rzeczywiście w redakcyi), zapytują dlaczego dziewczynki otrzymują w odpowiedziach tytuł „panienki”, a chłopcy są nazywani tylko po imieniu i t. p. Przyjaciel rozstrzyga wszelkie takie kwestye z przedziwnym taktem i dobrocią, a jeśli mu się zdarzy wyjechać z Warszawy, nie zapomina uprzedzić swych korespondentów, że nastąpi zwłoka w odpowiedziach.

Zaznaczywszy stanowisko pisma względem czytelników, do których przemawia, przejrzyjmy treść zeszłorocznego kompletu ze stanowiska pedagogicznego.

Przeważną stronę tej treści, stanowi belletrystyka w postaci opowiadań, bajek, powiastek i wierszyków dla małych dzieci, oraz większych powieści i poczyti dla starszej generacyi (od 10 do 14-u lat). Podział ten na dwa wieki jest przestrzegany ściśle, przy każdym bowiem numerze znajduje się dodatek powieściowy, ale starsi dostają powieści w numerach parzystych, młodszy zaś w nieparzystych. Z większych powieści szczególnie interesującymi i pożytecznymi zdają się nam być: „*Pożar stepu*” p. Idę Haacke, tłumaczona z niemieckiego. Autorka opowiada o porwaniu młodej dziewczyny przez Irokezów, o szlachetnej opiece, udzielonej przez jednego z dzikich i o wyzwoleniu branki przez oddział białych osadników. Charakterystyka dzikich, obrazowa, poetyczna mowa głównego bohatera, dzielność osadników, czyli „kresowców” (nazwa ta zresztą nie jest zupełnie trafną i zrozu-

miałą), niezwykle przygody i niebezpieczeństwa nadają powieści tej żywy interes. Z treści przypomina ona sławne romansy Fenimora Kupera. Z niemniejszą ciekawością czytają się dwie powieści utalentowanego pisarza angielskiego Meina Reida: *Dary Oceanu* i *Wyprawa na żyrafy*. W pierwszej znajdujemy nader żywe opisy rozmaitych ryb i ptaków morskich, wplecione zręcznie w opowieść o zapasach rozbitków to z falami oceanu, to z rekinami, to znów z wielką tratwą, na której płynęli niegodziwi współtowarzysze. W drugiej zawierają się obrazy Afryki i charakterystyka przyrody zwrotnikowej.

Należy się uznanie troskliwości redaktora, że uprosił J. I. Kraszewskiego, i panu Kraszewskiemu, że zechciał napisać dla dzieci powieść p. t. *Bracia Mleczni*. Temat jest dla pisma pedagogicznego bardzo właściwy: bogaty panicz przygarnął szlachetnie rówieśnika, sierotę, wyjednał u swych rodziców koszta na wychowanie jego, ten zaś w późniejszym czasie wywdziękzył się godnie nieograniczonym poświęceniem i podaniem skutecznej pomocy dawnemu dobroczyńcy w chwili najdotkliwszej niedoli. Rozwinięcie tego tematu jest bardzo zajmujące; czytelnik w dojrzałym wieku może ją czytać od deski do deski z wzrastającą wciąż ciekawością. Niewątpliwie powieść ta mogłaby ozdobić karty każdego czasopisma. Poważamy się jednak wypowiedzieć parę zarzutów, a to ze względu na specjalne przeznaczenie utworu dla młodocianych czytelników. Tak naprzykład nie umiemy domyślić się dlaczego w pierwszych rozdziałach, poświęconych opisowi szkolnego życia braci mlecznych, autor zajmuje się przeważnie gronem nauczycieli, nie zaś studentów? Dla czego typy nauczycieli są skreślone w sposób humorystyczny, a jeden budzi nawet odrazę. Dyrektor szkoły, pan radzca, w gruncie dobry człowiek, wygląda przecież śmiesznie, gdy boi się narazić sobie kogokolwiek, gdy schlebia panom, gdy bieży w „białych rękawiczkach, z orderami“ do pani prezesowej, gdy ją raczy w swoim domu lichą herbatą. Najszlachetniejszy z całego grona professor Narymund ma zacne serce, i wywiera podobno wyborny wpływ na umysły swoich wychowaućców (*podobno*, powiadamy, ponieważ działanie jego odbywa się za kulisami i czytelnik dowiaduje się o nióm tylko z krótkiego opowiadania); ale te zalety mogłyby się mieścić w charakterze mniej niezaradnym. Szanowny pedagog zaledwie potrafił się obronić od służącego pijanicy, a po rozstaniu się z prezesowiczem wraca na dawne mieszkanie „by pójść znów pod panowanie Benedykta“, pogrąża się w samotności, prowadzi życie ekscentryczne, „zdiwaczał“. Koledzy musieli złożyć się pocichu na grób i kamień prosty. Iuni dwaj nauczyciele „grzeszyli potrosze tém, że każdy z nich ukochał swą naukę miał za jedyną godną tego nazwiska“. A jakż to szkoda, że czarny charakter powieści, p. Suchorowski, występuje na widownią jako nauczyciel prezesowicza. Dzieci nie bardzo rozumieją, czy jest co nagannego w pisaniu „historii tekstów Horacyusza i wydań tego poety“, lub w staczaniu walki „o metody nauczania, o książki szkolne, o wykła-

dy“, lecz oburzać się muszą na przewrotne, złośliwe i niemoralne postępowanie Suchorowskiego z pupilem. Szczęściem nie wywarł on żadnego wpływu na charakter młodzieńca. Nieszczęściem zaś, że ten przewrotny człowiek jest widocznie zdolniejszy i zręczniejszy od zacnego Narymunda i od dyrektora. Bo oto po kilku czy kilkunastu latach ten sam pan Suchorowski jest bogatym dziedzicem, marszałkiem szlachty i trzęsie całym powiatem. Nie przestaje być złym człowiekiem, ale w końcu, gdy brat mleczny prezesowicza, dorobiwszy się w krótkim czasie niezwykle świetnego stanowiska, udaremnił jego intrygi, Suchorowski zaczął się sprawować bardzo przyzwoicie. „Majątku dorobił się znacznego, urzędował póki chciał, i dynastją Suchorowskich postawił na stopniu znakomitym w powiecie“. Zestawienie takich typów niewątpliwie może rozbudzić w młodzieży dążenia krytyczne względem nauczycieli, ale nie podaje jej przeciw sposobów do przeprowadzenia reformy, do wyplenia chwastów w gronie pedagogów; nędzny zaś żywot Narymunda i świetne powodzenia Suchorowskiego tworzą zbyt skomplikowaną, jak na dziecinne umysły, zagadkę etyczną.

Dział *poezji i wierszy* jest bardzo obfity. Zasilają go najczęściej pp. Jerzy Laskarys, Antoni Pilecki, Wabner, Juljan Miłkowski, Józef Chmielewski, L. Niemojowski; ostatni najczęściej tłumaczy lub naśladuje bajki Kryłowa i najbardziej popularne wierszyki z książek szkolnych rosyjskich („Jutro“ w N-rze 32, „Kucharz dużo gada, kotek pieczeń zjada“ w N-rze 43); panie Józefa Kamocka, Janina Piątkowska, T. Prażmowska i kilka anonimów. Zamieszczono też dwie gawędy W. Syrokomi; „Cieśla“ i „Garść pszenna“. Zwykle treść utworów wierszowych jest zupełnie dla młodego wieku stosowna, moral w nich piękny, częstokroć wzniósły, a zawsze czysty. Nie zgodzilibyśmy się tylko na zbyt materialną i zbyt kowną zachętę do pracy w wierszu „Piernik“ (N-r 3, str. 34), gdzie „Ciocia za takie przymioty, drugi raz w miejsce piernika przyniosła zegarek złoty“. A zdziwił nas niepomatu wiersz „Dwaj aniołowie, przez trzynastoletnią Terenię M.“ Są tu rzeczywiście poetyczne zalety w pomysle, w stylu obrazowym i poprawności wiersza, ale jakże tu zrozumieć nastrój ascetyczny w tak młodej dziewczeczce:

„Iluż jest ludzi, których dusza w łonie
Z niecierpliwością czeka wyzwolenia?
Bo iluż zbrzydło więzienie cielesne,
Iluż złamało cierpienie bolesne?
Tym to otwierasz drogę do zbawienia,
Tym to przyśpieszasz nagrodę tam w niebie“ (Nr 9, str. 100).

Bierze nas pokusa przypuścić, że redakcja została w błąd wprowadzona co do wieku autorki. Jeśli jednak panna Terenia rzeczywiście liczy lat 13, toć trzeba rozciągnąć troskliwą opiekę nad jej znikomym serduszkim i myśli jej nadać mniej rozpaczliwy kierunek.

W dziale naukowym na pierwszym miejscu położymy „Wycieczkę do Ojcowa“ przez p. Teresę Jadwigę. Dziadzio, wioząc swe wnuczęta do Olkusza, Grodziska, Skały Ojcowa, umie w sposób zajmujący opowiedzieć historyczne wspomnienia z temi miejscowościami związane, o Łokietku, Henryku Brodatym, Konradzie Mazowieckim, Janie Kazimierzu, zwraca uwagę na zjawiska przyrody, wskazuje geologiczne znaczenie grot Ojcowskich, nie zaniedbuje stosownych nauk moralnych. „Pogadanki z Ojcem“ obracają się przeważnie w kole nauk przyrodniczych; pan Łanowski oprowadza dzieci po ogrodzie Botanicznym i gabinecie Zoologicznym, a czasem wtrąca wspomnienia historyczne (np. z powodu żubra na Wilnie i Gedyminie). W ogóle z zoologii i botaniki artykuły są liczne, zwykle rysunkami objaśnione. Pod rubryką „Przemysł i fabrykacja“ znajdujemy artykuły o fabryce stalówek Hinksa i s-ki w Birmingham, o papierze i papierniach, o porcelanie saskiej, sewrskiej i o garncarstwie, o fabryce zwierciadeł w St Gobain, „Z czego się to płótno robi“ i t. p. Większa część artykułów przyrodniczych i technologicznych nosi podpis H. K. Tenże autor podaje nie mało artykułów treści historycznej ale historykiem widocznie nie jest. W artykule np. „Karol V w klasztorze“ (Nr 7) na jednej stronicy zmieścił i genealogią Karola, i wychowanie jego, i wojny z Franciszkiem I, i wyprawę na Tunis i sprawy protestanckie i abdykacją. Oczywiście stronnica ta jest chaotycznym rejestrem imion i dat, o pobycie zaś Karola w klasztorze znajdujemy zaledwo 7 wierszy, a i tych treść wzięta z rysunku, do którego właśnie potrzebne było objaśnienie (na rysunku Karol stoi przed zegarami, i w tekście powiedziano, że gogniwała niezgodność zegarów). Lepszy trochę, bo przy najmniej zrozumiały jest artykuł o Cezarze (N. 41), chociaż i tu moment główny—walka ze stronnictwem Pompejusza, zaszkiecowana zbyt pobieżnie (nie ma nawet wzmianki o bitwach pod Thapsus i Mundą).

W ogóle artykuły historyczne najwięcej pozostawiają do życzenia, tak pod względem układu, jakoteż korekty. Tak np. w anegdotce o Appiuszu jeden z członków drugiego tryumwiratu nazwany jest „Lepidjus“ (str. 103) zamiast Lepidus; w opisie siedmiu cudów świata wyspa Rodos nazywa się „Rodes“ (zapewne z francuzka), wódz arabski Amru—„Amrusem,” Ptolemeusz Filadelf—Ptolomeuszem Filadellem“ (str. 428).

W artykule „Pasterz z wioski Montalte“ (zapewne Montalto) p. Teresa Jadwiga skreśliła biografią papieża Sykstusa V (1585—1590), który, jak wiadomo, był synem bardzo ubożego wieśniaka, a na stolicy apostołskiej zasłynął jako energiczny i surowy administrator. Autorka nie żałowała najjaśniejszych wyrażen dla podniesienia téj postaci i wpadła w przesadę: zowie go „łaskawą opatrnością dla ludu, którego ojcem został“, przypisuje mu zasługę, że „uratował od upadku zagrożony kościół“. Cóż autorka rozumie pod upadkiem? Oto: „duch pychy i niewiary budził się zewsząd, wszędzie tworzyły się se-

kty religijne, które liczyły coraz więcej wyznawców“ (s. 209). Można więc mniemać, że Sykstus reformacją stłumił i sekty uprzętnął. O tém przecież historya nie wie. Sykstus uczynił wiele dla Państwa kościelnego przez wytepienie band rozbójniczych, zapomocą nieubłaganéj surowości, graniczącéj czasem z okrucieństwem, oraz przez zgromadzenie wielkich skarbów w zamku św. Anioła przez podniesienie ceny za sprzedawane urzędy i przez podniesienie podatków. Ozdobił miasto Rzym wielomagmachami, ale téż zabierał się z niemniejszą energią do burzenia pomników starożytnych. Nie rozumiemy jakim sposobem autorka mogła skojarzyć w osobie Sykstusa V „wielką dobroć“ z niezłomną jego energią. Niepotrzebnie téż mianuje go „wielkim inkwizytorem Wenecyi“, kiedy w istocie był tylko radcą (consultor). I na tym przecie urzędzie trudnoby było utrzymać się człowiekowi „wielkiéj dobroci“. W powiastce „Majówka“ August II nazwany jest królem Saskim (s. 285), kiedy, jak wiadomo, tytuł królestwa nadany został przez Napoleona I. dopiero w 1806 r.; w artykule „Pochód niewolników saraceńskich“ p. F. J. powiada o Piotrze Pustelniku, który, jak wiadomo, odznaczał się bardzo niepoczesną powierchnością: „Poważna postać starca wzbudziła powszechné poważanie“ (str. 4).

W tłumaczonym z niemieckiego artykule: „Obrazy Egiptu“ znajdujemy jakieś „wypukłe“ rysunki na ścianach i „wieżach“, a nawet powszechnie już znany posąg Memnona nazywa się tu posągiem Nemnona (s. 341), w inném miejscu dowiadujemy się, że Arabowie zniszczyli piramidy w nadziei, że zagarnąć zdołają ukryte w nich skarby (s. 404).

W ogóle co do artykułów z historyi powszechnéj radzilibyśmy brać wyjątki lub skracać ustępy ze znakomitych pisarzy np. Thierry'ch, Macaulay'a, Prescottta, Guizota (np. Historyi Francyi dla wnuczków opowiedzianéj), Rankego i t. p. posługując się istniejącemi już u nas tłumaczeniami, lub tłumacząc z większą niż teraz pilnością. Lepiej się udają Przyjacielowi opowiadania historyczne np. Gustaw Waza, Krystyna Szwedzka. Do najszcześniejszych jednak pomysłów należy streszczenie romansów Walter-Skotta w zaczętej na ten rok powieści historycznej „Wyprawa króla angielskiego Ryszarda“, o którą młodzi prenumerotorowie upominali się niejednokrotnie u redakcyi, znając początek téj pracy z 1872 r.

Dział podróży i opisów geograficznych jest dostatecznie urozmaicony i w ogóle zajmujący. Nie wiemy tylko na co się przyda dzieciom opis opactwa w Jumièges (dodany chyba dlatego, żeby zużytkować kłiszé francuzką). W opisie Moskwy niezrozumiałym być może dla dzieci styl napuszysty, np. „Jakiś rodzaj niemego podziwienia przeniknie wędrowca“ (zbliżającego się ku miastu): „Moskwa groźna jak lwica stanęła na wyłomie (w 1812 r.), wznosząc hardo czoło, ogłosiła dzwonami światu, że bronić się pragnie ogniem, że zdolna do ofiary“ (str. 174, 175). Nie możemy się domyślić z jakich źródeł czerpany

jest artykuł, zapewne nie z rosyjskich, ponieważ trafiają się tam błędy krzyżące, np. że han astrachański obległ to miasto „z milionową tłumszą“, ludność mieczem wyciął i wyludnił w 1571 r., kiedy haństwo astrachańskie już nie istniało, podbił je bowiem Car Iwan Groźny w 1555 r. Niemieckiego zapewne pochodzenia jest artykuł „Krym“ (str. 379); wnosimy to z frazesu: „Tu rozrzucone malownicze tatarskie chaty, tam skały, tu zielone wzgórza, tu tatarski *Moschee*“ (ma znaczyć zapewne meczet). Niepotrzebnie też góry krymskie (Jajła) nazywane są „Jarla.“

Życzyłoby należało, żeby ilość błędów mogła być zmniejszoną, nie wytaczamy ztąd wszakże surowego oskarżenia przeciwko redakcyi, ponieważ pismo peryodyczne służy tylko do pobieżnego odczytania, a żadne dziecko nie będzie go używało do nauki. Usterki te zacierają się licznemi zaletami, a szczególnie różnaitością treści, zaciąg dążnością i ciepłym uczuciem, więcej z każdej niemal karty na serca młodościane.

Tadeusz Korzon.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Wcielenie Infantów do Litwy i Polski 1558—1561 roku; napisał Stanisław Karwowski D-r filozofii, w Poznaniu 1873, str. 112.

Zależało znać wiele autorowi w rozprawie rozwoju dalszym, na tém kategorijskim określeniu już w samym jój tytule, iż „wcielenie,” o którym ma mówić, wpierw nim Infanty przez Litwę weszły do jednéj spójni z Rzeczpospolitą, do nabytków wyłącznych Litwy, zaliczać się było powinno, czyli do prowincyi dotychczas z nią unią jedynie osobistą i administracyjną złączonéj; powtóre, iż nie chodziło to na podobieństwo następnie przywrócenia do dawnéj swéj jedności ziem pruskich za Kazimierza Jagiellończyka, o wcielenie dzielnicy pobratymczéj, lecz zasiedziały od trzech wieków nad Bałtykiem, ongi przez kawalerów mieczowych założonéj „kolonii niemieckéj,” nateraz bez poparcia ojczystéj Germanii, między trzema wrogami potęgami o własnéj sile utrzymać się niezdolnéj. W tymto sposobie przedstawia się nam idea przedewszystkiém ze źródeł swéj szkoły niemieckéj, przezeń poczerpniona. Nie brał wprawdzie za cel pisma, rozwijanie obojga kategorijskich w dowodach; ale w przytoczonych dowodach, do ciągu rzeczy potrzebnych, każe im, jak najwyraźniéj przeświecać. Więc téż nie ośmielilibyśmy się pracy jego, za przyczynek do dziejów ojczystych właściwie poczytać: raczylibyśmy w tém jego usiłowaniu dopatrywali cele ujemne, z zasadami dotychczas nam znanymi sprzeczne: szkoła niemiecka w mnóstwo niespodzianek podobnych obfitująca i idea czysto-niemiecka, chętnego znowuż pozyskująca krzewiciela.

Mając pod ręką niniejsze wypracowanie p. Karwowskiego, nie możemy na chwilę spuszczać z uwagi rozprawę J. N. Romanowskiego na kilkanaście lat przedtém pomieszczonéj w Rocznikach Towarzystwa nauk poznańskiego (w tomu 1-szym od str. 329 do 401) pod napisem: *Wojna Zygmunta Augusta z zakonem infantyjskim r. 1557*: przedmioty obojga bowiem rozpraw, w bezpośrednim są z sobą związku, a zasady, z których wychodzi praca poprzedzającego pisarza, na takim gruncie się opierają, iż śmiało do téj pracy odwołać się godzi

w każdym razie, ilekroć pisarz późniejszy podsuwa nam wyobrażenia obce z rzeczywistością, jaka udowodnić się daje, niezgodne.

Nie potrzeba już o tém mówić, iż do wielorakich autentyków krajowych należy dopełnienie całej przeszłości dziejów nadbałtyckich, które najnowszego badacza, zdają się bynajmniej nie obchodzić. U niego plemiona tubyłe, od kilku wieków napływowym orężem niemieckim, pod względem krzewienia wiary chrześcijańskiej, wytepienne, do rachunku wcale prawie nie wchodzą. Taki mały ustęp o powstaniu chłopów inflantskich, jakby od niechcienia (od str. 66) i nawiasem kreślony, bardzo niedostateczny wyjątek stanowi. Pierwszy lepszy z innego zasadniejszego źródła wzięty przykład, mówi o rzeczach w rozprawie p. Karwowskiego bez uwzględnienia pomijanych. Przytoczmy tu pobieżnie kilka słów z księgi 16 *Dziejów Rzeczypospolitej* przez Moraczewskiego: „Biskupi i krzyżacy ochrztili te kraje, w rządzie i po miastach zniemczyli, lecz u ludu tak w Estonii, jak w całych Inflantach ocalały języki krajowe czuchoński i łotycki, a nawet chrześcijaństwo puściło nie do głębi korzenia, gdyż duchowni niemieccy dumni ze swej narodowości, mało się zajmowali w niewole zakutym mieszkańcem wiejskim” (t. 4, str. 214). Wzmiankowany dopiero Romanowski, od tego pojęcia zaczyna swą rozprawę, iż „wojna Zygmunta Augusta z zakonem inflantskim, jest w swych następstwach ogniwnem, łączącym losy krainy Inflantskiej z losami Polski.” Cóż dokładniej wyrozumianego natomiast podstawią nam autor rozprawy: *O wcieleniu Inflant do Litwy i Polski?* Trochę tej erudycyi ze źródeł niemieckich na teraz, od niejakiego czasu przy najmniej, stających się dla nas monetą zdawkową. Bo widzimy to z przytoczeń, iż miał wprawdzie niekiedy pod ręką pomnikowe studjum Hylzena pod napisem *Inflanty*. Matymto dla niego zasobem taki materiał krajowy: woli źródła bliższe na chwilę dla siebie, ich skazówki pewniejszą stają się dlań rękojmią. Więc zbacza i na źródła ojczyste ogląda się już tylko niechętnie.

Od takich głównych pobudek zaczyna właśnie swą przedmowę do dzieła. „Myśli w pracy niniejszej rozwinięte, rzucił on już był w rozprawie inauguralnej:” *De Livoniu imperio Sigismundi Augusti regis Polonorum subjecta* r. 1870. Pochlebne ocenienie téjże „przez fakultety filozoficzne w Hali i Wrocławiu, zachęciło go do głębszego zbadania ustępu dziejów, który sobie obrał za przedmiot studyów.” Czemużby nie mógł być wprost powiedzieć, iż studia swe zwraca ku temu celowi, ażeby, nie ograniczając się do jednego wyjątkowego przedmiotu „wojny Zygmunta z zakonem,” stanowiącego zakres badań poprzednika swego (Romanowskiego), uzupełnić obraz stanu Inflant przed wojną i po wojnie? Wszakże potrzebę tę wskazywał sam przedmiot, niezależący jedynie na dołączeniu szczegółu do szczegółu; ale prawdopodobnie mający się okazać wkońcu niedostatecznie wytraktowanym, dopóki nie zawarł sobie względu tak żywotnego, jak obrazu plemienia, które od wieku do wieku uczuwało nad sobą

ucisk zwierzchności narzuconej, ucisk, jako bodziec największy do zrzucenia z siebie jarzma, przy pierwszym widoczniejszym zachwianiu się w podstawach zakonu nienawistnego. W tym surowym stanie, jak nam rzecz swą przedstawia p. Karwowski pomimo całej biegłości pisarskiej i ozdób stylu niezaprzeczonych, trudno jest nam poprzestać na dwóch kategorycznych wnioskach wyżej wymienionych, a jakoby według jego założeń, mających się uważać za pewne, przy tém dorywczém nawet na nie wejrzaniu. Jakoż przywiedziemy tu na dowód kilka następných w téj treści jego orzeczeń (str. 61).

„Oddał się mistrz wraz z całym podlegającym mu krajem w klientelę i opiekę króla polskiego, z dodatkiem: *non derogando Sacri Romani Imperii directo Dominio*. W zakład ustępowano królowi całego kraju, który się ciągnie od granic Litwy wzdłuż rzeki Dźwiny aż do Aszeradu, z wyjątkiem tego grodu z przyległościami, położonych po obudwóch brzegach Dźwiny. Zajmował król, oprócz tego zamki pod tym warunkiem, że *Inflantczycy, przechodzący pod rząd (?) W. X. Litewskiego*, pozostaną przy swych prawach i przywilejach.”

Str. 62. Był to początek upadku wolności i samodzielności Inflant. (tego już zanadto!) Inflantczycy uczynili ten krok stanowczy z przymusu, bo *ich ojczyzna niemiecka* opuściła ich... *Po drugi raz niemieckie kolonie nie znalazły w Niemczech podpory...* (Czy pod taki tytuł podciągnąłby następnie ziemie pruskie, dzione przez krzyżaków za panowania w Polsce Kazimierza Jagiellończyka?)

Str. 63. Zastanawia, dlaczego (Zygmunt August) poprzestał na zajęciu tylko południowych Inflant: już raz przecież żałowano, że wypuszczono z ręki sposobność opanowania całego tego kraju, a żal ten odzwierciadla się w słowach Bielskiego: „Bardzo chcyemy tedy sobie nieprawi, żechmy tego nieuczynili: zaczymechmy one (Inflanty) ku zgubie, a Rzeczypospolitęj ku zatrudnieniu przywiedli.”

Jakże pogodzić z owém pojęciem o koloniach niemieckich, tracących przy tém poddaniu swą samodzielność, z mimowolném potraceniem przez autora o krajowców rzeczywistych, gdzie, mówiąc o powstaniu chłopów (str. 67), wyraża się sprzecznie: „Okropne było położenie tych ludzi w Inflantach: uciskani i wysysani przez szlachę niemiecką, nie mogli nawet uskarżyć się nikomu *biedni potomkowie Łotyszów i Estonów?*” str. 68 „Nienawidzili z całego serca swych niemieckich panów, którzy pozbawili ich własności i wolności.”

A pod względem idei przechodzenia pod rząd W. Ks. Litewskiego, zanotujmy takie znów mimowolnie dobywające się u niego na jaw sprzeczności. str. 86. „Więc i Litwini zaczęli uznawać, że trzebaby wspólnemi siłami bronić Inflant, ale Polacy, pomni przechwałek litewskich, trzymali się z dala, *udając, jakoby sprawa inflancka ich się nie tyczyła.*”

Konkluzya najwalnniejsza w duchu nadmienionej wyżej propagandy obcej idei na dobie (str. 104). „Dziwna rzecz, że po trzystu

latach od owych wypadków, *Niemcy w Inflantach* zwracają wzrok błagalny na ów dom brandeburski i t. d.

Ostatecznie więc już tylko, co do wyosobnienia samodzielnych rządów Litwy, nie da się pogodzić i takie tłumaczenie myśli Zygmunta Augusta (str. 108): „Potrzecie, szło Zygmunтови o to, aby Polacy czynny mieli udział w handlu bałtyckim i wywozili na własnych okrętach towary do obcych krajów, *omijając wszelkie pośrednictwo.*”

Pokazuje się ztąd, że jakiegokolwiek ukryte zamiary władnęłyby piórem naszym; same fakta, dobyte na jaw, rzecz niewłaściwie nadciągniętą, obalają w zasadzie.

A przecież i z dowodów skupionych w tém *dwukrotnie prze-rabianém i dorabianém piśmie* (dorabianém zaś, można powiedzieć spiesznie, a przez to nieraz i niedokładnie), wiele posłużyć może do wyjaśnienia kwestyi, ponownie jeszcze kiedyś zawiązać się mogącej. Nie ulegają one zaprzeczeniu tak w obecnej rozprawie, jak w rozprawach innych znajomych.

Z. K.

Na Pochyłości. Powieść w dwóch tomach, napisał Bolej Krut (Edward Lubowski). Warszawa, 1874 r.

Nasze pokolenie najmłodsze już dziś prawie nie wierzy, by kiedy mógł istnieć świat, któryby nie znał kolei żelaznych, telegramów, fotografii i t. p. Wszelka nowość, wszelka największa nawet niespodzianka w rozwoju rzeczy wydają się z czasem proste, konieczne i naturalne. Ileż podobnie co dnia otacza i spotyka nas szczegółów, które nam wszystkim równie zdają się i proste i naturalne, a które jednak długo i nader długo miejsca nie miały. Nie wyszukując daleko weźmy np. i ten objaw, który w tej chwili mamy przed sobą: *powieść*. Biegły wieki, biegły literatury, a świat nie znał i nie czytywał powieści. A dzisiaj? dziś niéma podobno kraju, a przynajmniej niéma literatury, w którejby z każdym rokiem, miesiącem, i zaledwie nie dniem nie ukazywała się nowa powieść, powieść oryginalna. Tej nowości, takiego zjawiska, jakiz być może powód? Cokolwiek jest, nie bez powodu jest, tém samém i nie bez celu. Być może, iż celem tym jest stopniowe uzdolnianie pojęcia ludzkiego do rozwikływania harmonii w odmętach i mętach przygód? być może, iż stwarzanie narzędzia do powszechniejszego działania na rodzaj myśli i uczuć? Jakbykolwiek być miało (rozbiór kwestyi tej nie jest wcale tą rzeczą naszym zadaniem), gdy jednak fakt tych granic i takiej treści tém więcej być nie może bez swoich celów, tedy i zatrzymanie się nad każdą tej treści szczegółem nie może być zbytniém.

Mamy właśnie przed sobą jedną z najnowszych powieści naszych, a która nietylko jest nową, ale zarazem z zadania i wykona-

nia i owych obu celów, o których powiedzieliśmy, jest niejako wyrazem, nie tylko bowiem jak wszelka inna jest kreśleniem przygód, ale jak wskazuje jej napis, ma za przedmiot i pewną przestrożę moralną.

Przytoczymy tu w kilku słowach tę treść i objaśnimy bliżej jej cel i dodamy zarazem parę praktycznych uwag o jednym i drugim. Powieść *Na Pochyłości* nie jest to, mówiąc właściwie, powieść psychologiczna, historyczna lub fantastyczna; jest zaś, jak największa część dzisiejszych naszych powieści, towarzysko-praktyczna, t. j. jest kreśleniem i odbijaniem dziejów i scen nam współczesnych, familijnych, potocznych. Treść jej jest w głównych rysach następująca:

Rzecz się dzieje w okolicach nad Sanem w Galicyi. Główną rolę w obrazie gra dom niejakich państwa *Ślizgalskich*, a mianowicie córka ich *Felicja*. P. Ślizgalski był to szlachcic zamożny, ożeniony z osobą zamożną, a otoczony wkrótce liczną rodziną, prowadził dom otwarty, gościnny, nader gościnny, nie zważał na wydatki, pożyczki (te mu ułatwiał zawsze najchętniej, Rotszyld okolicy, żyd *Silberberg*) i nie spostrzegł się pierwój, aż kiedy dobra jego zostały wystawione na sprzedaż i kiedy za dni kilka miał już tylko zostać właścicielem licznój rodziny. P. Ślizgalski był zroszczony, jednak nie pani Ślizgalska; od niejakiego bowiem czasu częstym gościem w ich domu i starającym się jawnie o rękę ich córki Felicji, był bogaty ich sąsiad baron *Wetter*. Ten baron *Wetter* pochodzący z familii od wieku już osiadłej w Galicyi, ale z wychowania trochę Anglik, młody, przystojny i który „pierwszy w okolicy zaprowadził był gospodarstwo postępowe“ był przedmiotem zabiegów i admiracji wszystkich matek i córek; nie miał szczęścia podobać się jednak Felicji, czemu? podobał się jej bowiem był raoczej młody dzierżawca sąsiedniej wioski *Henryk Modlicki* „otwartością rozmowy, spokojem wewnętrznym“ oraz „obejściem skromnym, pełnym godności.“

W sąsiedztwie państwa Ślizgalskich wśród innych domów znajdował się też dom *Księżstwa M.* Książę M. poślubił był już od lat kilku młodą osobę hrabiankę „olbrzymiego posagu, piękną, pięknością arcydzieł greckiej sztuki“, „u stóp której rój najświetniejszej w kraju młodzieży składał daremnie ofiarę ognistych spojrzeń.“ Nie objaśnia autor szczegółów powodu, lecz faktem było, iż w bogatym i pięknym pałacu księżstwa M. sam książę zajmował jedno jego skrzydło, a księżna drugie i że nie widywali się z sobą, chyba w domach obcych, oddając wspólne wizyty. Przyczyną tego faktu nie był jednak bynajmniej brak czulszych serc w piersiach księżstwa, i owszem. Książę w swém pałacowym skrzydle przyjmował co dnia piękną, dla której utracił rozum; księżna także codziennie mitego młodzieńca, którego od pierwszej wizyty upoważniła sama do tego kroku. Kocłanką księcia była żona kamerdynera jego *Marysia*, kochankiem księżnej ów skromny sąsiad państwa Ślizgalskich, *Henryk Modlicki*. Te umizgi nie były wielką skrytością. Książstwo dobrze wiedzieli o swych wzajemnych miłostkach i radzi im byli, bo nie

mogli sobie nawzajem czynić wyrzutów. Głuche wieści zaczęły tém więcej krążyć po okolicy, krążyły w lewo i w prawo i doszły z kolei i do domu państwa Ślizgalskich do uszu Felicji, i to właśnie w dzień kiedy w wigilią straty majątku po formalném oświadczeniu się barona, matka nagliła córkę o odpowiedź przychylną. Felicja nie cierpiała barona, lecz urok zemsty i nadzieja poratowania rodziców sprawiły, iż uczyniła zadość życzeniu matki.

Młodzi baronostwo nie mieszkali jak księstwo w oddzielnych skrzydłach. Felicja usiłowała owszem być dobrą żoną, lecz baron żądał iżby była i z oczu szczęśliwą, iżby się okazywała zakochaną wobec ludzi; Felicja kłamać nie mogła i nie umiała, i jednego pięknego poranku (stosownie do zapowiedzianej groźby barona) rodzice jęj usunięci z majątku, wykupionego przez zięcia, znaleźli się z całym liczném rodzeństwem, w pobliskim miasteczku, na bruku. Pani Ślizgalska nie przeżyła tej zmiany bytu. Felicja, która w tym czasie powiła córkę, zaledwie przyszła do zdrowia, pożegnała męża karteczką i przeniósła się z dzieckiem do ojca. Baron wrócił był właśnie wzburzony z sąsiedniego jarmarku, gdzie mu sąsiedzi publicznie usunęli rękę, a nie znalazłszy żony, po odczytaniu jęj kartki, padł tknięty apopleksją i skonał.

I w sąsiedztwie zaszły w tym czasie zmiany. Henryk, który po poznaniu Felicji zerwał był z księżną i udał się był potajemnie do dalekiego stryja, aby wyjednać pomoc dla Ślizgalskich; wróciwszy znalazł Felicję mężatką, księżnę w suchotach i przeprowadził ją za granicę do Drezna. Nie poratował on księżnej, ale w tej wędrówce natrafił na zbiegłą córkę zrozpaczonego Silberberga uroczą *Goldę*, którą był wykradł i uwiózł szuler Walery, i wrócił ją ojcu. Księżna umarła z suchot, książę z szaleństwa; stryj Henryka p. Szczęsny z wieku, a Henryk po utracie kochanek, a po odziedziczeniu niespodzianie wielkich dóbr stryja (który własnego wyrodnego syna usunął był od dziedzictwa), mógł się zająć i zajął urzeczywistnieniem swych mar młodzieńczych; ustanowił stypendya dla uczniów, zakładał towarzystwa ekonomiczne, wznosił postępowe gospodarstwo rolne, a gdy następnie po wyjaśnieniu przeszłości, poślubił dawną kochankę, złączenie fortun dopomogło oczywiście tém więcej wprowadzaniu w czyn ideałów.

Prócz tych głównych postaci i szczegółów jest też i wiele innych w powieści, a wspomnimy tu tylko jeszcze o dwóch i o ogólnym wniosku autora. W jednym z rozdziałów znajdujemy charakterystyczny obraz dwóch Niemców, t. j. dwóch spekulantów na dobra w Galicji, ze środka Austrii przybyłych, a nader pochopnie tu przyjętych; w opisie zaś ostatniej uczy weselnęj znajdujemy następny szczegół: do biesiadnego stołu zaproszonym był przez Henryka między innymi i żyd Silberberg, który co chwila usiłował dawać Henrykowi dowody wdzięczności za okazane spólcucie dla jego córki żydówki; a gdy Henryk zawiadomił spółbiesiadników o złożonym na jego

ręce dobroczynnym zapisie Silberberga, uczynionym zarówno na rzecz żydów i chrześcian, jeden ze spółbiesiadników rzekł: „więcej takich Izraelitów dobrej woli i ohotnego czynu dla bliźnich bez różnicy wyznania, a znikną między nami przedziały.“ „Ja zaś dodam, odezwał się drugi, więcej dobrej woli i z naszej strony.“ W konkluzji wyraża autor, iż zdaniem jego, jedynym ratunkiem dla prowincyi, której byt określał (Galicyi) jest: działać przeciwko wywłaszczeniu przez przybyszów, jednoczyć się z miejscową liczną społecznością (światem starozakonnych), a nadewszystko zamiast trzymania się tylko rutyny gospodarskiej, dodawać do niej postępną pracę we wszystkich szczegółach ekonomii i że „w ten tylko chyba sposób dźwignąć można społeczność, która jest dzisiaj *Na Pochyłości*, aby nie wpadła w przepaść“.

Taka jest treść téj powieści, treść, jak widzimy, z zadania a zwłaszcza z jawnego objaśnienia autora, dodatnia, a wykonanie jój wiele ma zalet.

Co do wykonania, aby być zupełnie bezstronnym, powiedzmy jednak, iż początek powieści téj nieodpowiada jój zakończeniu. Autor, który w teoryi swojej uczy postępu, jest tu rzec można i wykonawcą swój reguły, t. j. iż powieść ta zrazu w swój akcyi słaba, następnie dopióro staje się żywszą, harmonijniejszą, a w końcu (za koniec ten uważamy całą obszerniejszą część drugą) staje się i żywotną i piękną i bez zarzutu. Zbytne natłoczenie figur i scen w pierwszych rozdziałach powieści, sprawia: iż stosunkowie i charakterystyka ich i ogólna akcyja nie dosyć są rozwinięte, wciskany humor nie wydaje się nam nadto wszędzie humorem; ztąd zaś idą niejasność postaci, niejasność ich sytuacji, więc brak przejęcia się niemi, brak interesu. Na ten początek przypada jednak właśnie i pierwsza charakterystyka głównego bohatera powieści i ta więc od ujemności téj nie jest wolną.

Na szczegół ten zwracamy tu uwagę i dlatego, iż ta nie do téj tylko jednéj z ostatnich powieści naszych, odnieść się może.

Uważaliśmy, iż w kilku najnowszych powieściach naszych, zdolniejszych piór, za głównych i szczęśliwych bohaterów powieści i romansów stawione są jednostki górujące nad inne pracą i umysłowém ukształceniem; kreślenia te nietylko są z pomysłu dodatnie, ale téż zgodne z prawdą. Rozum jest odróżnieniem człowieka od istot niższych, a smak płci pięknej obdarzonój instynktem tkliwszym, tém trafniej odróżniać umie rzetelność zalet; lecz aby typ śród sztuki był godnym sztuki, winienby (choć o tyle, o ile) i cechy mieć artystyczne: być ideałem. Tymczasem w powieściach tych za te duchowe ideały zawracające głowy i serra świetnym pięknościom znajdziemy zwykle młodzieńców, których duchową zaletą całą jest: iż ukończyli gdzieś klasa kilka, iż trzymają niekiedy w swym ręku książkę, iż pożyczają książki; gdyby przynajmniej autorowie tych kreśleń głębiej téż określali duchowe tło tych kochanków, głębiej i szczegółowiej

historye wrażeń i uczuć tych kochanek, ale to wszystko zostaje na stopniu przypuszczeń i domysłów samego czytelnika, które znowu wśród różnych czytelników mogą być różne.

Zarzutu tego nie możemy, jak to widział czytelnik, stosować literalnie do przedstawienia bohatera w obecnej powieści; z jej zakończenia widzimy, iż instynkta Felicji co do ocenienia swego kochanka usprawiedliwione zostały; lecz jak to widzieliśmy także, czytelnik nie zna go do pół tomu i prawie do kart ostatnich. Księżna M. przeniosła go „nad rój najświetniejszej młodzieży“, czemu? „Henryk miał twarz szlachetną i piękną“, objaśnia autor. Lecz osoba, która od pierwszej wizyty kazała mu być jawnym amantem, a więc uczyniła propozycją tak nieszlachetną, wątpić trzeba iżby to uczyniła przez namiętność dla szlachetności. Rysunek więc bohatera w powieści, co najmniej nie jasnym jest, a jako taki ujmuje obrazowi efektu, krzyżuje cele.

Toż prawie rzecz téż wypada i o ogólném zadaniu powieści, jej dydaktycznej barwie. Dydaktyczno-ekonomiczne lekcye są zapewne u nas nader na dobie, nader są pożądane, ale treść powieściowa gdyby się istotnie stać miała dydaktyczną, skuteczną, powinna się rozwijać od początku do końca w obrazach, charakterach, rozmowach, uwagach, zgodnych z jej celem. Mamy właśnie w literaturze naszej niedawną powieść z podobną barwą i która pod tym względem jako dobitny wzór może być postawioną. Powieść ta ma za zadanie wskazać, iż jednym z warunków postępu w naszej ekonomii społecznej, jest zmiana z gruntu stosunków panów do oficyalistów i oficyalistów do panów, a z tym celem i założeniem wszystkie właśnie działające w tej powieści figury, rozmowy, wypadki, w zupełności są zgodne (*Oficyalista*, powieść Adama Pługa. Warszawa, 1872. T. III). Otóż tego koloru, tych cech, nie widzimy w powieści *Na Pochyłości*. Powieść ta ma za zadanie skreślenie ujemnego stanu danej prowincyi i przepisanie na to lekarstw, szczegóły jednak kreślonych w niej postaci, wypadków, uwag, nie zostają wcale w ścisłej harmonii z celem jednym i drugim. Z wyjątkiem dwóch owych figur spekulantów na dobra, których rola jest nader krótka i nawiasowa; wszystkie inne obrazy figur, sytuacji, wypadków, kreślone wady i ułomności, nie łączą się w niczem ze specjalnością danej powieści, ale są to obrazy, ułomności, wady i t. p. ogólno-ludzkie. Jako lekarstwo na podźwignienie z upadku prowincyi, podaje autor, opieranie się napływowi przybyszów, szczerze zblizenie się klas, rozumowany przemysł, moralną pracę; są to porady istotnie i trafne i nader słuszne; czy jednak praktyczne lekcye autora w obrazach zgodne są z tą teorią? W powieści jest istotnie rozumniejszy ekonomik p. *Młodet*, ale wziętym jest za przedmiot ironii; pan baron, który jak mówi autor, „pierwszy w okolicy zaprowadził gospodarstwo postępowe“ i książę M. człowiek ekonomicznie rządny, o którym sam żyd Silberberg wyraża się, iż „to bardzo rozumny pan“, skreśleni jako typy

ujemne; wychowana przez tegoż Silberberga postępowie i w celu „zbliżenia klas“ córka jego Gołda skończyła na ucieczce z szulerem. Te wszystkie figury działające właśnie zgodnie z lekcją autora przeciw „pochyłości“, dlaczegoż obrane zostały za reprezentantów „pochyłości?“

Takie są według nas strony ujemne obecnej powieści, ale boimy się, czy wśród tej trwogi naszej o stronność i wśród trosk o ideały, dodatności i pochyłości, nie znajdujemy się i sami w sądzie naszym na pochyłości. Autor tej powieści jest nieraz, jak wiadomo, mistrzem w kreśleniu i charakterów i dyalogów, jest nim nieraz, i owszem najczęściej i w obecnej powieści.

Skończmy więc raczej i powiedzmy krótko: powieść obecna *Na Pochyłości* pana Bolej Krut, jest wśród najnowszej naszej literatury jedną z piękniejszych powieści naszych, tak z celu, jak pióra.

X.

Geld und Credit.—Erste Abtheilung: Das Geld; Darlegung der Grundlehren von dem Gelde mit einer Vorerörterung über das Kapital und die Uebertragung der Nutzungen, von Carl Knies, Professor der Staatswissenschaften zu Heidelberg. Berlin, 1873. Str. 344.

Pieniądz i kredyt. Część pierwsza: Pieniądz; wykład teoryi o pieniądzu ze wstępem o kapitale i przenoszeniu użytkowania przez Karola Knies, profesora nauk państwowych w Heidelbergu. Autor zapowiada we wstępie do swjej książki, że w dalszym ciągu ogłosić zamierza rozbiór całej teoryi kredytu, ztąd to w obecnie wydanej części znalazły się dwa pierwsze rozdziały o kapitale i o przenoszeniu użytkowania, które do nauki o pieniądzu nie należą.

Kapitał określa Knies jako zbiór znajdujących się w sferze gospodarczej pewnej osoby dóbr przeznaczonych bądźto na spożycie, bądź téż do dalszej produkcji, które zachowane zostają dla zaspokojenia potrzeb w przyszłości. Pod dobrami rozumie tylko przedmioty materialne, poza naszą osobistością leżące, a więc zupełnie słusznie zbija błąd, jakoby do kapitału zaliczyć się dały nasze przedmioty osobiste, dalej rzeczy niematerialne jak państwo i t. p. Kapitałem więc nie będą wiadomości, kwalifikujące kogoś na nauczyciela, rzemieślnika i t. p. Ekonomia polityczna bada tylko stosunki gospodarcze człowieka, poza zakres dóbr zewnętrznych, materialnych nigdy wychodzić nie powinna, podciąganie więc przedmiotów niematerialnych pod pojęcie kapitału, jest błędnym rozszerzaniem zakresu ekonomii politycznej.

Ale w definicyi Kniesia znajdujemy jeszcze jeden punkt, na który baczną uwagę zwrócić musimy. „Kapitałem są wszystkie dobra zachowane dla zaspokojenia potrzeb w przyszłości.“ Dotychczas ekonomiści w trojaki sposób rozumieli kapitał: albo jako zasób dóbr przeznaczonych do produkcji, to jest określenie zwykłe, tak jak je dał Adam Smith. Albo jako zasób dóbr, bez względu na to czy one użyte będą do produkcji lub nie, w ogóle bez względu na ich przeznaczenie: to jest definicya Maccullocha. Albo wreszcie jako środek do produkcji, bez uwzględnienia momentu zbierania zasobu, zaoszczędzania: tak kapitał rozumie J. Stuart Mill. Knies nie zgadza się na żadną z tych definicyj; sądzi, że na posiadanie główny nacisk położyć trzeba, a z drugiej strony na użycie tych dóbr nie do zaspokojenia potrzeby obecnej, ale potrzeby w przyszłości, bez względu więc na to, czy zasób dóbr, obecnie w posiadaniu jednostki gospodarującej się znajdującej w przyszłości do produkcji zastosowanym, czy też w przyszłości zużytym, skonsumowanym zostanie. Knies sądzi, że jeżeli ktoś jednego dnia posiada trzodeg bydła, drugiego w miejsce bydła domy, dalej znów pieniądze, a wreszcie galerią obrazów; to nie można powiedzieć, że człowiek ten raz jest kapitalistą, drugi raz nim znów być przestaje, w miarę tego czy ciągnie dochody, lub nie; nie przestaje być posiadaczem, a więc przez cały ten czas jest też kapitalistą.

My z naszej strony sądzimy, że jest to spór o wyraz. Z pewnością, że każdemu wolno powiedzieć, iż pod wyrazem kapitał rozumie to a to; jeżeli pozostanie konsekwentnym i tak tylko wyrazu tego używać będzie, nikt mu z tego zarzutu nie zrobi. Ale wyrazy w nauce o ile możliwości w tém samym znaczeniu brać należy jak i w życiu codzienném; rozumiemy zazwyczaj pod kapitałem zasób dóbr, które nam dochód przynoszą, a więc i w nauce oba te punkta uwzględnić należy, a wtenczas dojdziemy do definicyi, jaką już Adam Smith podał. Powiadamy, że jest to spór o wyraz. Zupełnie jest co innego, jeżeli np. różnie pojmować będziemy wartość; tu idzie o wyjaśnienie pojęcia istniejącego, o oznaczenie jego natury. Przy polemice Kniesia spór się toczy o to, czy to, czy też inne pojęcie, co do natury którego nie ma wątpliwości, oznaczyć wyrazem kapitał. Sądziłibyśmy, że nie warto temu poświęcać 56 stron pisanych językiem ciężkim, który właściwość Kniesia stanowi. Zarzut, że jeżeli ktoś jednego dnia ma domy, drugiego galerią obrazów i t. d., to nie można powiedzieć, że raz jest kapitalistą, drugi raz nim być przestaje, jest niesłusznym. Według samego autora, jeżeli ktoś jednego dnia ma brzęczącą monetę a drugiego papiery kredytowe, to o nim powiemy, że raz ma pieniądze, drugi raz ich nie ma. Tak samo można powiedzieć, że gdy ktoś zasobów dawnych do produkcji użyje, posiada kapitał, a gdy je na spożycie, choćby w przyszłości przeznaczy, kapitału nie ma, a tylko wartość, stanowiącą część jego majątku.

W rozdziale drugim mówi autor o przenoszeniu użytkowania w razie, jeżeli sam przedmiot przy dawnym właścicielu pozostaje. Przedewszystkiem poddaną tu jest rozbiorowi natura pożyczki. Przy niej rzeczy zamienne stają się własnością dłużnika, nie wychodząc z majątku wierzyciela. W skutek tego powstaje obok dóbr, które własność naszą stanowią, zbiór dóbr, który się tworzy przez to, że doliczamy do dóbr które są naszą własnością, te które od innych żądać możemy i które też w przyszłości dostaniemy, a że z drugiej strony odliczamy te, które my innym oddać musimy. Ten to zbiór dóbr stanowi nasz majątek, a tak majątek i własność stanowczo różnić musimy.

W rozdziale III mowa jest o pieniądzu.

Dobra użytkowe przy całej ich różności materyalnej służą do zaspokojenia jednego i tegoż samego zakresu potrzeb ludzkich; w skutek tego odnośnie do stopnia, w jakim tym potrzebom czynią zadość, zyskują wartość, a ta stanowi podstawę wzajemnej ich wymiany. Tak samo wytwarza się wartość szlachetnego kruszcza, z którego wyrabianym jest pieniądz; kruszec wchodzi w sferę wymiany podobnie jak każdy inny przedmiot: szczególne jego własności, jak łatwa podzielność, niezmiennosc pod wpływem kwasów i t. d., wpływają na przyjęcie go za miernik wartości. Pamiętać jednak należy dokładnie o tem, że pieniądz tylko dla tego może być miernikiem wartości, iż samą wartość posiada, iż szlachetny kruszec zaspakaja inne jeszcze potrzeby człowieka, prócz tej, że z niego wyrabiają się pieniądze.

Widzimy tu oparcie wartości na własności przedmiotów zaspakajania naszych potrzeb. Czy w ten sposób da się wyjaśnić pojęcie wartości, o tem wątpimy, ale w dalszy rozbiór wdawać się nie chcemy, gdyż wiadomo, że zgody co do tego, co pod wartością rozumić, niema, i że wielu ekonomistów bierze użyteczność za podstawę wartości.

W dalszym ciągu znajdujemy rozbiór kwestyi, czy szlachetne kruszce rzeczywiście potrzebne są do ułatwienia wymiany, czy manipulacje kredytowe nie są w stanie w zupełności zastąpić pieniędzy metalowych. I znajdujemy odpowiedź: tylko dlatego w danym razie nie koniecznie użyć potrzeba złota lub srebra przy wymianie, że równocześnie istnieją pieniądze złote i srebrne, w których wartość dwóch dóbr da się oznaczyć; tylko przez to wszelkiego rodzaju kompensacye, cessy, rachunki bieżące i t. d. są możliwe.

Co do samych papierów kredytowych, czeków, weksli, banknotów i t. d., to te upoważniają posiadacza do żądania pewnej summy pieniędzy; kto je przyjmuje i uważa dług dawniej powstały za umorzony, ten bierze je tylko w miejsce zapłaty, ale one pieniędzmi nie są; miernikiem wartości pewnego dobra jest tylko wyłącznie summa pieniędzy odpowiedniej wartości; na mocy papieru kredytowego summy tej żądać można, ale on sam pieniądzem nie jest. Cały nacisk

położyć można na stosunek wierzyciela i dłużnika, tak się działo w prawie rzymskiem; odwrotnie znów zwrócić można przedewszystkiem uwagę na przedmiotowy stosunek bez względu na osoby: tak się dzieje w naszych stosunkach handlowych. Ale w każdym razie papier ten oznacza tylko żądanie pewnej summy pieniędzy, jako pieniądź uważać go nie można.

Te dwa pojęcia dadzą się przez to także zbliżyć do siebie, że pieniądź metalowy oznaczy się jako dowód przekazowy na pewien zasób dóbr, jako rękojmię, że się otrzyma dobra, których się żąda w miejsce tych, jakie się do wymiany oddało. Przy takim pojęciu znaczenia pieniądza zatracą się jego charakter jako samoistne dobro z właściwą wartością. Pieniądź jednakże nie da się uważać za dowód przekazowy. Złoto i srebro tak samo się wydobywa z ziemi jak węgle, drogie kamienie i t. d. Złoto i srebro oddaje się w zamian za węgle, tak samo jak węgle się dadzą wymienić na szlachetny kruszec.

Niema tu osoby dającej przekaz, osoby, na którą tenżeby był wystawiony, przedmiotu, na jaki przekazby był dany. Podstawą przekazu jest przyjęcie osoby, czasu i miejsca, przy których przekaz się kończy; ten warunek znosi zaś pojęcie ciągłego środka obiegowego, które do pieniędzy przywiązujemy.

Papiéry kredytowe nie są zatem pieniędzmi, pieniądze przekazanymi na pewną ilość dóbr, jak to twierdził ekonomista angielski Henry Dunning Macleod.

Knies zbił błędne to zdanie, które jednakże coraz więcej wyznawców znajdowało, w sposób bardzo jasny i tę część jego książki obok téj, w której zbija zdanie Wołowskiego, co do waluty podwójnej, uważamy za najlepszą i najważniejszą.

W dalszym ciągu znajdujemy rozbiór funkcyj, jakie spełnia pieniądź. Wartość mojej posiadłości ziemskiej mogę oznaczyć w pieniądzach, a wtenczas pieniądź wystąpi jako miernik wartości. Mogę sprzedać tę posiadłość i kupić dom, pieniądź będzie wtedy środkiem wymiany. Otrzymane pieniądze mogę użyć na spłacenie długu: odegrają one wtedy rolę środka zapłaty. Pieniądze te mogą mi téż służyć do tego, żeby wartość mojej posiadłości ziemskiej przechować podczas zawichrzeń lub przesileni: staną się wtenczas przechowaczem wartości. Wreszcie mogą mieć dla mnie znaczenie środka do uruchomienia wartości gruntu.

Klasyfikacja ta nie ma żadnego praktycznego znaczenia, Knies poświęca jęj zaś znów 49 stron. Zresztą sama zasada podziału nie zawsze jest pewną; nie da się, np. oznaczyć żadnej granicy, gdzieby się kończyła rola pieniędzy, jako środka wymiany, a zaczynało się ich użycie, jako środka zapłaty.

Zapłata następuje także celem umorzenia zobowiązania dawniej zaciągniętego, a więc jest wymianą pewnych usług na pieniądze. Nie ma żadnej istotnej różnicy między tém, czy za otrzymane pie-

niądze kupuję jaki przedmiot, czy spłacam dług dawniej zaciągnięty, bo przecież, kupując ten przedmiot, także nie uiszczę zapłaty zupełnie równocześnie z objęciem posiadania; jakiś czas między temi dwiema czynnościami upłynąć może: jest zupełnie obojętnym, czy to będzie kilka minut, czy też godzin, miesięcy, a nawet lat.

Następuje dalej rozbiór znaczenia pojedynczej i podwójnej waluty. Kwestya to bardzo ważna i bardzo starannie w książce, którą rozbieramy, traktowana.

Wskazaniem jest, jak wybór srebra lub złota, jako podstawy systemu monetarnego, zawisł od stopnia rozwoju gospodarstwa w danym społeczeństwie; jak złoto przyjętym zostanie wtenczas, gdy ruch przemysłowy się zwiększy, gdy ilość znaczniejszych wypłat pomnażać się będzie; zwróconą jest uwaga na to, że wybór ten po części zależeć też będzie od tego, który ze szlachetnych kruszców w danej chwili mniejszym zmianom wartości podlega. Najważniejszą jednakże jest polemika z Wołowskim o przyjęcie podwójnej waluty.

Wiadomo, że gdy powszechnie za pojedynczą walutą przemawiać zaczęto, Wołowski w 1867 r. wystąpił z obroną podwójnej waluty; od tej chwili rozpoczęła się znów polemika o tę kwestyę.

Wołowski sądzi, że rząd, oznaczając stosunek wartości między złotem i srebrem, bynajmniej nie myśli o tém, ażeby rzeczywiście stosunek ten nigdy się nie miał zmienić, ale że większość prawodawstw, a między niemi i kodex Napoleona w razach wątpliwych popiera dłużnika; jeżeli zarówno złoto, jak i srebro jest legalnym środkiem zapłaty, to dłużnik wybierze zawsze pieniądz tańszy z mniejszą wartością, a przez to pewną korzyść odniesie. Wołowski utrzymuje dalej, że te drobne oscylacye wpłyną na to, iż pieniądz w ogóle będzie miał słabszą wartość; przypuścimy, że złoto drożeje, wszyscy rzucają się do srebra, ażeby nióm długi swe umorzyć; popyt srebra się zwiększa, złota się zmniejsza: pierwsze drożeje, drugie tanieje, wartość pieniędzy w ogóle mniejszej zmianie uległa, aniżeli gdyby istniały tylko złote lub tylko srebrne pieniądze.

Knies słusznie na to odpowiada, że jeżeli prawodawstwa chcą popierać dłużnika w razach wątpliwych, to przecież nigdy nie miały zamiaru popierać go bezwarunkowo, a waluta podwójna do tego prowadzi; że dalej porzucić już raz należy myśl, ażeby banki, wielkie towarzystwa ubezpieczeń i t. d., potrzebowały, jako nie-szczęśliwi dłużnicy, opieki rządu przeciw niesumiennym wierzycielom, któremi dziś nieraz są wdowy, sieroty, ludzie, którzy oszczędzali przez całe życie, ażeby zapewnić sobie spokojną starość. Nie podlega wątpliwości, że podwójna waluta, neutralizuje nieco wielkie zmiany wartości szlachetnych metali, ale wywołuje za to bezustanne oscylacye drobne, które dla państwa są nadzwyczaj niekorzystne; państwo wybijać musi raz złote, to znów srebrne pieniądze w miarę tego, jak ich się domagają, droższe wychodzą za granicę lub przetapia-

ją się, koszta dostarczenia dostatecznej ilości monety zwiększają się w ten sposób znacznie. Zresztą, o ile nastąpi stała zmiana w stosunku wartości złota i srebra, jeden z tych metali wyjdzie z obiegu, neutralizowanie wielkich zmian przez nieznaczne oscylacje się skończy.

Ważnym jest także rozbiór znaczenia pieniędzy papierowych. Za właściwe pieniądze uważać ich nie można, są tylko środkiem uwolnienia się od zapłaty pieniężnej. Stają się nim zaś przez to, że państwo pozwala za pomocą nich uiszczać podatki. W dobrze urządzonej gospodarstwie państwowym pewna ilość pieniędzy papierowych krążyć może, mianowicie ilość odpowiadająca pewnej części summy, którą poddani uiszczają państwu w podatkach. Rozszerzenie obowiązku przyjmowania pieniędzy papierowych do prywatnych, pociąga za sobą zgubne następstwa. W każdym razie tylko państwo ma prawo wypuszczania w obieg pieniędzy papierowych; jest niesłusznym, ażeby jeden bogacił się kosztem drugiego, i ażeby państwo nadawało temu swą sankcją. Knies rozciąga to i do biletów bankowych. Przyznamy prywatnym prawo wypuszczania biletów bankowych, o ile zwrócimy uwagę tylko na prywatny charakter tych biletów, o ile je uważać będziemy za jeden z objawów kredytu. Ale pamiętać trzeba, że dziś dla mass, bilet bankowy stracił to znaczenie prywatne, a natomiast zastępuje pieniądze, jest środkiem zyskania bezpłatnego kredytu, nie tylko krąży pomiędzy osobami w stosunkach z bankiem zostającymi, ale przenika wszędzie, gdzie dawniej tylko moneta złota lub srebrna się dostawała; swoboda bankowa stać się więc może, jak często bezwzględna, gospodarcza wolność środkiem w ręku silniejszego do wyzyskiwania słabszych.

Na zakończenie rozbiera Knies, jak pieniądze złote i srebrne, mimo że rzeczywiście podlegają zmianom pod względem wartości, przez prawodawstwo muszą być uważane, jako zawsze zachowujące jedną i tę samą wartość.

Książka Knies, jak wszystkie z pod pióra tego autora wychodzące, zwróciła na siebie uwagę całego świata uczonego niemieckiego, dlatego też treść jej chcieliśmy podać i naszym czytelnikom.

D-r K. Strasburger.

Volkelt, Der Pessimismus u. das Unbewusste. 1873. Hartmann, Erläuterungen zur Metaphysik des Unbewussten 1874 r.

— Filozofia nieświadomego czyli zasady bezwiednej Edwarda Hartmana, znana czytelnikom Biblioteki Warszawskiej z rozprawy D-ra Goldberga, wywołała w Niemczech liczny zastęp dzieł, występujących to za, to przeciw głównym podstawom tej filozofii. Jednym z najgruntowniejszych krytyków filozofii Hartmanna jest D-r Jan

Volkekt, który w zeszłym roku wydał obszerną książkę p. t.: *Der Pessimismus u. das Unbewusste*. Berlin 1873. W dziele tém, Volkekt przyznaje wraz z Hartmannem że zasadą wszechbytu jest substancya *nieświadoma*, lecz powstaje przeciwko rozerwaniu téj substancyi na dwa wprostprzeciwnie atrybuty: *rozumu i nierozumu, logiczności i nielogiczności, idei i woli*. Volkekt dowodzi, że i tak zwane negatywne, ujemne strony istnienia, mają znaczenie *logiczne, rozumne*, i zbliżając się w tym względzie do Hegla, utrzymuje, że prawdziwy pogląd na świat, prawdziwa filozofia, jest *panlogizmem*, przyznającym działanie *rozumu* wszędzie i we wszystkiém.

Wywody Volkeкта, niezależnie zupełnie od jego filozoficznego stanowiska, mają bezwątpienia wielkie znaczenie *krytyczne*, gdyż wykazują jasno zasadnicze sprzeczności filozofii Hartmanna, która z jednej strony podziwia rozumny ustrój wszechświata, a z drugiej strony tego rozumu dopatruje głównie w stopniowém zniesieniu samego bytu, w powrocie do pierwotnej nicości.

W obronie swoich zasad przeciwko zarzutom Volkeкта, wystąpił obecnie sam Hartmann w broszurze p. t. *Erläuterungen zur Metaphysik des Unbewussten, mit besonderer Rücksicht auf den Panlogismus*. Berlin 1874. Hartmann stara się tutaj wykazać, że różność między *rozumem i nierozumem*, jako ostatecznych podstaw bytu, polega na różności *idei i rzeczywistości*. Rozum, idea, logiczność, mówi Hartmann, ma w świecie tylko znaczenie *beztreściowego pierwiastku formalnego* (inhaltsloses Formalprinzip); nierozum zaś, nielogiczność, wola, jest pierwiastkiem rzeczywistości, bytu realnego. Ztąd cała *logiczność* bytu, jedyny *rozumny* cel istnienia, polegać może na negacyi nierozumu, t. j. samego istnienia. W jaki zaś sposób *beztreściowy* pierwiastek formalny *rozumu, idei, logiczności* zdolnym jest oddziaływać na nierozumną, nielogiczną *rzeczywistość* i zmusić ją do zaprzeczenia saméj sobie, do powrócenia w szczęśliwy i jedynie rozumny stan niebytu, tego nam Hartmann i w tém nowém piśmie bliżej nie objaśnia. Przeciwnie pismo to uwydatnia tylko jeszcze jawniej zasadniczą *nielogiczność* filozofii Hartmanna, w której *rozum* z jednej strony ufa sobie bezwarunkowo, bo ocenia zarówno mądrość, jak i głupotę wszechświata, a z drugiej strony znieważa sam siebie do najwyższego stopnia, dowodząc, że jedyna mądrość polega na samobójczém zniesieniu bytu, a zatém i samego rozumu. Więc rozum u Hartmanna istnieje obok nierozumu; rozum opanowyywa nawet nierozumem w organizacyi wszechświata, lecz na to tylko, aby zaprzeczyć samemu sobie i wszelkiemu istnieniu.

Mamy tedy do wyboru tylko między: *nierozumną rzeczywistością* i *rozumną nicością*; w jednym i drugim zaś razie, objawia się nic innego, jak tylko zupełny *brak rozumu*.

Odczyt profesora Łamańskiego w Petersburgu o *Janie Ostro-
rogu i Fryczu Modrzewskim*.

Na posiedzeniu petersburskiego oddziału słowiańskiego komitetu dobroczynności, dnia 8 lutego b. r., członek komisji redakcyjnej tego oddziału pan Łamański przeczytał artykuł „Magnat polski XV wieku Jan Ostrorog”. Wyraził naprzód, że XV—XVI stulecia stanowią w dziejach Słowiańszczyzny epokę, w której więcej niż kiedykolwiek uwydatniła się wielka różnica w stopniu i duchu cywilizacji pomiędzy zachodnią a wschodnią Słowiańszczyzną. Potem w krótkich zarysach przedstawił główne cechy świetnego rozwoju piśmiennictw i cywilizacji zachodnio-słowiańskich, Dalmatów, Chorwatów, Czechów i Polaków w XV, XVI i na początku XVII wieku. Wyliczył przy tém dowody świadczące, iż literaturze dalmackiej (szczególnie dubrownickiej), czeskiej i polskiej tego okresu przypisywać należy daleko więcej wszechdziejowego znaczenia, niżeli piśmiennictwu rosyjskiemu od Piotra W. do Puszkina. Dalej skreślił obraz upadku i przyczyn jego w trzech tych krajach zachodnio-słowiańskich, upatrując je, co do Polski, w przewadze Jezuitów i nadmiernym rozroście gminowładztwa szlacheckiego, opartego na poniżeniu stanu wiejskiego. Ale w połowie XV wieku, ciągnął dalej, nie brakło Polsce umysłów politycznych, przewidujących jasno niebezpieczeństwa, wynikające ze zbyt wysokiego wywyższania się drobnej szlachty; pierwsze miejsce pomiędzy nimi należy znakomitemu magnatowi wielkopolskiemu Janowi Ostrorogowi. Wyliczywszy szczerze wskazówki, dochowane o życiu jego, a starannie zebrane przez p. Wegnera, pan Ł. zwrócił szczególną uwagę na przywiązanie Ostroroga do osoby króla i niechęć ku gminowładnym zachciankom szlachty, na szczerą chęć jego podniesienia losu ludu wiejskiego i mieszczaństwa, oraz na ustanowienie zupełnie wolnych i niezależnych stosunków Kraju do kościoła i Rzymu. W tym ostatnim względzie, mówił p. Ł., Ostrorog zajmuje w dziejach cywilizacji nader wybitne stanowisko, śmiała polemiką swoją przypominając nieraz Ulryka von Hutten, a pomysłem wolnego kościoła w wolnym państwie, nowszych polityków europejskich. Na zakończenie odczytał, w przekładzie rosyjskim ułamki wybornego pamiętnika, złożonego przezeń sejmowi piotrkowskiemu 1459 r. p. t. „Monumentum pro comitiis generalibus Regni sub rege Casimiro pro reipublicae ordinatione congestum.“

Na posiedzeniu tegoż oddziału, poświęconém uczczeniu pamięci św. Cyrylla, d. 26 lutego b. r., tenże pan Łamański odczytał wzmiankę o Andrzeju Fryczu Modrzewskim. Genialny ten myśliciel wzniosłego charakteru, mówił prelegent, należy do rzędu największych mężów, nie samój tylko Polski, ale całej Słowiańszczyzny. Co do zdolności i zasług, z pomiędzy Słowian, z jednym tylko Amosem

Komeniuszem porównywanym być może. W nauce europejskiej należy mu się zaszczytne stanowisko pomiędzy pisarzami-politykami Tomaszem Morusem, Machchiavellim i Bodinem. Mowy jego czyli pamflety polityczne (1546), a szczególnie znakomite dzieło „De republica emendanda“ (1551) uprzedziły na lat 20 przeszło utwory Bodina, a nawet, co do czasu, stawiają go na trzecim miejscu po kanclerzu angielskim i sekretarzu rzeczy-pospolitej florenckiej. Pismo Oldendorpa (1539) nie może wytrzymać żadnego porównania z dziełami Modrzewskiego. Od znakomitego angielskiego nauczyciela nasz słowianin w wielu rzeczach znacznie się różni. Nie porusza on gruntu rzeczywistości jak Machchiavelli, zostaje w zakresie możebności: u obudwu ojczyzna, jej dobro i najlepsze urządzenie pierwszą są myślą. Równie jak sławny Florentczyk zna całe zepsucie ludzkie i nie wierzy w możność zupełnej równości i szczęścia ludzi na ziemi. Ale Modrzewski w tém się różni od Machchiavellego, że oprócz brudnych i ciemnych popędów przyznaje człowiekowi wrodzony polot do dobrego i prawdy, wysokie dążności i zdolności, wymagające tylko wychowania i wykształcenia, którym przeto przypisuje wielkie znaczenie w państwie. Mnóstwo niedostatków społecznych, zdaniem jego, wynika z niewiadomości i ciemnoty ludzkiej. Wiara tą w człowieka i potęgę dobrego Modrzewski znakomicie się różni od Machchiavellego, a zbliża się do Morusa. Lecz nie tylko jako polityk zajmuje on ważne miejsce w cywilizacji europejskiej. Nie śmieć go nazwać teologiem, powiada p. Ł., chociaż odznaczał się ogromną erudycją teologiczną; teologowie bowiem zwykle niecą spory i kłótnie, podnoszą burze w społeczeństwach. Szczególnie da się to powiedzieć o teologach wszelkich wyznań i odcieni za czasów Modrzewskiego, wśród zamętu reformacji. On zaś (De ecclesia) szukał przede wszystkim zgody i pokoju i żądał dla wszystkich przekonań najzupełniejszej wolności. Wzniosłością dążeń i poglądu na jedność kościoła chrześcijańskiego, z pomiędzy myślicieli Zachodu jeden chyba Leibnitz dorównywa Modrzewskiemu. Dalej p. Ł. zauważył, iż zdolności i zasług Modrzewskiego dotąd jeszcze krytyka należycie nie oceniła; że prawdziwego znaczenia znakomitego pisma jego „De Republica emendanda“ zgoła nie oceniono wedle zasług ani na zachodzie Europy, który o nim zapomniał, ani w Polsce, gdzie wprawdzie w ostatnich czasach zaczęto więcej o nim pisać, ale z rozmaitych względów nie umiano ani uznać ani wysświetlić wszystkich zasług wielkiego rodaka. Podawszy krótką wiadomość o jego żywocie, pan Ł. wyłożył zasadnicze poglądy Modrzewskiego na państwo, jego cel i zadanie, i wykazał przytém znaczną różnicę od Lutra, Melanchtona i Kalwina, którzy do rozpraw swych o polityce mieszały dużo rzeczy obcych zakresowi prawa. W kardynalnym swém pojęciu państwa Frycz, powiada pan Ł., trzyma się głównie Arystotelesa i w umiarkowanym monarchizmie widzi najlepszą formę rządu. Dzieło swe napisał w głębokim poczuciu niezbędności reform dla Polski,

które prelegent wylicza. Dalej streszcza 1-ą księgę „De moribus, podnosząc mnóstwo głębokich i rozumnych uwag i spostrzeżeń Modrzewskiego, ważnych tak ze względu teoretycznego jak i dziejowego. Nikt z Polaków, powiada pan Ł., ani dawniejszych ani późniejszych tak prosto i wzniośle, tak subtelnie i rozumnie nie odkrywał wad szlachty ówczesnej i nie przepowiadał przyszłych nieszczęść Polski.

Na żądanie zgromadzenia, pan Łamański przyrzekł podać później dalszy ciąg pracy swój o Modrzewskim. Nie omieszkamy streścić jój, gdy się ukaże w dzienniku Gołos, z którego obecnie (Nr 44 i 60) wyciąg powyższy podajemy, przypominając czytelnikom, że oprócz ustępów w odpowiednich miejscach licznych naszych dziejów piśmiennictwa polskiego, posiadamy o Modrzewskim kilka monografii: S. Nowickiego: Jędrzej Frycz Modrzewski, szkic historyczny, Warszawa 1856, prof. A. Małeckiego pod tymże napisem w tomie V. Biblioteki Ossolińskich, r. 1864, oraz artykuły I. M. Ossolińskiego, Leopolda Otto i innych.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

W zeszytcie styczniowym Biblioteki Warszawskiej r. b., w dziale wiadomości literackich na str. 162 znajduję błędy, które sprostować uważam za rzecz konieczną.

P. René Lavollée wydał w r. 1869 rozprawę p. n. „De poetis latino polonis hanc thesim facultati literarum parisiensi proponebat R. Lavollée. Parisiis, apud Didier bibliopolam, 35 Quai des Augustins, 35. MDCCCLXIX“ in 8, pag. 92.

W rozprawie téj inauguralnej autor nasz poświęca Janowi Kochanowskiemu miejsce od str. 47 do str. 52, a nie studjuje szczególnie dzieł jego, jak się wyraża „Rivista Europea“; o nim zaś po Grzegorzcu z Sombora i Andrzeju Trzeciejskim, tak pisze:

„Joannes Cochranovius, clarior famâ multoque praestantione ingenio praeditus, inter Polonos poetas polonice scribentes maximus habetur; quippè qui primus polonicis versibus operam dedit (sic) patriamque summo studio dilectam impigrè carminibus concelebravit. Latinos tamen versus admodum juvenis, quum in Italiam Galliamque perigrinaretur composuit, polonicis non omnino impares, quibus *ad imitationem antiquorum poetarum, Tibulli videlicet et Horatii, haud infeliciter se contulit*. Lyricis praesertim eminebat, elegias insuper, aemulatus *Petrarcae*, condidit, voluptatum illecebris italico seu epicureo more, concelebrandis unice deditus“ (pag. 47—48).

O Sarbiewskim zaś na str. 73 tak powiada: „Nempe Sarbievius, *Flaccus* cognomine dictus Polonus.“

Szkoda zaiste, iż dotychczas w żadnym z pism peryodycznych polskich nie było sprawozdania z pracy p. R. Lavollée, pracy zasługującej na sumienny rozbiór i stosowną ocenę. Lecz u nas pono zwykle tak bywa: skoro cudzoziemiec jaki wyda jakąś powiastkę i w niej wyprowadzi na scenę rodaka naszego, to wnet czytamy to dzieło, krytykujemy i przekładamy; a praca uczona (zwłaszcza jeżeli jest jeszcze w nie popularnym obecnie języku łacińskim pisana, tym pięknym języku, którym tak biegle i poprawnie niegdyś nasi przodkowie władali), od lat pięciu już ogłoszona drukiem, spoczywa dla naszej społeczności w ukryciu.

Dr. Stanisław Krzyżanowski.

Czerpowody, 23 stycz. 1874 r.

Bawiącemu niegdyś nad Bugiem w celu zdjęcia sieci tryangulacyjnej téj rzeki, wypadło mi udać się do wsi Bińdiugi nad samym jéj brzegiem prawym leżącej, naprost miasteczka Dubienki. Brzeg prawy Buga ma tu znaczne wzniesienie piaszczyste, na którym spostrzegłem nieznaną mi dotąd, obficie po piasku rosnącą krzewinę, z czerwonym kwiatem i bardzo przyjemną wonią.

Podkrzew ten niski, bo najwięcej do wysokości jednej stopy wzniesiony, gęsto rozgałęziony z listkami wązkiemi, lancetowatemi, z drobnym kwiatem różowej barwy i miłą wonią, przypominał mi znane *wilcze łyko*, od którego wszakże tém się głównie odróżniał, iż kwiat jego był obfity, prawie baldaszkowato skupiony i mocniejszej czerwoności, co wyraźnie inną roślinę z rodzaju *Daphne* wskazywało. Lud miejscowy ma dla niej swą nazwę, lecz ta zaginęła mi w pamięci.

Przejrzawszy nasze Flory nie mogłem trafić na opis zgodny z postacią tego podkrzewu, a oprócz *wilczego łyka* (*Daphne mezereum*) znalazłem tylko wzmiankę o gatunku *Daphne laureola*, w opisanii roślin litewskich przez *Jundzilla*, który powołuje się na Dykcyo. roślin. *Kłuka*, ten zaś tak pisze: „*Daphne laureola*, wilcze łyko, mniejsze, jest krzewina podobna poprzedzającej (t. j. *mezereum*), ale zawsze niższa... kwiaty żółte, po kilkanaście w kupce między liśćcami... kwitnie zaraz po śniegach, jagody dojrzewają w sierpniu.“ Opis ten nie nadaje się do mojej rośliny, którą w końcu września w całym kwiecie widziałem.

Dopiero w dziele: „*Traité des arbres et arbustes par Duhamel.*“ Paris, 2-e édit. in folio, pag. 30, znalazłem rysunek w barwach, zupełnie moją roślinę nadbużną przedstawiający z następującym opisem: „*Daphne encorum*, à fleurs fasciculées, terminales, sessiles, à feuilles lancéolées, nues, mucronnées. Sous arbrisseau très rameux, charmant par le grand nombre de ses fleurs, leur éclat, leur durée, l'odeur suave qu'elles répandent.“

„Tiges nombreuses, étalées, rameuses, grêles. Feuilles éparses, sessiles, linéaires, mucronnées, roides, nues, glabres, persistantes. Fleurs rassemblées en faisceaux à l'extrémité des rameaux, sessiles, pubescentes à l'extérieur, d'un beau rouge; ovaire vélu, baie blanche, petite, globuleuse. Fleurit au milieu du printemps, et jusqu'à l'automne, quand il est cultivé. Habite sur les hautes montagnes de l'Italie, de la Suisse et de la France. En Allemagne on la voit sur les coteaux les moins élevés du Palatinat et même jusque dans les bois et les plaines aux environs de Francfort sur Mayn.“

Besser w książce: *Enumeratio plantarum hucusque in Volhynia, Podolia... collectarum*. Vilnae 1822, wymienia na str. 16: „*Daphne cneorum* (Dąbrówka) V. (Volhyniae), in sylvis acerosis frequentissima.“ Prócz tych kilku wyrazów, jako w krótkim wyliczeniu roślin, nie mógł ani opisu podać, ani wymienić nazwisk miejsc, gdzie tę roślinę znalazł; można więc powątpiewać, czy roślina jest rzeczywiście gatunkiem *Daphne cneorum*; wskazuje jej bowiem za pobyt lasy klonowe, nasza zaś roślina jest na otwartych piaskach bez cienia. Nazwa *dąbrówki*, którą jej dodał Besser, służy już innemu rodzajowi *ajuga*, raczejby więc *klonówką* nazwać ją należało, jeżeli jest tą samą rośliną, o której tu mówimy. Wszakże, co do nazwy, po sprawdzeniu wprzód tak Bessera jak i naszej nadbużańskiej rośliny, najwłaściwszą byłaby ta, jaką jej lud miejscowy daje.

Pomimo znacznego już upływu czasu od mego nad Bugiem pobytu, gdy okolica wspomnioniej wsi, ustronna, żadnej zapewne dotąd odmianie nie uległa, bo ani jej położenie, ani gospodarskie widoki nie zachęciły prawdopodobnie właściciela Bindugi do uprawy litych piasków, mniemam, że przy sposobności godnėmby było zajęcia się uzyskanie tēj pięknej rośliny i dokładniejszy jej opis. Lubownicy kwiatów w swoich mieszkaniach znaleźliby w niej wiele przyjemności.

J. Żebrawski. (I)

(I) Umieszczamy ten przyczynek do flory naszej z wdzięcznością dla szanownego autora, który tyle zasług dla historii naturalnej kraju, dla archeologii i t. d. położył, widząc z zapiski jego, że rośliną o której mówi, jest rzeczywiście *Daphne cneorum*, t. j. prześlągwa, jak ją Siennik nazwał. Knapp, w niedawnym dziele swoim o dotychczas poznanych roślinach Galicyi i Bukowiny, w niemieckim języku wydanym (str. 107) kilka zaznacza stacyi tēj rzadkiej rośliny, jako to: na wzgórzach w Galicyi Zachodniej, na górze Graboczyha pomiędzy Zaskowem a Żółkwią, przy Turynce, przy Brodach i na Drańcuzy; prostej oraz podanie jakoby znajdowała się na Babiěj Górze, za którą mylnie wzięto inną Baba hora, na Spiżu. Jakożkolwiekby nam pozostaje upraszać szanownego podawocę niniejszej wiadomości, ażeby roślinę *in natura* porównał z zielnikami botaników krakowskich, a nadewszystko ogłosił jej miejscowe nazwisko, co tak dla geografii botanicznej jako i dla nomenklatury roślin polskiej, wielce jest pożądanym.

P. R. B. W.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

W A R S Z A W A.

— *Warszawa, kwiecień 1874. Bluszcz*, pismo tygodniowe dla kobiet, wydawane przez księgarza warszawskiego Michała Glücksberga, ogłosiło na początku marca r. b. konkurs na opracowanie dzieła: „O wychowaniu macierzyńskim.“ Obszerny program takiej pracy przyłączony został razem. Rękopisma winny być nadsyłane najpóźniej do dnia 1 kwietnia 1875 r. na ręce wydawcy *Bluszczu*. Ocenieniem ich wartości zajmie się komitet oddzielny; autor dzieła za odpowiednie uznanego otrzyma sumę rs. 200. Własność rękopismu zostaje przy autorze: redakcja tylko *Bluszczu* zastrzega sobie prawo pierwszeństwa do nabycia rzeczzonego rękopismu.

— Z drukarni S. Orgelbranda synów wyszło dzieło p. n.: „Zbiór praw sądowych przez Ex-kanclerza Andrzeja Ordynata Zamoyskiego ułożony i w roku 1778 drukiem ogłoszony, a teraz przedrukowany z domieszczeniem źródeł i uwag tak prawoznawczych, jak i prawodawczych, sporządzonych przez Walentego Dutkiewicza.” (w 8-ce str. XI, 964).

— Wyszedł portret litografowany Jana Feliksa Piwarskiego przez Wojciecha Gersona, przypominający dobrze wizerunek zasłużonego artysty. W. Gerson, jako wdzięczny uczeń ukochanego nauczyciela swego, przeznaczył cały dochód ze sprzedaży tej publikacji, na wystawienie nadgrobnika dla zgasłego męża. Nie powątpiewamy, że wkrótce potrzebny na ten cel fundusz zobaczymy zebrany.

— W Londynie wydany został: „Nowy Testament Pana Naszego Jezusa Chrystusa, Cztery Ewangelie i Dzieje Apostolskie nanowo z greckiego przełożone roku 1873, wydane nakładem Towarzystwa Trynitarnego Biblijnego w Londynie 1873.” (w 12-ce str. 270).

We wstępie czytamy.

„Przekład niniejszy dokonany został w Warszawie. Przyjęli w nim udział ludzie różni pod względem wyznania, lecz równi z ducha i z dbałości o chwałę Bożą; kilku duchownych, do których należało głównie pilnować wierności przekładu, co do treści i kilku świeckich,

znanych i powagę w kraju mających filologów, którzy mieli za zadanie strzedz czystości, zwrotów mowy i dbać o dokładnie oddanie tekstu pod względem formy. Hrabia Węgierski w Londynie, był duszą całego przedsięwzięcia i za jego staraniem Towarzystwo Biblijne Trynitarne w Londynie, podjęło się wydania tego przekładu.”

— Wydawnictwo spółki księgarzy w Warszawie, z zapowiedzianych dzieł ogłosiło Jana Tyndalla p. n. *Woda, jej kształty i przeobrażenia jako obłoki i rzeki, lód i lodniki*. Z oryginału przełożył Karol Jurkiewicz, professor zwyczajny Ces. Warsz. Uniwersytetu (z 26 drzeworytami. Warszawa, 1874 r. w 12-ce, str. IX i 210).

— Nakładem redakcyi Biblioteki Warszawskiej wyszła rozprawa Romualda Hubego: „Kilka aktów oryginalnych sądowych z wieku XIV i XV“ Warszawa, w drukarni J. Bergera, 1873 r. w 8-ce, str. 23 z podobizną).

— Wyszedł tom VII „Dziejów Anglii“ T. B. Macaulaya z podprassy.

— *Reforma sądownictwa, czyli nowy sposób uszlachetniania i hodowania drzew owocowych* (w 12-ce, Warszawa, 1874 r.). Dziełko to z oryginału niemieckiego przełożył H. Kuczalski i własnym nakładem wydał.

— Pani Seweryna z Zochowskich Duchnińska przygotowywa z pomocą prof. Chodźki rozprawę o poezyi bułgarskiej, którą ogłosimy w jednym z dalszych zeszytów Biblioteki Warszawskiej.

— Z drukarni S. Lewentala wyszła książka p. n. *Fajgela Magig*, czyli *kobięta kaznodziejg*. Obrazek z życia prowincjonalnego żydów, przez A. Bernsteina. Tłumaczył z niemieckiego J. R. (Warszawa, 1874 r. w 12-ce, str. X, 151). Oryginał doczekał się ośmiu edycyj. Przekład pod względem języka staranny.

— Badacz naszych starożytności Józef Szaniawski archiwista akt dawnych w Kaliszu, odkrył drogocenny zabytek sztuki złotniczej z XII wieku w skarbcu kolegiaty kaliskiej. Jestto patyna, na której wyobrażony Mieczysław II (Stary), oddający kielich opatowi Cystersów w Łędzie i złotnik Konrad, który tak kielich jak i tę patynę wykonał. Podobiznę z niej za staraniem p. Konstantego Przewdzieckiego zrobiono galwanoplastyczną, którą tenże przesłał do gabinetu archeologicznego przy Uniwersytecie Jagiellońskim, którego (głównie co do wspianącego daru s. p. Edwarda Rastawieckiego) sam jest kuratorem.

— Według urzędowych wiadomości w puszczy Białowieskiej liczba żubrów zmniejsza się corocznie, pomimo wszelkich starań zachowania téj rzadkiej i pięknej rassy. Poprzednio liczono ich przeszło sztuk tysiąc, ale w 1868 r. było tylko 559, w 1869 sztuk 541, 1870 sztuk 542, a w 1872 r. tylko 528. Bliżsi znawcy powody tego zmniejszania się upatrują nie koniecznością wymierania rassy, bo wysłane do Prus księciu Pless, żubry rozmnażają się pomyślnie: upatrują je raczej w tém, że wypalania i wyręby w puszczy nie są dokonywane; zarasta ona chwastami, a dobrych łąk nie starczy, dlatego że znaczna ich część przeszła do włościan.

Wiele szkody sprawiają żubrom i wilki: nakoniec łowienie żywych żubrów dla przesyłki do różnych muzeów, przyprawia z przestachu zawsze o śmierć sztuk kilka.

— Korrespondent Gazety Warszawskiej z Rzymu pisze: „Dzięki Kraszewskiemu powstaje tu muzeum Kopernikowskie w Uniwersytecie rzymskim, na wzór muzeum Galileusza we Florencyi. Znakomity nasz pisarz pozbiierał własnym kosztem i nadesłał do Sapiencyi bardzo liczny zbiór dzieł prześlicznie oprawnych, broszur, olejnych obrazów, rycin, podobizn i medali, tyjących się bez wyjątku polskiego astronoma. Jest to dar książęcy. Ma wkrótce nastąpić inauguracja pomienionego muzeum, gdzie postawione będzie dnia tego marmurowe popiersie Kopernika przez Brodzkiego. To, które tam oglądano na przeszlorocznój uroczystości, było gipsowe.“

— Lucyan Siemieński wydał 6 i 7 zeszyt przekładu swego: *Odyssei Homera*. Obejmują pieśni od X do XIII w.

— W akademii umiejętności krakowskiej wniesiono rzecz o *Słowniku języku polskiego*. Zaprawdę, pomimo słowników jakie posiadamy S. B. Lindego i wileński oprócz innych, brak dokładnego w tym rodzaju dzieła już czuć się daje. Podstawą jego, niewątpliwie pozostanie zawsze Linde, dla swych przykładów jakie czerpał sam z dzieł starożytnej literatury polskiej i nie małego zbioru przysłów narodowych, tych klejnotów mowy naszej. Praca to olbrzymia, podjąć jej tylko może akademia, mająca do rozporządzenia siły potężne. Taż instytucja postanowiła ogłosić drukiem: *Prawo prywatne polskie*, które pozostawił Z. A. Helcel w rękopiśmie, jako pierwszy tom pośmiertnych dzieł zmarłego badacza; zarazem wyda: *Dzieje bezkrólewia po śmierci Jana III*, napisane przez A. Walewskiego.

— W Krakowie wyszedł: „Poradnik dla urządzających zbiory przyrodnicze.“ Autor A. J. Śledziński podaje tu sposoby wypychania zwierząt, ptaków, płazów, ryb, zbierania i zachowania owadów, zbierania i zasuszania roślin, przyspasabiania minerałów do zbioru i t. p. Mała ta broszura o 99 stronicach, ilustrowana, jako książka podręczna zaleca się swoją użytecznością.

— Zawiązane *Towarzystwo Tatrzańskie* szczęśliwie się rozwija i wielu już liczy członków. Założyciele płacą po 100 zlr. na fundusz Towarzystwa; członkowie płacą wpisowego 3 zlr., a rocznie 6 zlr. Zadaniem Towarzystwa tego jest badanie Tatrów i rozpowszechnianie wiadomości o nich, zachęcanie do ich zwiedzania i ułatwianie podróży, ochrona zwierząt górskich. W tym celu mają odbywać się zebrania i odczyty publiczne, wydawanie rocznika, utrzymywanie komunikacyi w górach, budowanie schronisk w górach, ustawianie drogowskazów i napisów gór, dolin, polan i hał, dozór nad przewodnikami, zaprowadzenie straży, wreszcie zawiązanie stosunków z węgierskiem Towarzystwem karpackiém w Keszmarku.

— Na jedném z ostatnich posiedzeń wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu r. b., przewodniczący

pułkownik Zakrzewski czytał rozprawę: „O wspólności rodowej, oraz tworzeniu się nazwisk i herbów w Polsce.” W rozprawie tej, do której szczegóły czerpano ze źródeł autentycznych, wykazał autor, iż wspólność rodowa w Polsce, znajdowała swój wyraz we własności ziemskiej (Opolach); następnie opowiadał, jakim sposobem powstały nazwiska i herby, które mimo twierdzeń kronikarzy, w XIV-ym dopiero wieku, jak dowodzi p. Zakrzewski, zaczęły właściwą przybierać cechę. Rozprawa ta ma być w rocznikach Towarzystwa umieszczona.

— Professor uniwersytetu wrocławskiego Roßpel, znany ze znakomitego dzieła do dziejów polskich z epoki Piastowskiej, pracuje obecnie nad przygotowaniem materyałów do panowania Stanisława Augusta. Z pamiątek *Soplicy*, przełożył jeden obrazek: „Panie kochanku,” który zachwycił czytelników niemieckich.

— W r. b. przypada pięćdziesięcioletni jubileusz kapłaństwa księdza Franciszka Bażyńskiego, proboszcza przy kościele Ś-go Wojciecha w Poznaniu. Kapłan ten znanym jest jako gorliwy pracownik na polu oświaty ludowej i wydawcy dzieł tanich, popularnych. Ludzie dobrej woli, oceniający te zasługi, postanowili mu złożyć w upominku książkę zbiorową p. n. *Warta* i w tym celu rozpoczęli zbierać do niej potrzebne materyały.

— W Poznaniu J. Chociszewski wydał książeczkę p. n. *Piśmienictwo polskie dla ludu i szkół niższych*, odbite w 1200 egzemplarzy; tegoż pisarza *Historja Polska* rozeszła się w podobnej liczbie i znowu odbija się nowe wydanie.

— *Towarzystwo literacko-słowiańskie w Wrocławiu* liczy obecnie 53 członków. Sprawozdanie z czynności Towarzystwa za półrocze zimowe r. 1873/4 okazuje, że Towarzystwo w ciągu wspomnianego półrocza, odbyło 15 posiedzeń, na których czytano następujące rozprawy: Sikorski Władysław „O Masławie,” Grosman Stanisław „O młodości Mickiewicza,” odczyt miany w rocznicę śmierci poety, któryto dzień Towarzystwo obchodziło uroczyscie. Frydrychowicz Zenon „O władzy zwierzchniczej w miastach polskich, rządzących się prawem magdeburgskiem,” Bederski Antoni „O wojnie chocimskiej Potockiego i Krasickiego,” Hejmanowski Bolesław „Konarski i jego zasługi,” Kutzner Kazimierz „Zasługi Brodzińskiego około literatury polskiej: „Sydów Józef „Kochanowski, Klonowicz, Grochowski, jako satyrycy polscy,” Danysz Antoni „Teorya p. Konstantego Małkowskiego o znikłym narzeczu lechickim,” Chudziński Antoni „Kilka uwag w sprawie miejsca spoczynku Ś-go Wojciecha.” Większa część tych rozpraw była na posiedzeniach krytykowana przez oponentów. Sekcyja medyczna liczyła z końcem półrocza 13 członków; na 5-ciu posiedzeniach czytali: Opieliński Ignacy „O embryologii,” Szuman Leon „O stanie medycyny w Polsce w złotym wieku,” Laurentowski Wojciech „O tworzeniu się i składzie jamy twarzy.“

W ciągu półrocza utworzyła się w Towarzystwie sekcyja prawnicza. Celem jój jest tak samo, jak medycznój obznajmienie się z polską

terminologią fachową. Do sekcji należało 15 członków. Posiedzeń było 5, na których mieli odczyty: Grosman Stanisław „O służebnościach osobowych u Rzymian,” Frydrychowicz Zenon „O kwestyach prepidycałnych,” Kutzner Kazimierz „O niewolnictwie u Rzymian,” Sydow Józef „O opiece nad kobietami u Rzymian.”

Biblioteka Tow. powiększyła się przez dary życzliwych osób, oraz przez kupno; obecnie liczy 1,408 dzieł. Fundusze Towarzystwa są bardzo szczupłe. Summa ogólna dochodu z ubiegłego półrocza wynosiła tylko 135 tal. 21 sgr. i 3 fen. Prezesem Towarzystwa jest p. Bolesław Sikorski, a kuratorem D-r Nehring.

— *Tables et poesies polonaises publiés par le C-te V. H. de Rochelin, précédées d'une lettre de Henri Martin.* (1874). Taki ma tytuł wydana w Paryżu książka, obejmująca w przekładzie wiernym 131 bajek polskich, oraz kilkanaście drobnych poezyj Krasińskiego i Mickiewicza.

— Dla teatru narodowego w Pradze Czeskiej, p. Pulda przełożył dwie komedye Aleksandra hr. Fredry (syna) ze zbioru wydanego w Warszawie 1872 i te mają się wkrótce ukazać na tamecznej scenie.

— Na Kaszubach polskich, gminy za staraniem właścicieli ziemskich, pozakładały biblioteczki dla ludu. Moźniejsi obywatele zakupują także książki za swoje pieniądze, przesyłają je do bibliotek albo rozdają dzieciom. W miejscach, gdzie lud jeszcze nie nawykł do czytania, najwięcej takich darów dochodzi. Starają się także wszędzie o zakładanie ochronek; słowem klasa zamożniejsza i oświecieńsza, opiekuje się ludem bardzo serdecznie. Biblioteczek takich już jest 30 przeszło.

— Rzecz godna zastanowienia, że ludność słowiańska nad Elbą, stanowiąca jakby archeologiczne wykopalisko z przedhistorycznych wieków dawnych Łużyczan księstwa serbskiego, po ośmiu wiekach zupełnego zgnębienia i zamarcia, miasto zupełnego rozkładu objawia raczej wzrost i postęp. Cyfry statystyczne dowodzą, że w ostatnich czasach plemiona te słowiańskie nad Elbą, raz Syrbami, to znów Wendami zwane, w ostatnich dziesiątkach lat znacznie wzrosły. Gdy bowiem w r. 1850 liczono ich 137,928, w 1868 r. 162,828, z czego przypada na kraje saskie 54,000, a na pruskie 49,000. Pomnożenie to ludności témbardziej zastanawia, że nie może być policzone na karb ogólnego wzrostu ludności, skoro język tylko stanowi podstawę rozróżnienia od ludności niemieckiej. Przed laty kilkudziesięciu język ten syrbski, czyli wendyjski, nader zbliżony do polskiego, był w użyciu jedynie w książkach do nabożeństwa i napisach grobowych, ludność zaś okrom pacierza, używała języka niemieckiego. Zasługa to duchowieństwa katolickiego, które zapewne w chęci oddziaływania naprzeciw okalającemu protestantyzmowi nie-

mieckiemu, pielęgnuje w kościele mowę słowiańską w kazaniach, książkach liturgicznych i książkach do nabożeństwa. Obecnie jest 84 kościołów w tych okolicach, obsługiwanych przez 90 księży słowiańskich, i 160 szkółek, w których naucza 200 nauczycieli w języku Wendów. Pomonął się też znacznie ruch książkowy i dziennikarski. Stowarzyszenie „Matica“, na którego czele stoi znany w Dreźnie ks. Buk, wydało od 1854 r. 110,000 egzemplarzy różnych pism, broszur i 130,000 kalendarzy. Obecnie wychodzą następujące dzienniki ludowe: *Srbske Noviny*, *Katolski Posol*, *Łużyczan* i *Misionarski Posol*. Stowarzyszenie „Maticy“ zakupiło w Buduszynie za 20,000 tal. plac pod budowę gmachu, w którym ma się mieścić biblioteka, zbiory i drukarnia, i zebrało 14,000 tal. na kosztą budowy, które ogółem mają wynosić 35,000 talarów. W ten sposób dźwiga się ten ostatni odłam zachodniej Słowiańszczyzny, co najpierw uległ pod naciskiem germanizacji w imię wiary szerzonej, dziś zaś podnosi się pod tym samym znakiem krzyża, który służył wówczas za godło wytopienia. Dreźnie, dawne Drażdazny, Buduszyn, nie zachowały śladu swjej słowiańskiej przeszłości, kiedy nad Syrbją nadelbiańską panowali Jaksowie, spokrewnieni z naszymi Leszkami i Popielami z nad Odry i Wisły. Ludność tylko wiejska nie zatraciła mowy i obyczaju słowiańskiego.

— Wiele rodzin polskich z W. K. Poznańskiego, z Prus, z Galicyi, wynosi się do Ameryki. Od lat dziesięciu wychodztwo do Stanów Zjednoczonych niezmiernie wzrosło. Kolonie polskie sięgają dziś już do far-wertu, skupiając się głównie około pięciu wielkich jezior amerykańskich w Stanach Illinois, Michigan, Wisconsin. W Chicago mieszka do tysiąca Polaków, którzy grywają dla własnej zabawy teatru amatorskie i wydają własny swój organ dziennikarski p. t. *Gazeta Chicago*. W Ameryce wychodzą dziś, oprócz wspomnianego dziennika, dwa jeszcze pisma peryodyczne, polskie: *Pielgrzym* i *Gazeta Nowojorska*.

— W Nowym Yorku utworzyło się Towarzystwo św. Stanisława biskupa, w celu wybudowania tamże polskiego kościoła. Prezesem towarzystwa obrany D-r Żołnowski; vice-prezesami: Jan Rybicki, D-r Lewandowski, Szczepański; sekretarzami: Władysław Jonakowski, Antoni Landeski; opiekunami kassy: Kromoliński, Kiedyng, Wojciech Rybicki, Jan Rybicki i Rajzner; doradcami: Żyliński i Jeziorowski.

— W południowych stronach Illinoi w Stanach Zjednoczonych niedaleko rzeki Missisipi, założoną została osada Radom. Już w niej mieszka 17 rodzin polskich, a zakupiono 209 gruntów pod domy. Dokoła zaś téj osady, 148 polskich osadników zakupiło po 40, po 80 do kilkuset akrów ziemi. Agentem téj osady jest p. Michalski. W osadzie założony jest kościół katolicki; proboszczem parafii jest X. Musielewicz.

— W Peru inżynierowie Polacy, otrzymują korzystne posady przy kolejach żelaznych: inżynier Folkierski pobiera rucznie pensyi 20,000

fr.; Władysław Kluger 14,000 fr. Budową zaś kolei, mającej iść przez Kordyliery, zajmować się będzie Ernest Malinowski. Wielu prócz tego innych inżynierów Polaków wybornie wykształconych w swoim fachu, zajmuje posady w Peru, przynoszące im znaczny dochód.

— W Monachium na wystawie studyów otrzymali uczniowie Polacy nagrody z klasy antyków (rysunki) medal p. Czachórski, list pochwalny p. Kossak. Za rysowanie z natury list pochwalny p. Rosen. Ze szkoły malowania medale pp. Alchimowicz i Piątkowski, a list pochwalny p. Łosik.

— Za napisanie studjum o Mickiewiczu, p. Teodor Kalksstein w Monachium otrzymał stopień doktora filozofii.

— Julian Męcarski Polak wynalazca nowój broni palnej, która bez przerwy w jednym kwadransie może dać piętnaście wystrzałów, w Paryżu aresztowany został za należenie do komuny.

— Niezmordowany p. *Lenormant* wydał znowu spory tom: *O Magii u Chaldeów* (*La magie chez les Chaldéens et les origines accadiennes*. Paris, Maisonneuve). Są tu podane najdawniejsze piśmienne zabytki magii, oraz zestawienie pojęć religijnych Babilonu z Wedami indyjskimi, hipotezą o prastarém plemieniu Akkadów i wywód pokrewieństwa pomiędzy plemionami aryjskiem a chaldejsko-tatarskiem.

— Na polu językoznawstwa notujemy następne publikacje. *Chinese English Dictionary of the vernacular of spoken language of Amoy* by Rev. *Carstairs Douglas* (London Trübner). Słownik ten obejmuje jedno z najważniejszych narzeczy chińskich (Amoy). Autor jest misjonarzem kościoła prezbteryjańskiego i podjął tę pracę dla użytku misjonarzy, mających do czynienia z ludem. Do klasycznej chińszczyzny, do narzecza Mandarynów słownik ten posługiwać nie może, dla filologów jednak będzie pożądanym nabytkiem. *Whitney Oriental and linguistic studies*. New York 1873. Studya te, dotyczące rozmaitych przedmiotów filologii aryjskiej oraz kilku kwestyj z filozofii językoznawstwa i historii języków, obudziły żywe zajęcie pomiędzy filologami niemieckimi. Odnaczają się one śmiałą i ostrą krytyką panujących obecnie teorii. Szczególnie godnemi uwagi są rozprawy: „Małpia teoria języka przez Bleek'a“, „Schleicher i fizyczna teoria języka“ „Steinthal i psychologiczna teoria języka“. Z wielką znajomością rzeczy i talentem napisane jest studjum o Zend-Aweście. *Angielscy Cyganie i ich język* (*The english Gipsies and their Language*) przez Ch. *Leland* (London, Trübner). W dziesięciu rozdziałach autor mówi o pochodzeniu

Cyganów z Hindostanu, o ich języku, piśmie, o ich obyczajach, pieśniach, pojęciach religijnych, o poszanowaniu zmarłych etc.

— Na polu dziejoznawstwa najważniejszą publikacją jest „*Dictionnaire des antiquités grecques et romaines d'après les textes et le monuments*, pod redakcją pp. Ch. Daremberg et Edm. Saglio. Paris, zeszyt 1 ze 189 drzeworytami (wszystkich będzie 3000). Liczne grono uczonych podjęło się pracy przedstawienia całego życia publicznego i prywatnego w Grecyi i Rzymie. Artykuły następują w porządku alfabetycznym i odznaczają się pożądaną dokładnością (np. Abacus, Acropolis, Aerarium, Ager publicus). Ze względu na trudność zadania (dla niedostateczności źródeł) zasługuje na uwagę *Historya Partów* przez Schreiderwirth'a (Die Parther oder das Neupersische Reich unter den Arsaciden-Heiligenstadt Dunkelberg). Ze względu zaś na współczesność przedmiotu wymieniamy VII i ostatni tom *Historyi Prus* dra Eberly (Geschichte des preussischen Staats. Breslau. Trewendt) w tomie tym zawiera się okres od roku 1815 do 1871.

— Na polu filozofii ukazały się dwa dzieła sprzecznych prawie dążeń. Sędziwy I. H. Fichte, najstarszy z żyjących obecnie filozofów niemieckich występuje w obronie teistycznego poglądu na wszechświat: *Die theistische Weltanschauung und ihre Berechtigung* (Leipzig 1873 Brockhaus). Znany z dzieła „Dusza człowieka i zwierząt“ Wilh. Wundt przedstawia publiczności wykład pojawów duchowych na podstawie anatomiczno-fizyologicznej w dziele: *Grundzüge der physiologischen Psychologie*. Mit 150 Holzschnitten. (Leipzig 1873. Engelmann).

† Dnia 13 kwietnia r. b. w Kielcach, umarł *Michał Głiszczyński* w szpitalu świętego Aleksandra, z nędzy i głodu. Przez wiele lat był współpracownikiem naszego pisma, następnie po nabyciu przez Aleksandra Przeczdzickiego Gazety Codziennej, jej redaktorem. Oprócz wielu drobniejszych rozpraw, oddzielnie wydał: 1) *Znaczenie i wewnętrzne życie Zaporozża* podług Skalkowskiego. Warszawa, 1849. 2) *Filipa Kallimacha: O królu Władysławie, czyli o kłesce warnieńskiej* (z przypisami i biografją Kallimacha) 1854. 3) *Życie, nauczanie i śmierć Sokratesa*, 1858. 4) *Rajnolda Hejdensztejna: Dzieje Polski od śmierci Zygmunta Augusta do roku 1597* z łacińskiego. Petersburg, 1857, dwa tomy. 5) *Hus i husyci, szkice historyczne, podług Pałackiego i Sommera*. Warszawa, 1859. 6) *Rozmaitości naukowe i literackie*, tomików X, Warszawa, 1859—1860. Obejmują rozprawy już oryginalne, już tłumaczone, między temi

przekład pierwszej księgi *Kroniki* Marcina Galla, jako próba tłumaczenia całości.

Opuściwszy Warszawę, przebywał lat kilka na wsi, zajmując się wychowaniem młodzieży, a przed kilką laty osiadł stale w Kielcach, i utrzymywał się ze szczupłej pensyi rs. 15, jaką mu wypłacał redaktor *Gazety Kieleckiej* ś. p. Gautier; ale gdy ten nagle umarł, Gliszczyński pozbawiony choć tak szczupłego dochodu, a niechcąc i nieumiejąc wyciągać ręki po żebraczą jałmużnę, przeniósł śmierć głodową. Umarł w 60 roku życia.

† W Poznaniu w drugiej połowie kwietnia r. b. zakończył życie *Emil Kięrski*, który wspólnie z Jędrzejem Moraczewskim napisał dwutomowe dzieło: *Starożytności polskie*, które wydał J. K. Żupański w 1842 roku. Był współpracownikiem *Przyjaciela Ludu* wychodzącego w Lesznie i *Tygodnika Ilustrowanego*. W roku 1867 sam wydawał pismo *Przegląd*. W poważnym gronie Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, należał do najgorliwszych członków.

† Dnia 20 kwietnia r. b. zmarł *Floryan Czerwiński*, naczelnik sekcji dyrekcyi Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem. Współpracownik naszego pisma, pozostawił wysokiej wartości rozprawę: *O Towarzystwie Kredytowem Ziemkiem w Królestwie Polskiem*. Jestto wierny, oparty na urzędowych źródłach obraz historyczny powstania tej ważnej instytucyi i potrzeb które ją wywołały. Dla badacza dziejów okresu od 1815 do 1830, drogocenny to materiał wyjaśniający ekonomiczne położenie kraju. Tylko część pierwsza tego dzieła wyszła, druga do której obfite zebrał zasoby z powodu ciężkiej choroby autora ukończoną nie została. Zmarły był przez lat kilka współpracownikiem *Czytelnicy niedzielnej* i *Encyklopedyi Powszechniej* (wielkiej) S. Orgelbranda.

SPROSTOWANIE.

strona	wiersz	zamiast	położyć
110	— 4 i 5 od dołu	— świadczyła	— świadczy
114	— 12 od dołu	— całą galeryą portretów	wszystkie portrety — téj galeryi
116	— 3 od góry	— patre	— patri
119	— 8 od dołu	— kazanie	— kazania

OD REDAKCYI.

P. Wukol Michalowicz Lawrow, w Moskwie. Księgarnia Gebethnera i Wolffa dopiero 10 marca odebrała prenumeratę i bez zwłoki wszystkie zeszyty Biblioteki wysłała, które dotąd odebrane być muszą.

P. Floren. Jałowieckiemu, w Ucianie. Księgarnia Gebethnera i Wolffa odesłała w właściwym czasie zeszyt za luty, pod adresem wskazanym i według sprostowania następne zeszyty wysłała.

P. J. B. Liwskiemu w Mohylewie, w Śledach. Księgarnia Gebethnera i Wolffa czyni poszukiwania na poczcie i ściągnięty zeszyt prześle.

P. Józefowi Fedkowicz, w Nowym Uszycu-Kalkosik. Księgarnia Gebethnera i Wolffa upomina się w zarządzie pocztowym i zagubiony zeszyt prześle.

P. Karolowi Kosińskiemu w Nowym Uszycu-Wonkowie. Następne zeszyty wysłane zostały pocztą i o nie we właściwej stacyi upomnieć się należy, a jeśliby w ciągu miesiąca skarga skutku nie otrzymała, zechce pan donieść wprost redakcyi, która w stosowném postępowaniu porządek przywróci i ściągnięte zeszyty prześle.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera, w Warszawie przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 619.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Апреля 1874 г.

Ceny nadzwyczaj obniżone pozostałych wydań Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Niewielka liczba egzemplarzy wydań Redakcyi pozostała jeszcze na składzie. Tych cena obniżona do najmniejszej ilości, i tak:

	Rs.	kop.
<i>Guizota</i> , Dzieje cywilizacji europejskiej, przekład F. Bentkowskiego	—	30.
<i>Szyllera</i> , Listy o wychowaniu estetycznym człowieka	—	15.
<i>Gołębiowskiego Łukasza</i> , Dzieje Polski za panowania Kazimierza, Jana Olbrachta i Alexandra (do dziejów Jagiellonów) trzeci tom	—	50.
<i>Gołębiowskiego Seweryna</i> , Czasy Zygmunta Augusta, dwa tomy.	—	60.
<i>Gołębiowskiego Seweryna</i> , Pamiętnik o życiu Łukasza Gołębiowskiego	—	10.
<i>Oehlenschlaegera</i> , Corregio dramat, przekład	—	15.
<i>Siemieńskiego Lucyana</i> , Bisen i Menisze z Firdusego	—	20.
<i>Zeischnera L.</i> Pieśni ludu Podhalan	—	10.
<i>Zeischnera L.</i> Paleontologia polska trzy zeszyty z rycinami.	—	50.
<i>Sofoklesa</i> , Edyp w Kolonie, przekład K. Kaszewskiego	—	30.
<i>Szulca Dominika</i> , O znaczeniu Prus dawnych z mapą	—	50.
<i>Pötešego</i> , Janosz Witeź poemat, przekład Seweryny z Ż. D.	—	40.
<i>Gervinusa</i> , Szekspir, przekład Wandy Grabowskiej	—	50.
<i>Szekspira</i> , Tymon z Aten, przekład E. Lubowskiego	—	50.
<i>Tyszyńskiego A.</i> , Dwie Switezianki	—	20.
<i>Jastrzębowskiego Wojciecha</i> , Klucz do układu roślin	—	30.
<i>Dmochowskiego F. S.</i> O życiu i pismach Brodzińskiego	—	40.
<i>Engeströma hr.</i> Przekład poezyj Karola XV króla szwedzkiego z wizerunkiem.	—	50.

Cena Biblioteki Warszawskiej z lat dawnych.

Z powodu braku kompletów i pojedynczych zeszytów, od roku bieżącego cena zmienia się. I tak sprzedają się w Redakcyi:

Kompleta roczne. *A)* po rsr. 3 z lat: 1863, 1864, 1866, 1867, 1868, 1870. *B)* po rsr. 6 z lat: 1842, 1843, 1844, 1846, 1849, 1850, 1857, 1858, 1859, 1860, 1872. *C)* po rsr. 9 z roku 1873. *D)* Z innych lat powyżej nieumieszczonych, po cenach takich, za jakie Redakcyja sama dla dogodności zgłaszających się nabywa. Cena ta przenosić niemożę rsr. 9.

Zeszyty pojedyncze. Zeszyty pojedyncze z lat pod *A)* wyszczególnionych, po kop. 50. Zeszyty pojedyncze z wszystkich innych lat po kopiejek 75.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej zajmuje lokal przy ulicy Mazowieckiej Nr 4 i tamże od godziny 4-jej do 6-jej po południu, książki powyższe nabyć można.

PRENUMERATA
BIBLIOTEKI WARSZAWSKIĘJ

84

Rok 1874.

Biblioteka Warszawska pismo peryodyczne poświęcone literaturze, naukom i umiejętności, wychodzi zeszytami miesięcznymi bez przerwy od dnia 1 stycznia 1841, to jest przez lat 33.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie w r. 1874. Prenumerata roczna w Warszawie rs. 9, na prowincyi z opłatą pocztową rs. 10. Półroczna w Warszawie rs. 4 kop. 50, na prowincyi rs. 5.

Główna ekspedycja Biblioteki Warszawskiej znajduje się w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie (Kra-kowskie Przedmieście Nr. 415). Każdy z prenumerato-rów z prowincyi *nie gdzieindziej, lecz wyłącznie do tej księgarni* przesyłać zechce prenumeratę pocztową a za-razem wskazać *dokładnie nazwisko prenumeratora, miejsce zamieszkania i najbliższą stację pocztową*, z któ-rzej zeszyty mają być odbierane.

Redakcyja zmuszona jest ostrzedz prenumeratorów na prowincyi, iż zwłoka i nieporządek w odbieraniu ze-szytów z poczty, pochodzi najczęściej ztąd, iż prenume-ratorowie przesyłają prenumeratę nie wprost od siebie do księgarni Gebethnera i Wolffa, lecz do osób które nie wykonywają zlecenia, lub zajmują się ekspedycyą niedba-le, a w takim razie Redakcyja pozbawiona jest nawet spo-sobności upominać się gdzie należy o stragę i przywró-cenie porządku. Redakcyja oświadcza, iż każdemu z pre-numeratorów pocztowych, który prenumeratę wprost do księgarni Gebethnera i Wolffa przesłał, na przypadek za-traty zeszytu na poczcie, prześle natychmiast inny egzem-plarz pod warunkiem, ażeby prenumeratorem o stracie ze-szytu najdalej w ciągu miesiąca zawiadomił Redakcyją Biblioteki Warszawskiej pod adresem: Do redakcyi Bi-blioteki Warszawskiej ulica Mazowiecka Nr 4.